

NAJNOWSZY BESTSELLER NAJPOPULARNIJSZEGO AUTORA LITERAURY FAKTU NA ŚWIECIE

ERICH VON
DÄNIKEN

Kosmiczne tajemnice Majów

Stolica Majów dotądym modelem Układu Słonecznego
Czy bogowie Majów byli gośćmi z kosmosu?



Erich von Däniken

**KOSMICZNE MIASTA
W EPOCE KAMIENNEJ**

Wstęp: Anioł Ziemia

ET, o ile był to naprawdę on, zjawił się bezszelestnie. Dziś powiedziałbym pewnie, że jak widmo, jak duch. A może była to nieuchwytna zjawia. Nie mogłem w to uwierzyć, serce waliło mi jak młotem, jakbym setkę przebiegł w piętnaście sekund. (Ha! Nie jestem już przecież młodzikiem!) Właściwie nie miał w sobie nic niezemskiego, pomijając brak paznokci i owłosienia na rękach. Zmieszany patrzyłem mu w twarz, na której również nie było ani śladu zarostu. Był piękny. Tak uroczy, że mógł uchodzić za dziewczynę - ale brakowało mu biustu. Jego zęby lśniły w uśmiechu jak diamenty! Jak go opisać? Czy ktoś stał twarzą w twarz z aniołem? A poza tym czy anioły są rodzaju żeńskiego, czy nijakiego? Odpowiedź padła, nim zdążyłem się zastanowić:

- Gabriel był rodzaju męskiego - uśmiechnął się beczelnie.
- Michał i pozostali posłańcy tak samo.

A niech tam! Anioł rodzaju męskiego. Ale teraz naprawdę zadałem sobie pytanie, czy to sen, czy jawa. Przywołałem na pomoc całą siłę woli i wyciągnąłem do niego rękę nad biurkiem.

- Niech będzie pochwalony wyduśłem pośpiesznie, bo nie wpadłem na nic lepszego.

Skinąłem głową. Z jego rysów były jednocześnie ufność i smutek, serdeczność i gorycz - ale poza tym z tej anielskiej twarzy nie dawało się wyczytać nic więcej. W każdym razie nie był tu chyba duch, bo dłoń uściskał mi dość energicznie - ale nie był też człowiekiem. Pewnie, że się bałem, ale moje visavis zneutralizowało mój strach swoją wewnętrzną siłą. W którąkolwiek stronę biegły moje myśli, ono już je znało. Nagle, w krótkiej chwili spokoju, wpadłem na idiotyczny pomysł, żeby się przedstawić.

- Erich von Däniken - skinąłem głową.
- Ziemia - odkłonił się uprzejmie.
- Co proszę?

Powtórzył spokojnie, jak gdyby mogło to okiełznać zamęt, panujący w

moich szarych komórkach:

- Ziemia! Planeta! Częstka Wszechświata!

Nadal trzymał moją dłoń. Nagle poczułem, jak moja ręka zanurza się w głębiach oceanu. Grzbietem zgiętych palców dotknąłem delikatnie dna morskiego. Znajdowały się tam wzgórza, góry i jedwabście miękkie równiny. To zadziwiające - moja ręka robiła się coraz dłuższa. Leciutko, bez najmniejszego oporu, przebiłem się przez skorupę Ziemi. Na ułamek sekundy przyszedł mi na myśl obraz "Człowiek, który przechodził przez mury". W tym filmie Heinz Ruhmann mógł przechodzić przez ściany metrowej grubości. Ot, tak sobie.

A ja wsuwałem rękę pod podmorskie łańcuchy gór. Ot, tak sobie.

Delikatnie, prawie jak chirurg przykładający skalpel do skóry pacjenta, przebiłem palcem płaszcz Ziemi. Nagle przeszył mnie straszliwy ból, poczułem, że tysiąc igieł przebija mi ciało aż do kości.

Odruchowo chciałem cofnąć rękę, ale ona tkwiła jak w imadle. Anioł siedzący visavis uśmiechnął się, ścisnął moją dłoń, oblewaną właśnie przez strumień lawy rozpalonej do białości. Nie musiał wyjaśniać przyczyny bólu: była to podziemna eksplozja bomby jądrowej.

Potem ból ustąpił, moja ręka wydłużała się nadal - teraz sięgała już chyba na dwa kilometry w głąb Ziemi. Czubkami palców czułem płynny metal. Zadziwiające, nie powinienem już mieć ani dłoni, ani ramienia: wrzący metal to przecież nie ciepła kaszka z mlekiem. Potem niewidzialna siła poczęła wykręcać mi stawy. Ręka poruszała się jak warząchew we wrzącej zupie.

- Mam zmienić swoje legowisko? - zażartował łagodnie, a dla mnie stało się nagle jasne, co miał na myśli: przesunięcie, skok biegunów.

- Na Boga! Nie! Bardzo proszę!

A potem poczułem opór. Dłoń trafiła jakby na gumę, na coś, czego nie mogłem przeniknąć. Byłem już chyba blisko jądra Ziemi. Panowało tam ciśnienie kilku milionów atmosfer - ale ja tego nie czułem. Moja kończyna

chwytna była już chyba tylko wspomnieniem mojej prawdziwej ręki - ręką astralną, jak powiedzieliby niektórzy. Bezradnie spojrzałem na anioła.

Uśmiechnął się, wydawało się zresztą, że uśmiecha się stale.

- Dlaczego nie mogę sięgnąć dalej? Czym jest wypełnione wnętrze Ziemi? Plazmą? Gazem w stanie stałym?

Idiotyczna sytuacja. Siedzę przy swoim biurku w swoich czterech ścianach, moja prawa ręka sięga skraju jądra Ziemi, naprzeciw mnie uśmiecha się jakaś zjawka, wyglądająca jak Pan Bóg junior. Na moich oczach jego głowa przeobraża się w kulę ziemską, ciało znika. Błękitna Planeta zaczyna wirować mi przed oczyma jak hologram. Zdumiony widzę, że nasz glob robi się przezroczysty. Na powierzchnię wypływa gigantyczna płatanina, sieć grubszych i cieńszych linii, krzyżujących się i przebiegających we wszystkich kierunkach. Na punktach przecięcia coś wiruje - jakby widzialny gaz, unoszący się w atmosferę. Właśnie tam stoją potężne monolity.

Sieć jest trójwymiarowa. Z powierzchni - jak gałęzie, konary i pień prastarego dębu - grube powrozykorzenie przenikają przez płaszcz Ziemi. Po całym układzie przebiegają ładunki energetyczne. Rozgałęzienia korzeni tkwią głęboko - rozchodzą się niczym cienkie struny delikatnych włókien nerwowych. Jądro Ziemi lśni jaskrawym, rozmigotanym światłem. To dziwne, ale wydaje mi się, że jest ono istotą świadomą. Jak w zwolnionym tempie, przyjmując postać energii, w jądrze krystalizują się myśli, delikatnymi odgałęzieniami biegną do pnia, wspinają się przez niezliczone przecięcia, przebijają powierzchnię Ziemi i błyskawicom podobne lecą w Kosmos. Gdzieś we Wszechświecie lśni odległa mgławica, potem zakrzywia się w zorzę polarną, zamienia się w lej, w spiralę, i już w formie wiązki elektronów pędzi ku Ziemi. Prosto w mroczną otchłań megalitycznego grobu.

Cóż za wspaniały i przemożny spektakl! Anioł Ziemia przyjąwszy ludzką postać znów siedzi uśmiechnięty naprzeciw, jakby nic się nie stało, i życzliwie trzyma mnie za rękę. Promienieje, jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek

widziałem. Zrozumiałem w końcu nawet wyraz jego twarzy, wyrażający jednocześnie pogodę i lęk, miłość, nieskończoną mądrość i gorycz. Oto jaśnieją przede mną miliardy lat, a jednocześnie beztroska młodość. W jedno stapiają się ból i radość.

W tej niepowtarzalnej chwili ujrzałem całą planetę jako istotę jedyną w swoim rodzaju, uwikłaną w niezwykle skomplikowany system wzajemnych uwarunkowań. Istotę przyjmującą energię i posłannictwa - a następnie odpowiadającą na jedno i drugie. Czy komuś tak wrażliwemu można sprawiać ból? Anioł Ziemia posiadał świadomość w wymiarze niedostępnym dla ludzi, a świadomość ta wymie niała informacje nie tylko z istotami żyjącymi na Ziemi, lecz również z przedstawicielami nieznanymi inteligencji z otchłani Wszechświata.

Nadeszło dla nas posłanie:

„Kochajcie mnie, Dzieci Ziemi!”

I. Symfonia w kamieniu

Różnica między Bogiem a historykami polega głównie na tym, że Bóg może zmieniać przeszłości.

Samuel Butler (1835-1902)

Jest 21 grudnia 3153 r. prz. Chr. Miejsce: 53°41' szerokości północnej, 6°28' długości zachodniej. Godzina 9:43 rano. Rozpalona tarcza słoneczna powoli wspina się na skraj wzgórza - jakby bała się opuścić swoje nocne leże. W dole, nad rzeczką, wiszą welony mgły. Trochę wyżej, na sztucznie usypanej terasie, wznosi się kamienny krąg złożony z 97 potężnych monolitów. Odcinek od południowoschodniej strony kręgu do jego centrum zajmuje grób korytarzowy. Jak żołnierze stoją tam 43 wielkie kamienie - szerokość między szeregami wynosi 1 m. U końca kamiennej parady, 18,9 m dalej, otwiera się przejście do budowli wzniesionej na planie krzyża i opatrzonej wielotonową kopułą. Z tyłu, w odległości 24 m od wąskiego wejścia, widać kultowe symbole

wyryte na kamieniach

- spirale, trójkąty, zygzaki. W pomieszczeniu, w którym panują nieprzeniknione ciemności, czekają kapłani. Są pewni swego. Wkrótce się stanie.

Przed wejściem przykucnęło ze stu brodatych mężczyzn. Są umyści, włosy mają natarte tłuszczem, a za pas zatknęli iglaste gałązki. Czekają. Ich wzrok wędruje między wschodzącym słońcem a wejściem do grobu. Dziś będzie im wreszcie wolno przeżyć cud, na który w niewysłowionym trudzie harowali przez całe dziesięciolecia. Bóg słońca uczyni wielki zaszczyt ich zmarłemu królowi. Świetlna linia dotyka krawędzi wzgórza, szczyty monolitów zaczynają lśnić delikatną poświatą.

Godzina 9:58. Nad monolitami znajdującymi się przy wejściu do komór grobowych pojawia się jaskrawy punkt świetlny. Języki ognia zamieniają się w oślepiającą orgię światła, potem jeden promień z górnych płyt rzuca na ziemię ostro odcinającą się linię świetlną.

Kapłani patrzą w ekstazie na zdumiewające widowisko. Wąż świetlny wydłuża się, pełźnie wąskim przejściem w stronę kultowych znaków na tylnej ścianie. Potem pasmo światła przeistacza się w świetlny wachlarz zalewający całą budowlę złotym lśnieniem.

Mniej więcej po siedemnastu minutach wachlarz zaczyna się zwężać. Jakby na pożegnanie świetlne palce muskają ciemność - w końcu promieniste czułki wycofują się z komory grobowej.

Rzeczywistość dnia wczorajszego i pojutra

Opisany przeze mnie świetlny cud zdarzył się naprawdę 21 grudnia 3153 roku przed Chr. I od tego dnia powtarza się co roku w przesilenie zimowe - od 5143 lat. Owiany mgłą tajemnicy grób korytarzowy to New Grange. Znajduje się 51 km na północny zachód od Dublina i około 15 km na zachód od miasteczka Drogheda.

Właśnie tam, w County of Meath, w zakolu rzeki Boyne, w tej okolicy

pełnej zieleni, pierwotni mieszkańcy Irlandii zbudowali wiele grobów korytarzowych i megalitycznych kręgów kamiennych. Wszystkie budowle są zorientowane astronomicznie.

New Grange to wspaniały pomnik przeszłości, techniczny cud z epoki kamiennej. Nie jest to jeden z tych grobowców, w których chowano powszechnie szanowane osobistości, nie jest to też zwykły grób, obłożony kamieniami, żeby zwierzęta nie mogły dotrzeć do zwłok. New Grange to arcydzieło geodezji, astronomiczne pouczenie, a zarazem fenomen ówczesnych metod transportu. Powstały w czasach, kiedy wedle archeologów nie było starożytnego Egiptu, kiedy nie wzniesiono jeszcze ani jednej piramidy, kiedy nie istniały starożytne miasta: Ur, Babilon i Knossos. Przypuszczalnie nie planowano jeszcze nawet budowy potężnego kręgu kamiennego Stonehenge, kiedy nieznanymi astronomowie wznosili już grób korytarzowy New Grange.

Tylko grób?

Przez tysiące lat nikt nie zwracał uwagi na okrągłe wzgórze nad rzeczką Boyne. Dopiero pewnego dnia 1699 roku robotnik Edward

Lhwyd zaklął szpetnie, natknąwszy się przy budowie wytyczonej tamtędy drogi na blok skalny, którego nijak nie można było usunąć. Kiedy gładz prawie odkopano, wściekły robotnik zauważył na nim dwie wyryte spirale i kilka prostokątów. W tym momencie stało się dla niego jasne: "Znów jakiś cholerny grób!" Wiadomość dotarła do najbliższego szynku. Tak odkryto New Grange.

Prawdziwe prace wykopaliskowe i konserwacyjne rozpoczęły się dopiero z początkiem lat sześćdziesiątych naszego stulecia. W 1969 roku kierujący pracami badawczymi prof. Michael J. O'Kelly z Cork University odkrył prostokątny otwór, znajdujący się nad oboma monolitami wejściowymi. Otwór miał wprawdzie tylko 20 cm szerokości, ale to wystarczyło, aby uczonemu zaczęło coś świtać. Musiał to jednak sprawdzić empirycznie. W przesilenie zimowe 1969 roku - i w rok później - O'Kelly zajmował miejsce w najdalszej części pomieszczenia. Oto jego relacja:

„Dokładnie o 9:45 nad horyzontem pojawiła się krawędź tarczy słonecznej, a o 9:58 pierwszy promień wpadający przez niewielki otwór pokazał się pod dachem wejścia. Promień biegł wzdłuż pasażu aż do komory grobowej. Wreszcie dotarł do niszy, do krawędzi kamiennego bloku z misą wyżłobioną ludzkimi rękoma. Kiedy promień zamienił się w siedemnastocentymetrową świetlną wstęgę i rozlał po podłodze komory, grób rozświetliły refleksy tak ostre, że wyraźne stały się różne detale zarówno komór bocznych, jak i kopułowego dachu. O 10:04 pasmo światła zaczęło się zwężać - dokładnie o 10:04 promień nagle zgasł. A więc przez 21 minut, o wschodzie słońca w najkrótszy dzień roku, promienie wpadają wprost do komory grobowej New Grange. Nie wejściem, lecz specjalnie zaprojektowaną wąską szparą nad wejściem do pasażu.” Prof. O’Kelly jest naukowcem ostrożnym, nie odpowiedział więc od razu jednoznacznie na pytanie, czy świetlny spektakl jest sprawą przypadku, czy nie. Tymczasem z problemem uporali się inni badacze.

Dwaj irlandzcy naukowcy, Tom Ray i Tim O’Brian ze School of Cosmic Physics przybyli 21 grudnia 1988 roku do komory grobowej z przyrządami pomiarowymi. Dokładnie cztery i pół minuty po wschodzie słońca pierwszy jego promień pojawił się w prostokątnym otworze nad wejściem. Po chwili świetlna kreska zaczęła się powiększać tworząc pasmo o szerokości 34 cm, które jednak napotykając na swej drodze lekko nachylony monolit zwężało się do 26 cm. Promień nie dochodził do tylnej ściany grobu pokrytej mistycznymi znakami, lecz padał dwa metry bliżej - na podłogę. Wprawdzie komorę i kopułę nadal spowijało migotliwe światło, ale spektakl nie był doskonały. Zaszła jakaś zmiana.

Naukowcy użyli komputera. Z biegiem tysiącleci oś Ziemi wykonuje powolny ruch, precesję. To dlatego dziś słońce nie wschodzi w tym samym miejscu co przed pięciu tysiącami lat. W pierwszym okresie po wzniesieniu budowli - co wykazały obliczenia komputerowe - promienie słońca dokładne jak igła kompasu wpadały do grobu i rozpoczynały na jego tylnej ścianie, 24 metry

od wejścia, świetlne przedstawienie. Jeśli uwzględnić zmiany nachylenia osi ziemskiej, łatwo będzie można zrozumieć dzisiejszy przebieg zjawiska.

Wędrowkę promienia zakłóca też lekko przechylony monolit.

Samo zjawisko jednak na pewno nie jest sprawą przypadku.

Zmiana położenia jednego choćby monolitu w układzie zepsułaby wszystko. Gdyby otwór nad wejściem był węższy o centymetr albo przesunięty o milimetr, to światło nie dotarłoby przez korytarz i komorę do tylnej ściany. Dalej: gdyby korytarz zbudowany z monolitów był krótszy lub dłuższy, to albo światło nie padałoby na tylną ścianę, albo nie rozświetlałoby mistycznych znaków.

Ale to jeszcze nic. Olbrzymia struktura New Grange nie stoi na równym gruncie, ciąg wschódzachód nie jest poziomy, wznosi się ukośnie. Najwyższym punktem podłogi jest ostatni monolit przejścia. Ten wznios był zaplanowany. Nie zapominajmy, że najważniejszym miejscem dla przebiegu promieni w dniu 21 grudnia nie jest wejście do grobu, lecz niewielki szybik. Jedynie jego usytuowanie, uwzględniające również położenie przeciwległego wzgórza, umożliwiło wejście wiązki promieni do grobu.

Tam światło trafiło jak promień lasera w krawędź kamiennego bloku z misą. Reszta była magiczną symfonią, powodowaną przez efekt lustrzany. Promienie rozbiegały się wachlarzowato w kilku kierunkach, zawsze trafiając na kultowe symbole oraz - oczywiście - odbijały się w kierunku szybu w dachu kopuły.

Kopuła nad grobem jest cudem samym w sobie. Fachowcy określają mianem "fałszywej kopuły". Monolity - u dołu cięższe, u góry lżejsze - układano jedno na drugich tak, że każdy następny był nieco wysunięty w stosunku do poprzedniego. W ten sposób nad centrum grobu powstał zwężający się ku górze szyb sześciometrowej długości. Na samym końcu tego komina znajduje się monolityczne zamknięcie, które można w razie potrzeby odsuwać.

Coś, co urzeczywistnia świetlny cud dzięki światłu słonecznemu, musi również działać - oczywiście ze znacznie słabszym skutkiem

- dzięki światłu gwiazd. Jaka gwiazda stoi w noc X w zenicie nad kopułą? Naukowcy nie zadali tego pytania. Chciałbym je tu zadać, bo jako "włóczęga między różnymi dziedzinami nauki" znam budowle paralelne do New Grange.

Zmiana scenerii

Na olbrzymiej mapie Meksyku Xochicalco nie wygląda nawet jak ślad po szpilce. Xochicalco, miejscowość leżąca 1500 m n.p.m., jest pozostałością tajemniczej kultury Majów. W przypadku Xochicalco pewne jest tylko, że w IX w. po Chr. istniała tam twierdza. Ale to jeszcze nic, bo o stulecia czy tysiąclecia wcześniej w Xochicalco znajdowało się zadziwiające obserwatorium.

Dotychczas odsłonięto zaledwie drobną część tego kompleksu. Jest tam piramida główna, ochrzczona imieniem "La Malinche", pałac oraz boisko do obrzędowej gry w piłkę. Wszystkie odkopane budowle są zorientowane w kierunku północpołudnie. Dwie piramidy stoją naprzeciw siebie jak lustrzane odbicia - w dzień zrównania dnia z nocą słońce pojawia się dokładnie nad linią łączącą ich środki.

Właściwe obserwatorium w Xochicalco znajduje się pod ziemią.

W skałach wykuto szyby, w "suficie" zrobiono otwory nakierowane na określone gwiazdy. Od środka kopulastego sufitu prowadzi na powierzchnię sześciokątny szyb. 21 czerwca, w dzień przesilenia letniego, słońce staje nad szybem i rozpoczyna się czarodziejskie widowisko:

Pomijając słaby poblask padający kolistą plamą na podłogę, w skalnym pomieszczeniu jest ciemno choć oko wykol. Ze zbliżaniem się południa do pomieszczenia wkraczają Indianie trzymający zapalone świece. Amuledy i pojemniki z wodą, które przynieśli, stawiają pod sześciokątnym szybem. Wszystko zaczyna się dokładnie o 12:30. Słońce stoi nad szybem w zenicie, promienie prześlizgują się wzdłuż ścian otworu, struga światła rozszerza się, a w końcu wpada całą szerokością szybu. Kaskady światła wystrzelają z podłogi na wszystkie strony niczym promienie lasera. Cud trwa około 20 minut.

Pomieszczenie lśni przez ten czas niczym kryształ. Gdy blask słabnie, Indianie

biorą amulety i pojemniki z wodą i wynoszą je bez słowa na zewnątrz.

Pytania bez odpowiedzi

Co wspólnego ma meksykańskie Xochicalco z irlandzkim New Grange oraz - później to wykażę - z mnóstwem innych prehistorycznych monolitycznych budowli?

W obu przypadkach ludzie stworzyli zespoły mogące służyć różnym celom. Mogły to być: a) groby; b) kalendarze; c) obserwatoria; d) pomieszczenia kultowe w dni przesilenia zimowego i letniego; e) punkty namiarowe; f) jednostki miary; g) kapsuły czasowe przeznaczone dla przyszłości.

Na pewno dla chłodnego i ciemnego pomieszczenia można by znaleźć też inne, znacznie bardziej banalne i codzienne zastosowania, tyle że wkład pracy w budowę byłby wówczas niewspółmierny do korzyści. New Grange i Xochicalco to pomniki, to astronomiczne zegary przeznaczone dla wieczności.

Kto zażądał takiego cudu? Kto wymyślił ekscentryczne gry światła w Xochicalco i New Grange? Kto wyliczył kąt szybów, przez które w najkrótszy i w najdłuższy dzień roku wpada słońce? Kto zlecił tak gigantyczną budowę w czasach, kiedy nie znano dźwigów, a nawet wielokrążków? W czasach, w których ludzie epoki kamiennej mieli przecież dość zajęcia przy zdobywaniu żywności dla swojej rodziny czy swojego plemienia? Wprawdzie budowle w New Grange i Xochicalco nie powstały w tym samym okresie, dzielą je tysiące lat, lecz zarówno w Irlandii, jak i w Meksyku wznoszono je w epoce określanej powszechnie przez archeologów mianem epoki kamiennej

- w epoce, w której nie znano metalu.

W Xochicalco świątynie i obserwatoria były poświęcone latającemu wężowi, tajemniczemu bogu, który miał obdarzyć ludy Mezoameryki wiedzą astronomiczną i matematyczną. Na podstawie przekazu sądzi się, że budowniczości New Grange wzniesli swój monument ku chwale celtyckiego boga o imieniu An Dagda Mor. To tylko legenda, ale pasowałaby do całości. W końcu An Dagda Mor był bogiem słońca i światła. W New Grange znaleziono

jego symbol, tarczę słoneczną nad dziwnym statkiem z wciągniętymi żaglami.

Fachowcy, stojący twardo na gruncie obecnej rzeczywistości, widzą w New Grange grób olbrzyma albo księcia. Jest wprawdzie mimo wszystko trochę zbyt okazały - ma 15 m wysokości, 95 m średnicy, a składa się nań 400 monolitów - ale kto by się tym przejmował? Olbrzymi i książęta spoczywają zwykle w gigantycznych grobowcach. Niepokoi tylko, że w New Grange nie znaleziono ani kości olbrzyma, ani księcia, tylko resztki jakichś kosteczek i trochę popiołu. Nie ma też tego wszystkiego, co nierozłącznie wiązało się z gigantami i książętami. Ani biżuterii, ani zbytkownych skór, ani książęcej broni i srebra. Skąpi mieszkańcy New Grange nie włożyli swojemu zmarłemu szefowi do grobu nawet kilku kamieni szlachetnych. No tak, a na dobitkę zapomnieli o sarkofagu czy choćby wyżłobionym kamieniu na ciało. Co za nieokrzesana banda!

Logiczne?

Niektóre stwierdzenia znajdują w pustych głowach duży oddźwięk. Podobnie jest w pustych grobowcach. Dlaczego New Grange ma być grobem? Ta idea straszy w literaturze fachowej jako "stwierdzony fakt" i nie da się jej już chyba wykorzeń. Lecz cóż to za fakty? W New Grange znaleziono kości ludzkie i zwierzęce - ergo budowlę wzniesiono jako grobowiec. Faktem jest również, że każde takie miejsce, każdą dziurę można wykorzystać na grób, nawet jeśli pierwotnie służyły innym celom. W konsekwencji idea New Grange mogła odpowiadać całkiem innym wyobrażeniom, nawet jeżeli

- znacznie później - pojawiły się tam kości. Spokój zmarłych był święty dla wszystkich ludów - tylko czemu zwłoki pod kopułą New Grange corocznie oślepiało i niepokoiło słońce? Gdyby New Grange było od samego początku pomyślane jako grób, to między zmarłym a centralnym ciałem niebieskim lub Wszechświatem musiał istnieć jakiś szczególny związek. Jaki?

Żaden lud nie wznosił budowli kultowej o symbolicznej sile New

Grange ot tak sobie - tylko dla zabicia czasu. Trzeba było obserwacji

prowadzonych co najmniej przez czas życia jednego pokolenia, aby dla warunków geograficznych New Grange obliczyć dzień, godzinę i minutę przesilenia zimowego. Trzeba było sporządzić dokładne plany - może modele - przyszłej budowli, wyznaczyć skrupulatnie każdy kąt w pochyłym terenie - bo każdy monolit musiał się przecież znaleźć na swoim miejscu. A kamienie kultowe z wrytymi na nich geometrycznymi motywami trzeba było oczywiście postawić przed ostatecznym zamknięciem grobowca.

Tak, a przed rozpoczęciem budowy należało splantować wzgórze pod odpowiednim kątem, „dowieźć” piasek i żwir oraz mieć pod ręką ogromne głazy z szarego granitu i sienitu. Główny projektant przedstawił swoje plany i obliczenia ochrą na skórach reniferów, rozłożył na ziemi kąty oraz linki miernicze. A przy tym trzymał się skrupulatnie stosowanej wówczas powszechnie w Europie jednostki miary - megalitycznego jarda odkrytego w naszych czasach przez prof. Alexandra Thoma. Jard ten ma 82,9 cm a stosowano go bez wyjątku przy wznoszeniu wszystkich megalitycznych budowli - od

New Grange i Stonehenge po Bretanię. Może w epoce kamiennej czytano czasopismo „Współczesna architektura megalityczna”?

„Można wyjść od jakiegoś punktu widzenia, ale nie można na nim spocząć” - mawiał Erich Kastner.

Wyjdę więc od mojego punktu widzenia! Skoro New Grange (i inne struktury tego rodzaju) zaprojektowano jako grobowiec, to pochowany tu zmarły musiał mieć wprost nadludzki wpływ na współczesnych. Dlaczego? Ponieważ kiedy rodzi się dziecko, nie sposób przewidzieć, czy wyrośnie z niego bohater albo superman. A wznoszenie budowli grobowej, poprzedzone nadto sporządzeniem koniecznych obliczeń, pomiarów, modeli i dowiezieniem budulca, musiało trwać przez jedno (ówczesne!) pokolenie. Ergo - budowę grobowca dla przyszłego potomka musiał zapoczątkować już jego ojciec czy dziadek. Wznoszenie czegoś takiego dla siebie miałyby sens tylko

wtedy, gdyby inwestor mógł całkowicie polegać na potomnych.

Na ile pewne są obietnice spadkobierców? Na przykład w starożytnym Egipcie każdy faraon śpieszył się, aby za swojego życia skończyć budowę piramidy. Nie można było liczyć na niczyje zapewnienia, spadkobiercy zbyt często zmieniali przeznaczenie komór grobowych budowli, przystosowując je i wykorzystując do własnych celów. Jeśli w dziesięć lat po śmierci zmarły nadal trwał w pamięci ludu, musiał być osobistością wybijającą się ponad przeciętność. Ale osoby powszechnie szanowane lub znienawidzone mają przecież imiona, które wszyscy znają. Gdzież więc podziały się imiona, gdzie twarze nadludzi z New Grange?

A jeśli to tyrani rozkazali, aby po ich śmierci zbudowano grobowiec? Przypadki takie jak Cheops są znane na całym świecie. Tyrani są zawsze próżni - ale próżności nie da się w żadnym razie pogodzić z anonimowością. Gdzie ślady przepyszego pogrzebu z New Grange? Gdzie pozostałości po broni, po ulubionych przedmiotach zmarłego, po jego sukniach? Nie ma nic - poza paroma spiralami, prostokątami i piramidalnymi trójkątami wyrytymi na głazach. Pełna anonimowość.

Przyrząd do pomiaru czasu postawiony na wieczne czasy

Ale istnieje drogowskaz tak ogromny i wyraźny, że musi rzucić nam się w oczy nawet po tysiącletniach - jest nim sama budowla.

New Grange dowodzi, że przed ponad 5000 lat żyli ludzie, którzy naprawdę dobrze znali się na mechanice nieba, bardzo dobrze na obliczeniach kątów, na rysunkach, planach, ewentualnie na modelach - a w każdym razie zaskakująco dobrze na transporcie wielkich ciężarów i na budowaniu. Same dziwy, których nijak nie daje się wpasować w tępą epokę kamienną, a tym mniej w ewolucję technologii. Jak wiadomo, zawsze coś wynika z czegoś, żadna zatem wiedza astronomicznotechnologiczna nie wzięła się z niczego, musiała mieć fazę początkową.

Osoba pochowana w grobie korytarzowym New Grange - jeśli istotnie jest

to miejsce pochówku - wywodziła się zapewne spośród wykształconych astronomów. Inaczej nie byłoby najmniejszego powodu dla tak precyzyjnego ukierunkowania budowli na punkt przesilenia zimowego. A jeśli nawet odrzucimy przypuszczenie, że jest to grób, to i tak faktem pozostanie zorientowanie astronomiczne. Już słyszę zarzut, że megalityczne budowle zorientowane astronomicznie spełniały jedną najważniejszą funkcję: kalendarza. Jest to zarzut tak błahy, że wzdramam się pisać o nim znowu. Do czego więc służyło New Grange? Czy sama miejscowość, jej pozycja geograficzna, była "miejscem świętym"? Możliwe, lecz wtedy musiałyby być takich punktów wiele. Megalityczne budowle zalewają świat! Poza tym "święty punkt" wcale nie wyjaśnia astronomicznotechnicznego knowhow.

Pewne jest tylko to, że w mglistych mrokach prehistoru ktoś umieścił w tej okolicy precyzyjny astronomiczny zegar, pomnik, który nawet po pięciu (lub więcej) tysiącach lat nadal przekazuje swoje przesłanie. Jakie przesłanie? Kim byli owi filozofowie czasu, uczeni, którzy potrafili wpływać zarówno na swoją epokę, jak i na daleką przyszłość? Po co robili to, co robili? Co nimi powodowało? Jaki był motyw ich postępowania?

II. Słońce w cieniu

Doświadczenie to nazwa, którą każdy określa głupstwa, jakie zrobił w życiu. Oscar Wilde (1856-1900)

Historia powstawania rodzaju ludzkiego to naprawdę małpi gaj.

Kryminał z tysiącami otwartych kwestii i tysiącami pseudologicznych wyjaśnień. Nie chcę powtarzać, o czym przed piętnastu laty pisałem w Dowodach [5], lecz po raz któryś muszę przypomnieć o paru drobiazgach, wskazując je palcem na mapie wczesnego stadium ewolucji. Zbyt pocieszne są przeskoki od małpy do fachowców epoki megalitycznej. Zbyt oczywiste sprzeczności, na chybcika wmiatane pod dywan.

Geolodzy i paleontolodzy uporządkowali przeszłość. Historię Ziemi opatrzyli takimi nazwami jak kambr, ordowik, dewon czy karbon. Są to ery

liczące sobie po wiele milionów lat. A ponieważ są tak długie, trzeba było je podzielić na okresy krótsze. Jednym z nich jest plejstocen w wielkim czwartorzędzie.

Było to mniej więcej między 2 000 000 a 10 000 lat, klimat Ziemi ulegał wtedy silnym wahaniom. Po okresach lodowcowych przychodziły interglacjalny i odwrotnie - oczywiście bez udziału człowieka, była to bowiem wówczas dopiero mało podobna istota wegetująca na drzewach czy zamieszkująca jaskinie. Na ziemi istniało wiele gatunków zwierząt, po których do dziś pozostały tylko resztki kości albo skamieliny. Nikt nie może z pewnością oświadczyć, dlaczego te kochane bydłatka wymarły. Pewnej jest jedynie, że nie było wtedy ani ludzi, ani smrodu spalin.

Inteligentny głupek

Mniej więcej przed 75 tys. lat na terenach między dzisiejszym Dusseldorfem a Wuppertalem żyła inteligentna, dwunożna istota, którą nauka nazwała "neandertalczykiem". W podręcznikach szkolnych napisano, że neandertalczyka odkrył w roku 1856 nauczyciel szkoły realnej w Elberfeld - Johann Carl Fuhlrott - ale to nie do końca prawda. Dwóch robotników usuwało glinę z niewielkiej groty koło Mettmann w Neandertalu, gdy nagle przy kolejnym uderzeniu oskarda zobaczyli kości. Pomyśleli sobie, że to szkielet niedźwiedzia. Neandertalczyk narodził się dopiero wówczas, gdy właściciele kamieniołomu do oględzin kości wezwali pana Fuhlrotta.

Jesienią 1856 roku wiele gazet pisało o znalezisku, a pan Fuhlrott wpadł niespodziewanie w tarapaty. Charles Darwin (1809-1882) nie opublikował jeszcze swojej książki O powstawaniu gatunków, nauka pozostawała pod wpływem biblijnej relacji o stworzeniu, a czołowy francuski uczyony Georges Cuvier (1769-1832) dopiero co oświadczył dogmatycznie: "L'homme fossile n'existe pas!" (Człowiek kopalny nie istnieje!).

Pan Fuhlrott był człowiekiem bojowym. Wygłaszał odczyty przed naukowymi gremiami, pisał artykuły i korespondował z uczonymi. Potem

pojawiło się epokowe dzieło Darwina i świat nauki się zbuntował. Z neandertalczykiem rozprawiano się, aż pierze leciało.

Najsławniejszy wówczas w Niemczech patolog, prof. Rudolf Virchow (1821-1902), zaklasyfikował znalezisko z Neandertalu jako "rachitycznego idiotę", jego zaś kolega, Carl Mayer, stwierdził na podstawie czaszki, że to "mongołowaty Kozak".

„Idiota” przeobraził się wkrótce w uznanego przez naukę Homo neandertalensis sapiens [6], ale zdawało się, że zaraz znowu rozplynie się w powietrzu. Przed około 40 tys. lat pojawił się mianowicie inny typ, człowiek z CroMagnon, co spowodowało - abrakadabra! - że neandertalczyk zniknął. (My, ludzie współcześni, należymy do gatunku CroMagnon, który zalicza się z kolei do gatunku Homo sapiens sapiens.) Kwestią sporną pozostaje, dlaczego neandertalczyk zszedł ze sceny. Może sparzył się z typem z CroMagnon? W każdym razie potomstwo z takiego związku było możliwe - przynajmniej ze względu na powinowactwa genetyczne.

Cóż jednak dziwnego było w neandertalczyku? Dlaczego tyle się o nim mówi, skoro zniknął bez śladu?

Jego mózg miał objętość 1750 cm³. Dla prymitywnego, okrytego skórą kanibala, który zjadał podobno mózgi osobników swojego gatunku, było to o wiele za dużo. Objętość mózgu człowieka współczesnego waha się między 1200 a 1800 cm³. Można stąd wnosić, że od tamtego czasu nie staliśmy się wcale mądrzejsi lub - odwrotnie - że pojemność naszego mózgu nie jest większa niż przed 75 tys. lat.

Biorąc pod uwagę ciężar mózgu, neandertalczyk mógłby wznosić w swojej epoce imponujące budowle. Zaniedbał się oczywiście

- nawet potomkowie człowieka z CroMagnon przez następne 35 tys. lat nie stworzyli ani jednego arcydzieła architektury.

Żył, ale niczego się nie nauczył

Nasi krewni z owej zamierzchłej epoki pozostawili nam w spadku jedynie

proste ozdoby, strzały, ostrza oszczepów oraz mnóstwo kamiennych narzędzi. Wydaje się przy tym, że istniały prawdziwe "fabryki narzędzi" i coś w rodzaju "dystrybucji", bo tysiące krzemiennych narzędzi znaleziono w okolicach, gdzie krzemień nie występuje. "Rekiny przemysłu epoki kamiennej" już wtedy musiały kierować niezłymi firmami obróbki krzemienia. Jak na przykład w bawarskim okręgu Kelheim, gdzie odkryto kopalnię krzemienia, mającą setki szybów.

Kopalnie krzemienia nie bardzo pasują do obrazu epoki kamiennej, mącą nasze prostoduszne wyobrażenie o ówczesnych ludziach. Jedną z takich kopalń udostępniono zwiedzającym. Znajduje się ona w pobliżu holenderskiej miejscowości Rijckholt między Akwizgranem a Maastricht. Holender Joseph Hamel natknął się tam na liczne szyby kopalniane, wypełnione wapiennym gruzem. W latach dwudziestych w szybach myszkowali mnisi z klasztoru dominikanów z Rijckholt. "Urobek" - tysiąc dwieście krzemiennych siekierok.

Dokładne badanie tajemniczej kopalni przeprowadziła w latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych Rejonowa Grupa Limburg Holenderskiego Towarzystwa Geologicznego. Do 1972 roku holenderski zespół udostępnił chodnik poprzeczny o długości

150 m. Zespół, złożony w większości z idealistów, odkrył na obszarze 3 000 m² co najmniej 66 szybów. Cała kopalnia zajmuje 25 ha. Na tej powierzchni powinno się więc znajdować ok. 5 000 szybów. Na podstawie ilości i wielkości sztolni można obliczyć, że w epoce kamiennej wydobyto stamtąd około 41 250 m³ brył krzemienia. Był to surowiec na około 153 mln siekierok!

Pracownicy badacze z Holenderskiego Towarzystwa Geologicznego znaleźli w szybach ponad 15 tys. narzędzi. Także na tej podstawie można obliczyć, że na całym obszarze kopalni musi się ich jeszcze znajdować około 2,5 mln. Zakładając, że kopalnię użytkowano przez 500 lat, to przez te wszystkie lata wytwarzano tam dziennie 1 500 siekierok. Kawałek węgla drzewnego znaleziony w jednym z szybów datowano na 3150 r. przed Chr. (+/- 60 lat).

Marny dowód na wiek kopalni, bo ta drobina mogła wpaść do szybu wiele lat później.

Kto organizował - przed ponad 5 000 lat! - budowę sztolni?

Jakie stosowano narzędzia? Przy wydobywaniu metra sześciennego wapienia niszczyło się około pięciu kamiennych siekier. Jak stemplowano stropy chodników? Jakiego używano oświetlenia? W kopalni nie znaleziono śladów pochodni czy innych kopających źródeł światła.

Bryły krzemienia o średnicy do jednego metra znajdują się przede wszystkim w pokładach wapienia z okresu kredy (ok. 80 mln lat temu). Wiadomo już, że myśliwi epoki kamiennej robili z krzemienia narzędzia - jest to bowiem z jednej strony materiał kruchy i daje się łatwo obrabiać, z drugiej strony jednak twardy jak stal. Samorzutne wydobywanie się krzemienianych brył z pokładów wapienia odbywa się przez tysiąclecia w procesie erozji tego ostatniego. Kto poinstruował facetów z epoki kamiennej, że w głębi ziemi, pod warstwą piasku, żwiru i wapienia jest krzemień? Jak zorganizowano dystrybucję milionów krzemienianych narzędzi w inne rejony? Jaki rodzaj handlu uprawiano? Trudno sobie wyobrazić, żeby górnicy z epoki kamiennej ryli w ziemi za darmo. Wydaje się, że coś umknęło naszej uwadze."Rodzina Krzemień" była zorganizowana!

Przez dziesiątki tysięcy lat - przenieśmy to na nasze wyobrażenia czasu - z inteligencją naszych przodków nic się nie działo. Bytowali w lasach i w jaskiniach, czerpali wodę z tego samego wodopoju co zwierzęta, harpunami łowili ryby i polowali na jelenie, mamuty, niedźwiedzie, dzikie konie i inne zwierzęta. Ci, których nie stresował akurat problem zdobycia pożywienia, rzeźbili w muszlach, kościach, szukali jagód albo upiększali swoje jaskinie i obozowiska abstrakcyjnymi rytami naskalnymi... aż, właśnie... aż - hokus pokus - pofałdowała im się nagle kora mózgowa i wynaleźli astronomię oraz architekturę megalityczną.

Co różniło człowieka od małpy? Przez dziesiątki tysięcy lat

- a jeżeli weźmiemy pod uwagę neandertalczyka potrafiącego myśleć, to nawet przez pełne 70 tys. lat - nasi bracia nie wymyślili nic nowego. Tysiąc lat stanowi okres dość długi, dziesięć tysięcy to cała epoka. Dla gatunku inteligentnego, mówiącego, wędrownego i wymieniającego doświadczenia tysiące lat to wieczność.

Pseudoargumenty

Chociaż nic nie wiadomo dokładnie, antropologia uznaje proces ewolucji człowieka od małpy do Homo sapiens sapiens za pewnik. To naprawdę smutne, jakie pseudoargumenty stosuje się w podręcznikach, żeby zatkać luki w naszej wiedzy. Czytam, że praludzie żyli w hordach i dzięki temu rozwinęli zespół zachowań inteligentnych i społecznych. Groza! Wiele gatunków zwierząt, nie tylko małpy, żyło i żyje w hordach, lecz poza pewną hierarchią i umiejętnością utrzymania porządku w stadzie nie rozwinęły inteligentnych zachowań.

Mówi się, że człowiek jest inteligentny, bo dopasował się lepiej niż inne małpy. Do czego, proszę, Homo sapiens sapiens dopasował się lepiej? To żaden argument. Dlaczego nie "dopasowały" się inne naczelne - goryle, szympansy i orangutany? Zgodnie z prawami ewolucji nawet te zabawne stworzenia musiałyby "z konieczności" rozwinąć inteligencję. Ewolucji nie można w zależności od potrzeb stosować do wybranego (przez kogo wybranego?) gatunku. Fakt, że jesteśmy inteligentni, dowodzi - w porównaniu z istotami nieinteligentnymi - tylko tego, że nawet my nie powinniśmy być inteligentni. Istnieją poza tym gatunki nieporównanie starsze od naczelnych. Wykazano, że na przykład skorpiony czy karaluchy żyły już 500 mln lat temu. Jeśli przeżyły, to musiały się "dostosować" o wiele lepiej od nieporównanie młodszego Homo sapiens. Gdzie są przedmioty artystyczne stworzone przez skorpiony, gdzie ich miejsca wiecznego spoczynku?

Dowiaduję się, że człowiek nie ma sierści, bo zaczął okrywać się futrami zwierząt. Chyba ktoś tu robi ze mnie balona. Przecież człowiekowi pierwotnemu sierść nie wypadła dlatego, że zawijał się w futra!

Podobno człowiek zszedł z drzewa ze względu na klimat. Tam do diabła! Ludzie to mają pomysły! Jak gdyby jakiś gatunek małp przewidział, że będzie kiedyś niezbędny dla człowieka w teorii ewolucji, i zszedł z drzew - lecz choć działo się to w jednym i tym samym klimacie, kolegów bujających się wśród konarów zostawił. Zachowania społeczne naszych praprzodków były bardzo słabo rozwinięte.

Bzdura! To wcale nie tak, bo - jak piszą w mądrych książkach - było tam jeszcze coś. Człowiek pierwotny stanął na tylnych nogach ze strachu przed silniejszymi zwierzętami i w celu łatwiejszego zdobywania pokarmu. To naprawdę zabawne! Małpie naśladownictwo jest przysłowiowe. Dlaczego więc inne małpy nie naśladowały tego sprytnego zachowania? Mniej bały się dzikich zwierząt? A jeśli już taka logika zmusza do stosowania inteligencji, to przecież żyrafy, które widzą i czują każdego wroga na parę kilometrów, już od dawna powinny się były oddawać jakiejś rozwiniętej żyrafiej religii.

Argumentuje się nawet, że naczelne naszej rodziny zaczęły jeść mięso, żeby odżywiać się łatwiej i lepiej. "Nasza" małpia rodzina miała tym samym zdobyć znaczną przewagę nad innymi małpami.

O Boże! Od kiedy "łatwiej" upolować gazelę niż zerwać owoc z drzewa? Poza tym dzikie koty i ryby drapieżne od milionów lat żrą tylko mięso, razem z mózgiami swoich ofiar. Czy stały się przez to inteligentne?

Na wszystkie mleczne drogi Wszechświata! Jeżeli przyjmiemy takie i sto innych podobnych motywacji jako powód, że jakiś gatunek staje się inteligentny, to na naszej planecie musiałoby się roić od inteligentnych form życia - szczególnie takich, które mogłyby rzucić na wagę znacznie więcej lat niż te marne milioniki, jakie my mamy do dyspozycji.

Hokuspokusmarokus

Prosto do królestwa czarów prowadzą twierdzenia, że organizmy żywe wykształciły określone narządy, bo ich potrzebowały. To, co po wielu próbach

udaje się naszemu genetykowi w niezłym laboratorium, według modlitewnika ewolucji przebiega non stop?

Dla przeprowadzenia genetycznej zmiany, dla przemieszczenia jednego nukleotydu, konieczna jest mutacja. Takie mutacje mogą przebiegać samorzutnie - na przykład pod wpływem promieni jonizujących lub związków chemicznych działających na DNA (kwas dezoksyrybonukleinowy). Ale samo pragnienie zaistnienia mutacji nie wystarczy do wymiany jednego nukleotydu na drugi czy nawet zastąpienia jednej sekwencji cząstek podstawowych przez inną. Czy będzie sprzecznością stwierdzenie: jeżeli najprostsze formy życia, np. wielokomórkowce, nie miały i nie mają mózgu, to gdzie powstają ich życzenia czy nawet rozkazy, aby chęć mutacji zamienić w czyn?

O ile formy pozbawione mózgu nie mogą nawet marzyć o wyrażeniu chęci takiej zamiany, o tyle w przypadku istot nim dysponujących chęć taka jest zupełnie zrozumiała - lecz mimo to długo jeszcze nie da się jej do końca wyjaśnić. Człowiek pierwotny zaczął nagle żreć mięso, więc wykształcił mocniejsze zęby, które mu szybko rosły. Czy zatem człowiek pierwotny posiadał zdolności parapsychologiczne albo umiejętności transcendentne - pozwalające mu za pomocą mózgu kierować procesami mutacji? A tego wymaga ta logika, od której włos się jeży na głowie - z drugiej strony tylko cud może tak nagle zmienić kod genetyczny, czyli kolejność podstawowych cząstek DNA. Proszę mi łaskawie wytłumaczyć, w jaki sposób chęć zmiany lub wszechmocne środowisko może doprowadzić do zamierzonej mutacji.

Nie mniej zagadkowe jest dla mnie permanentne twierdzenie, że w trakcie tysięcy lat ewolucji samorzutnie wykształcają się narządy niezbędne istotom żywym. Myśl tę wypowiedział już przed 170 laty Jean Baptiste Lamarck (1744-1829), twórca lamarkizmu. W epoce technologii genetycznej teorię tę należałoby dawno zarzucić, ajednak się tego nie robi. Czytam, że przyroda w cudowny sposób troszczy się o nasze potrzeby. A więc cudowna przyroda zawiodła na całej linii.

Mimo stałych, przypadkowych ingerencji w strukturę DNA, wywierających na "naszą linię" przede wszystkim rzekomo pozytywne rezultaty.

Człowiekowi dała mózg o wiele za duży, jak na jego potrzeby. Swój najdoskonalszy produkt opatrzyła marnym organem wzroku, pozwalającym patrzeć tylko do przodu. W swoich mniej rozwiniętych wyrobach, na przykład w insektach, montuje oczy o ogromnym kącie widzenia - ślimakowi wprawiła nawet aparaturę pozwalającą wysuwać organ wzroku i patrzeć we wszystkich kierunkach. Najdoskonalszy produkt natury, Homo sapiens, ma bardzo wiele wad.

Konsekwencja

Przy tych wszystkich zarzutach jest dla mnie całkiem jasne, że staliśmy się takimi, jakimi jesteśmy, i że "nasza linia" nie potrzebuje wysuwanych oczu, żeby zejść jeszcze dalej. Nie należy jednak postępować tak, jakby wszystkie cuda można było wyjaśnić mutacją, selekcją naturalną, milionami lat i niemal nieprzerwanym łańcuchem przypadków. Kiedyś instytucje kościelne blokowały postęp nauki.

Na podobny hamulec naciskają dziś przedstawiciele różnych ideologii. Dawniej wierzono w religie i ich twórców - dziś wedle tej samej recepty wierzy się w ideologie i ich twórców. Wciąż tylko się wierzy. W tej ogromnej wspólnocie wiernych naukowcy nie zaryzykują nawet słówkiem. Kto wskoczy na ring i będzie samotnie walczyć przeciw uznanym autorytetom?

Mógłbym całkiem nieźle żyć sobie z teorią ewolucji, gdyby nie propagowała wniosków ostatecznych, dążących do jednotorowości w myśleniu. Religie minionych stuleci wyniosły człowieka do godności "korony stworzenia" - myślenie kategoriami ewolucji robi z niego "szczyt ewolucji". W obu przypadkach jesteśmy "najwięksi".

To bardzo pochlebające, ale zamyka horyzonty nowych rozwiązań. Jak myśliwy zbieracz przeobraził się w wykształconego technika kultury megalitycznej? Przez długotrwałe, ustawiczne dopasowywanie? Przez

podnoszenie możliwości intelektualnych i ukierunkowaną naukę? Zgoda - jest to doktryna popularna, lecz zarazem wyraz umysłowego lenistwa opartego na niechęci do nauki.

Adieu, stara teorio!

Ewolucja nigdy nie była procesem ustawicznej, powolnej zmiany i dopasowywania. Przeobrażenia następowały falami, skokowo.”W istocie różne gatunki pojawiały się nagle - nie zaś spokojnie i niezauważenie. Całość następowała na sygnał fanfar.”

Człowieka, który to napisał, nie można określić mianem fantasty. Specjaliści nie pomówią go też o dyletanctwo. Sir Fred Hoyle jest profesorem fizyki teoretycznej, założycielem Instytutu Astronomii Teoretycznej w Cambridge i członkiem amerykańskiej Academy of Science. W swoich dwóch książkach [7, 8], które powinny się stać lekturą obowiązkową każdego antropologa, sprowadza adabsurdum dotychczasowe założenia teorii ewolucji. Dowód Hoyle’a jest nie do obalenia - a więc się go przemilcza. Rozumiem, że przed outsiderem staje ściana pysznego i obłudnego milczenia - sam doznałem tego w trakcie pracy. Zawstydzające jest jednak, że wielcy naukowcy sięgają po podobne środki wobec siebie nawzajem.

Fred Hoyle wykazuje, że Ziemia”nie jest biologicznym centrum Wszechświata, lecz tylko jakby punktem zbornym”. Geny, cegiełki życia przeobrażające wszystko i odpowiedzialne za samorzutne i niezrozumiałe mutacje przybyły i przybywają z Kosmosu.

Naprawdę nowatorska idea! Jasne, że nie podoba się nikomu, kto uważa się za szczyt ewolucji albo za koronę stworzenia. Straszna myśl: Nie jesteśmy najwięksi? Czy to geny z Kosmosu miałyby spowodować i powodować - również w naszej epoce - skoki mutacyjne?

Oburzenie dowodem Freda Hoyle’a jest zrozumiałe. A przy tym nawet w kręgu ludzi nauki już od dobrych dwudziestu lat przewidywano, że w końcu pojawi się argumentacja nie do odparcia.

Wystarczyło zajrzeć do jednej z tak inteligentnych książek prof. dr. WilderaSmitha, albo - niech i tak będzie! - przekartkować nowsze dzieło laureata Nagrody Nobla, Francisa Cricka.

(Oraz literaturę dodatkową!)

A jeśli ktoś stwierdzi, że to wyjątki i przedstawiają tylko teorię, ten niech w pierwszej bibliotece uniwersyteckiej sięgnie do na wskroś nowatorskiej książki Brunona Vollmerta 'Cząsteczka i życie'.

Profesor Vollmert był bądź co bądź profesorem zwyczajnym chemii substancji znakocząsteczkowych oraz dyrektorem Instytutu Polimerów Uniwersytetu Karlsruhe. Naprawdę nie jest ignorantem? To właśnie specjaliści w tej dziedzinie najlepiej znają się na powstawaniu takich makrocząsteczek jak DNA.

Ideologia kontra nauka

Vollmert stwierdza jasno i wyraźnie, iż chemik zajmujący się polimerami ani nie da sobie wmówić, ani sam sobie nie wmówi, że cząsteczki DNA powstały w prabułionie przypadkiem. Dotyczy to także łańcuchowego przyrostu DNA w trakcie przechodzenia na Ziemi od niższego gatunku zwierząt do wyższego. Vollmert mówi dosłownie:

„Uważam darwinizm za nieszczęśliwą pomyłkę, zawdzięczającą swój bezprzykładowy sukces tylko i wyłącznie antropocentrycznemu myśleniu życzeniowemu.” To samo mówi Fred Hoyle, który zadaje sobie pytanie, dlaczego biolodzy zachwycają się fantazjami wyssanymi z palca, a kwestionują „to, co oczywiste”. Hoyle:

„W epoce przedkopernikańskiej sądzono błędnie, że Ziemia jest geometrycznym i fizycznym środkiem Wszechświata. Dziś z pozoru godna szacunku ziemską nauka widzi w człowieku biologiczne centrum Wszechświata - wprost niewiarygodne powtórzenie poprzedniego błędu.” Tak to już jest. Jak mogło dojść do tego, że nauczyciele akademicy, którzy powinni być otwarci na każdą argumentację, upierają się przy starym i przez prawdziwych fachowców

dawno odrzuconym bezsensownym modelu ewolucji? To sprawa systemu.

Autor dysertacji czy książki naukowej musi cytować, cytować i jeszcze raz cytować - powtarzając stare punkty widzenia jak w młynku modlitewnym. Praca nie musi być nowatorska, wystarczy, że zawiera prawdy wielokrotnie przeżute i będzie wykazywać jakieś związki między nimi. To, co się "wie", sprawia radość i przynosi zadowolenie, nawet jeśli ta "wiedza" jest wiedzą życzeniową, pozorną. Inne punkty widzenia odpędza się jak natrętne muchy - przynoszące same przykrości. Poza tym - z socjologicznego punktu widzenia - swoim zachowaniem człowiek czuje się związany ze stadem. Ta większość również składa się z powtarzaczy. Do tego dochodzi, że dotychczasowa teoria ewolucji dostała się do wielkiej stajni ideologicznej. Hoyle: "Kto nie życzy sobie, aby darwinizm był traktowany jako zjawisko społecznohistoryczne i nie uważa, że jest niezbędny dla spokoju dusz obywateli państwa, widzi to zapewne inaczej."

Anioł Ziemia nie jest systemem zamkniętym - nigdy takim nie był. Ziemia otrzymuje z zewnątrz posłania oraz informacje, powodujące nagłe skoki ewolucji. Człowiek nie oddzielił się od małpy dlatego, że lepiej się do czegoś dopasował, lecz dlatego, że nowe geny pozwoliły mu wznieść się na wyższy poziom. W równie niewielkim stopniu to, że z Homo erectus powstał neandertalczyk, a z neandertalczyka astronom i technik epoki megalitycznej, jest spowodowane faktem, że dostosowywał się do zmiennych wpływów środowiska - raz do epoki lodowcowej, raz do interglacjału. Posłanie inteligencji jest kosmiczne, tylko jego cielesna powłoka powstała na miejscu.

Wspaniała sprawa

Twierdzą ni mniej, ni więcej jak tylko, że zmiany form życia nie przebiegały powoli i w pojedynczych egzemplarzach, lecz masowo. Nie jest to pomysł nowy, propaguję go od piętnastu lat. Degraduje on do rangi groteski dotychczasowe twierdzenie o mozolnej i ustawicznej ewolucji, dowodząc przynajmniej tego, że lekceważymy jakieś inne wpływy.

Każda forma życia rozmnażająca się przez zapłodnienie dysponuje

specyficzną liczbą chromosomów. Komórka płciowa człowieka ma ich 46: 22 autosomy oraz jeden chromosom X lub Y. Tylko takie same pary chromosomów są zdolne do zapłodnienia. Dlatego

- gdyby perwersja tego rodzaju przyszła komuś do głowy - człowiek nie może się krzyżować z szympansem, choć oba gatunki wywodzą się z jednego pnia. Ich liczby chromosomów zupełnie do siebie nie pasują.

Wprawdzie u wszystkich gatunków występują stałe, pojedyncze mutacje chromosomowe, lecz nosiciele tak zmutowanych chromosomów są bezpłodni - mają chromosomów za dużo lub za mało. Na lądzie żyje około 20 tys. gatunków pajaków - ale przedstawiciele różnych gatunków nie mogą mieć ze sobą potomstwa.

Możliwe jest oczywiście, że wśród wielu nowo narodzonych osobników przypadkiem odnajdą się pasujący do siebie i spłodzą potomstwo tworząc w ten sposób nowy gatunek. Jego przedstawiciele jednak będą mogli się mnożyć tylko w związkach między krewnymi”obarczonymi błędem drukarskim”. Towarzysz Przypadek daje na wszystko baczenie, a nikt nie wie, jak długo to potrwa. W trakcie ewolucji z meduz, robaków i podobnych stworzeń powstały kręgowce. Ale z kim sparzył się pierwszy nowy osobnik, wyciągnięty niejako z bębna loterii nieskończonej sekwencji przypadków? Czy człowiek myślący może wierzyć, że obok takiego pierwszego zmutowanego bydlątka zaroilo się od razu od odpowiednich dla niego partnerów seksualnych? Żeby nastąpił akt zapłodnienia, potrzeba dwojga osobników tego samego gatunku, ale różnej płci. Dzięki Bogu, chciałoby się dodać. Mutacja tylko jednego osobnika, zmiana zespołu chromosomów tylko jednej istoty nie zda się na nic. Trudno też sobie wyobrazić, żeby jednocześnie - a zarazem niezależnie od siebie - nastąpiły dwie takie same mutacje, i żeby te istoty, samiec i samica, spotkały się przypadkiem na bezkresnych połączeniach kuli ziemskiej!

Co robił nasz pierwszy samotny, szkaradny praprzodek? O jakiej liczbie chromosomów mówiły jego komórki? Z kim mógłby się rozmnażać? W końcu

rozwinął pewnie w sobie ten pierwotny popęd, bo inaczej jego linia by się urwała, zanim zdążyłby się na Ziemi na dobre zadomowić.

Wyznawcy ewolucji przecinają ten węzeł gordyjski wiarą wjednoczesne mutacje u bliźniąt i/albo tak zwanych”form przejściowych”. O co chodzi?

Samica hominida rodzi bliźniaki. Braciszek i siostrzyczka parzą się ijuż mamy nową linię. Jest to bez wątplenia kazirodztwo, bo nie było możliwości parzenia się z innymi hominidami ze względu na różnice w ilości chromosomów. Jest jeszcze gorzej: kazirodztwo powoduje zwiększenie się błędów zawartych w kodzie genetycznym - nie ma wyjścia. (Gdy zrobimy fotokopię z oryginału, a potem kolejną kopię z tej kopii - i z każdej następnej kopii dalszą kopię, to nta kopia będzie zupełnie nie do użytku.)

Hipoteza”form przejściowych” jest jeszcze słabsza. Prof. dr WilderSmith, który swój pierwszy bilet włożył doktoryzując się w dziedzinie chemii organicznej i na pewno zalicza się do naukowców bardzo wykształconych, wyjaśnił to na następującym przykładzie:”Formy przejściowe powstałe na drodze ewolucji nie mogą spełnić żadnego zadania, bo są doskonale nieprzydatne. Za przykład może posłużyć organizm samicy wieloryba, pozwalający jej karmić ssące potomstwo pod wodą, nie dając mu przy tym utonąć.Nie można sobie wyobrazić żadnej ewolucyjnej formy pośredniej na drodze od zwykłego sutka do w pełni rozwiniętego sutka wielorybicy, umożliwiającego karmienie pod wodą. Albo sutek ten istniał od razu w formie takiej jak dziś, albo go nie było. Jeżeli się twierdzi, że taki organ wykształca się stopniowo przez przypadkowe mutacje, to dla wielorybów oznaczałoby to śmierć przez utonięcie w trakcie rozwoju sutka - a rozwój ten musiał trwać tysiące lat. Odrzucanie w trakcie badań możliwości planowania takich struktur poddaje naszą łatwowierność próbie trudniejszej niż wezwanie, aby uwierzyć w inteligentnego konstruktora sutka, który poza tym musiał się znać na hydraulice.”Ta argumentacja powinna ostatecznie rozbroić niedowiarków.

Nie! - krzyczą osoby przyzwyczajone do starego poglądu wyskakującego jak

diabełek z pudełka. Wieloryb, mówią, jest ssakiem, który kiedyś żył na lądzie i dopiero potem chlupnął do wody. Jest to argumentacja jeszcze bardziej wyświechtana. Jakże odważnej zmiany warunków życia wymaga się od wieloryba, który na świat wydawał swoje dzieci na lądzie i stopniowo - zbrojny w sutek! - udawał się w odmęty, żeby młode mogły ssać pod wodą. Fenomenalne! To niewątpliwe, że wieloryb jako ssak musiał zmienić środowisko - ale nie była to zmiana powolna i ustawiczna, lecz nagła.

„Formy przejściowe” nie rozwiązują problemu liczbowych zmian zespołu chromosomów. O ile takie”formy przejściowe” w ogóle istniały. Sir Fred Hoyle uważa”formy przejściowe” znalezione w kopalnych skamielinach za legendę. Hoyle:

„Twierdzenia te [dotyczące form przejściowych - przyp. E.v.D.] są tym bardziej problematyczne, im wyższa jest wartość naukowa pracy [...] Jeśli człowiek się uprze i przebrnie przez literaturę geologiczną, to w końcu dojdzie do następującej prawdy: skamieliny są dla darwinizmu dokumentem niewystarczającym nie ze względu na brak umiejętności geologów, lecz dlatego, że wymagane przez teorię powolne przemiany w trakcie ewolucji nie miały miejsca.”Widząc ten spis z natury można dostać zawrotów głowy. Ale lepiej mieć przez chwilę zawroty głowy, niż kręcić bez sensu przez całe życie. Jeżeli nie miała miejsca żadna stała i powolna zmiana form życia i ich zachowań to gdzież przyczyna zmian?

Upiory krążą

Ani na chwilę nie możemy zapomnieć o tysiącach lat, tej otchłani czasu, w której człowiek był myśliwym i zbieraczem. Potem nagle poczuł cudowne tchnienie i jego szare komórki postanowiły, że będzie wydrapywać rysunki na skałach i ścianach jaskiń. W ten sposób dostał się na autostradę ewolucji?

Zdumiewające jest tylko, że nasi zmarli przodkowie załatwili sprawę globalnie. Ryty naskalne (petroglify) są dziedziną sztuki znaną na całym świecie - była ona uprawiana przez ludy, które ani nic o sobie nie wiedziały, ani

wiedzieć nie mogły. Wydrapywano je na skalnych zboczach wyżyny Tassili na Saharze (Algieria), w dżungli Mato Grosso, w dalekim Jemenie, na wybrzeżach południowego

Chile. "Obrazkowe pozdrowienia" od ludzi z epoki kamiennej, "widokówki" z odległej przeszłości znajdujemy od Hawajów po środkowe Chiny, od Syberii po północną Afrykę. W paru przypadkach wiemy, które plemiona sporządzały rytzy - tyle że ludy te nazwała pośmiertnie dopiero współczesna nauka.

Ile takich rytów istnieje? Pewnie miliony. Są one nawet na maleńkich wyspach i najwyższych górach. Można na nie trafić zarówno na mroźnej Alasce, jak i na rozpalonej słońcem wyżynie Kimberley w Australii. Wszędzie, gdzie dotarło globalne wezwanie: "Przyjaciele, nadeszła era sztuki naskalnej!"

Koczownicy epoki kamiennej cholernie się chyba nudzili. Aż w końcu zaczęli tworzyć - jako rylca używali ostrego kamienia, szkiełkiem była skalna ściana. A potem zawiązała się nagle potrzeba dalszego przekazywania informacji. W zasadzie nie można by temu nic zarzucić, gdyby nie dwa zastanawiające fenomeny: a) występowanie rytów na obszarze całej kuli ziemskiej; b) powtarzające się motywy.

Badanie symboli należy do dziedzin wiedzy traktowanych nie dość poważnie przez niektórych badaczy prehistorii. A jeśli już któryś zasiądzie do czasochłonnej i mozolnej pracy, polegającej na sporządzaniu reprodukcji i interpretowaniu wizerunków naskalnych, to ogranicza się zwykle do jednego regionu. Brakuje opracowań globalnych. Prawie przed trzydziestu laty Oswald O. Tobisch próbował stworzyć system złożony z co najmniej 6 000 rysunków. Jego odkrycia, przedstawione w długich tabelach, zapierają dech w piersi.

Tobisch wykazał pokrewieństwa rytów z całego świata. Można odnieść wrażenie, że prehistorycznym artystom dana była kiedyś wspólna prakultura albo wspólna prawiedza.

Przez 30 lat od wydania książki Tobischa opublikowano wiele albumów i

broszur o niezliczonych rytach naskalnych

- istnieje więc ogromny materiał porównawczy. Ostatnio zawiązano też międzynarodowe towarzystwa, których członkowie”za przedali się” sztuce naskalnej. Na przykład autriackoszwajcarskie GEFEBI zajmuje się porównawczymi badaniami sztuki naskalnej. Towarzystwo to kolekcjonuje i publikuje wspaniałe materiały. Oczywiście te miliony rytów naskalnych nie powstały w tym samym czasie, często - ale nie zawsze - dzielą je tysiąclecia. Niekiedy w trakcie tysiącleci te same skały”zamalowywano” kolejnymi dziełami sztuki. Mimo to pozostaje faktem jednoczesne sporządzanie rytów naskalnych w niezwykle odległych od siebie rejonach naszego globu.

Czy w Toro Muerto w Peru, gdzie odkryto dziesiątki tysięcy rytów, czy we włoskiej Val Camonica, czy przy autostradzie Karakorum w Pakistanie, czy na Wyżynie Colorado w USA, czy w Paraibo w Brazylii, czy wreszcie w południowej Japonii - wszędzie pojawiają się te same symbole i postacie. Nie kwestionuję faktu - bo kto mógłby? - że wśród nich znajdują się też przedstawienia typowo lokalne, nie spotykane gdzie indziej - zagadka zadziwiających pokrewieństw artystycznych jednak pozostaje.

Z codziennością ludzi epoki kamiennej - nieważne, gdzie żyli

- wiążą się sceny z polowań, poza tym słońce, księżyc, koła, kreskowe ludziki, odciski dłoni czy rysunki ukazujące uprawę roli. Zadziwiające jest tylko to, że postacie były opatrywane unisono takimi samymi atrybutami, jak gdyby na wszystkie kontynenty tamtamy przekazały informację:”bogowie to ci z promieniami!”

„Bogowie” są zwykle wyobrażani jako postacie większe niż zwykli ludzie. Ich głowy są zawsze przyozdobione”aureolą”, z której nierzadko wybiegają promienie. Wyraźnie też widać, że ludzie pozostają zazwyczaj w bezpiecznej odległości od bogów - klęcząc, leżąc na ziemi albo wznosząc ręce. Cóż skłoniło naszych przodków, dopiero co wyrosłych z małpy, do wyrażania tak ujednoczonych poglądów? Czy prehistoryczni artyści ukończyli tę samą

akademig sztuk pięknych? A może wzięli udział w tej samej międzynarodowej konferencji na temat sztuki naskalnej?

Carl Gustaw Jung czy Sigmund Freud mogą do wyjaśnienia zagadki zatrudnić zbiorową podświadomość, kolektywne wizje albo głębię psyche. Mnie wydaje się jednak, że przypuszczenie Oswalda Tobischa, fachowca i podróżnika, znacznie bardziej przybliżyło rozwiązanie tego zagadkowego problemu:

„Czy niegdyś istniała jedność pojmowania boga przez niezrozumiałą dla dzisiejszych umysłów międzynarodowość, i czy ludzkość ówczesnej epoki tkwiła może jeszcze w kręgu ‘praobjawienia’ stwórcy jedyne go i wszechmocnego?”

Ci faceci epoki kamiennej to były cwane chłopaczki! Albo Anioł

Ziemia wlał im przez lejek do głowy powszechne posłanie, albo globalna wieść wnikała jakoś inaczej w budzące się umysły, albo wreszcie wszyscy ludzie epoki kamiennej to samo widzieli, podziwiali, tego samego się bali - i wiedzę tę przekazywali następnym pokoleniom. Jak byłoby dla nas wygodniej? Tak czy siak, bezspornym faktem są tajemnicze dzieła sztuki z czasów, gdy telefaksy podłączone do międzynarodowej sieci telefonicznej nie wypływały jeszcze obowiązującego wzoru obrazu. Te kilka porównań mówi za siebie.

III. Narodziny techniki

Wśród ludzi jest więcej kopii niż oryginałów. Pablo Picasso (1881 - 1973)

To, co przedstawiłem na poprzednich stronach jako materiał do dyskusji, może wprawić w osłupienie, wywołać gniew lub zdziwienie,

- a przecież jest to tylko wstęp do niewiarygodnej historii. Kolejną rundę zapowie uderzenie w gong, rozpoczynające pieśń pogrzebową. Kiedy nasi przodkowie wynaleźli wreszcie kulturę i zaczęli sporządzać rytzy naskalne oraz inne niewielkie dzieła sztuki, nauczyli się wobec siebie respektu.

Uświadomienie, że ludzie nie są wcale sobie równi, było tożsame z narodzinami szacunku. Ktoś, kto tworzył wspaniałe rysunki naskalne, dysponował

odmiennymi zdolnościami niż ktoś, kto wyłamywał kły mamutom. Pierwszy był zapewne drobny, wrażliwy, drugi zaś muskularny, silnie zbudowany, dzielny i odważny do szaleństwa. Ale i tak nie oni, lecz rodząca matka znajdowała się zapewne - o czym świadczą posążki tak zwanych "bogiń macierzyństwa" - na pierwszym miejscu "listy rankingowej cenionych zawodów".

Uznanie w oczach współplemieńców spowodowane określonymi zdolnościami spowodowało, że ludziom nimi obdarzonym oddawano cześć - to zaś z kolei doprowadziło do budowy grobów. Nie można się było beczynnie przyglądać, jak sępy i hieny rozszarpują zwłoki kochanej lub szanowanej osoby. Nastął zwyczaj grzebania zmarłych. Żałobnicy patrzyli ze smutkiem i łzami w oczach na miejsce, w którym spoczywała ukochana osoba. Czy to było wszystko? Czy naprawdę nic po niej nie pozostało? Z szacunkiem dotykano nielicznych kawałków futra, narzędzi i dzieł sztuki, które pozostawił nieboszczyk. Zaczęto oddawać cześć zmarłym, powstał kult zmarłych, prehistoryczny człowiek zaczynał się zastanawiać, co jest po śmierci. A może umarły żyje gdzieś nadal? Czy liszka nie przepoczwarza się, aby zbudzić się wiosną jako motyl? Czy wracający z królestwa zmarłych nie zażądają przypadkiem zwrotu swojej broni, narzędzi, ubrań i ulubionych przedmiotów?

Zmarłych zaczęto grzebać uroczyście, znamienitym osobom kładziono do grobu przedmioty codziennego użytku. Ale ziemia była twarda, kamienne narzędzia nie bardzo nadawały się do kopania, głębokość grobu była wciąż niedostateczna - zwierzęta wygrzebywały zwłoki. Zrodziła się więc idea, aby nad miejscem pochówku układać kamienne płyty - tak powstały pierwsze, nieduże dolmeny.

Dolmeny były zjawiskiem globalnym = tyle że nie ma w nich nic tajemniczego ani zagadkowego. Jeszcze nie. Znam nieduże dolmeny na wszystkich kontynentach. W Europie jest ich pełno. Dolmen jako ochrona zwłok powstał z naturalnej potrzeby... aż - tak, aż w którymś tysiącleciu przed Chrystusem ziemski glob ogarnęła kolejna "fala mody". Ludzie zaczęli

piętrzyć”superdolmeny” zorientowane astronomicznie, o których nie możemy powiedzieć na pewno, że przeznaczeniem ich było miejsce pochówku.

Nowy wirus: megalititis

O Boże, gdybyż New Grange był jedynym korytarzowym grobem na świecie! Jakie proste i logiczne stałoby się wówczas wytłumaczenie. Gdyby czarodziejskie światła i promieniste cuda ograniczały się do Irlandii i Xochicalco, nie miałbym powodu do czepiania się spraw wątpliwych i wyciągania nielogiczności. Ale polecenia danego przez czarodziejską różdżkę:”Budujecie olbrzymie megalityczne groby zorientowane astronomicznie” posłuchano na całym świecie. Tylko w rejonie zatoki Morbihan (Bretania) 135 spośród 156 dolmenów jest zorientowanych na przesilenie letnie lub zimowe. Jestem skłonny powiedzieć, że”w najbardziej niemożliwych miejscach”

- mówiąc obrazowo: z dala od”kamiennej zarazy” - powstawały astronomiczne budowle megalityczne,”groby korytarzowe”, przeogromne dolmeny, samotne menhiry na wzniesieniach będących punktami obserwacyjnymi oraz całe ich szeregi, zorientowane z geometryczną precyzją, lecz nijak nie pasujące do obrazu epoki kamiennej.

Od neandertalczyka począwszy potencjał mózgowy na pewno był już nastawiony na potrzeby naukowego poznania. Ale neandertalczyk czy człowiek z CroMagnon i jego potomkowie tak samo gapili się w noene niebo, podziwiali gwiazdy, tępo patrzyli w Księżyc i przeżywali pory roku jak człowiek megalitu w roku X. O ile jednak potomkowie neandertalczyka przez tysiące lat gapili się na gwiazdy, o tyle człowiekowi megalitu astronomia, geometria i matematyka weszły do głowy właściwie przez jedną noc - do tego opanował on bez trudu technikę transportowania i podnoszenia do pionu ogromnych głazów. W owej trudno datowalnej epoce w ludzkim mózgu ruszyło kilka nowych, ważnych trybików. Szare komórki zaczęły niespodziewanie myśleć, liczyć i kombinować.

Zarzut, że wiadomości te były gromadzone powoli i przekazywane z

pokolenia na pokolenie, że nic nie powstało "przezjedną noc", stoi w sprzeczności z kamiennymi faktami. Nie istniało wówczas pismo, nie było bibliotek, w których gromadzonoby wiedzę. Z najwyższego bocianiego gniazda nie dałoby się dostrzec wędrowców krzewiących te umiejętności na całym świecie. Człowiek epoki kamiennej został obdarzony wiedzą jak najniewinniejsza dziewczica dziecięciem.

W obliczu "miedzynarodowości" kultur megalitycznych odważę się zadać kilka prowokujących pytań: Czy do systemu "człowiek" dodano świeże geny? A może geny prastare, ale zawierające nowe informacje, przetrwały w lodzie kontynentalnym? Czy fakt, że Anioł Ziemia dał te prastare/nowe informacje do dyspozycji przyrodzie, był skutkiem topnienia lodów? A może na ludzi megalitu wywarli wpływ nauczyciele spoza Ziemi?

W którym miejscu należy zacząć wyliczanie rzeczy niemożliwych?

Bywałemu człowiekowi Zachodu nazwa Stonehenge jest bliska, widział też zdjęcia alej menhirów w Bretanii. Może czytał coś o dolmenach i grobach korytarzowych w Danii a podczas wakacji dotykał megalitycznych budowli w Hiszpanii, na Minorce czy

Wyspach Kanaryjskich. Wszystko w zasięgu ręki. Ale pan Muller czy pan Kowalski nie wie nic - bo skądże? - o kulturach megalitycznych Peru, Sri Lanki, Ameryki Północnej czy Indii. W samych południowych Indiach jest około 15b0 megalitycznych nekropoli, a paręset w pozostałych regionach tego kraju - aż po Wyżynę

Kaszmirską.

Co to znaczy "megalityczny"?

Oto co pisze na ten temat Encyklopedia Archeologii Lubbeego: "Megality - budowle, groby i skupiska kamienne złożone z wielkich głazów (gr. megas: wielki oraz litos: kamień). Nie istniał jeden lud megalityczny, lecz megalityczne zwyczaje u wielu ludów i plemion."

Nieprecyzyjne daty

Tak to już jest. W konsekwencji nie ma również ograniczonej czasowo epoki megalitycznej. Ktokolwiek na świecie obrabiał, transportował i wznosił do pionu wielkie głazy, robił to w swojej epoce megalitycznej - kiedykolwiek by to było. Istnieją świątynie megalityczne, których nie można datować z pewnością, inne powstałe ok. 2 000 r. prz.Chr., i jeszcze inne, wzniesione w ostatnim stuleciu. Mnie chodzi wyłącznie o budowle najstarsze. Wszystko, co ma mniej niż 5000 lat, nie wchodzi w rachubę, bo w późniejszych epokach zbyt wielki był wzajemny wpływ poszczególnych ludów na siebie - "przejmowano" zwyczaje od innych.

Datowanie megalitów jest nader interesujące. Oddam wszystkie skarby świata, żeby się dowiedzieć, jak archeolodzy dochodzą do takich rezultatów? Na wykładach słyszę wciąż, że wiek tej czy tamtej próbki można "łatwo" ustalić za pomocą metody C-14. Trzeba sobie od razu uświadomić, że kamieni nie da się w ten sposób datować. Metoda opiera się na zjawisku rozpadu radioaktywnego izotopu węgla C-14 i ma zastosowanie tylko do substancji organicznych (kości, węgiel drzewny, tkaniny itp.).

Ale kamienie też "dysponują" pewnym rodzajem promieniowania pochodzącego z atmosfery. Radioaktywność ta jest stale w stanie rozpadu - jej natężenie ulega zmniejszeniu - powodując tym samym zmiany struktury atomowej. "Dziury" w tej strukturze są od razu zastępowane przez jony i elektrony, przy czym elektrony zmieniają swoje położenie, gdy tylko do kamienia doprowadzi się energię.

Dzięki temu udało się stworzyć nową metodę datowania przedmiotów - analizę termoluminescencyjną. Próbkę jest ogrzewana (doprowadzanie energii), elektrony redukują swoją energię do niskiego poziomu i różnicę energetyczną zwracają w formie dającego się zmierzyć promieniowania.

Tę metodę można stosować do glinianych skorup i kamieni. Uwalniane promieniowanie jest proporcjonalne do radioaktywności pierwotnej, ponieważ znane są okresy połowicznego rozpadu substancji radioaktywnych.

Żeby natomiast zmierzyć pierwotny poziom elektronów, stosuje się metodę elektronowego rezonansu spinowego lub paramagnetycznego - zwanego w skrócie ERP. Kamień umieszcza się w polu magnetycznym i wtedy pojawia się dające się zmierzyć promieniowanie elektromagnetyczne, które pozwala określić wiek próbki.

Te wszystkie metody pomiarów, które powstały we wspaniałych i przenikliwych umysłach, mają jedną wielką wadę. Nie znamy wielkości pierwotnej pomiaru - a przecież specjalista musi gdzieś w przeszłości zacząć odliczanie.

Z uszczęśliwiającej wszystkich metody C-14 drwiłem już przed 24 laty. Jej "wielkość pierwotna pomiaru" zakłada, że na Ziemi zawsze znajdowało się tyle samo izotopu C-14. A jeśli to nieprawda? Jeśli w danym okresie atmosfera w różnych rejonach Ziemi zawierała inne ilości C-14 niż się zakłada? Wtedy tak precyzyjne i superczułe "zegary C-14" podawałyby nieprawdziwe dane.

Propozycję przyjęto. Fachowcy sprawdzają teraz pomiary dokonywane przy pomocy C-14 również innymi metodami. Nie brak wyrafinowanych urządzeń i dobrze pomyślanych technik pracy.

I tak kamienie zawierające kwarc można datować dokładnie przy pomocy silnych pól magnetycznych i promieniowania wysokiej częstotliwości. Metoda polega na ERP, a wykorzystuje zjawisko różnic w budowie kryształów kwarcu. Z biegiem tysiącleci na skutek Jonizujących promieni alfa powstają ubytki w siatce krystalicznej. Czasem brakuje atomu tlenu, czasem krzemu. Im kwarc starszy, tym większe braki w jego strukturze. W laboratorium próbki kwarcu poddaje się promieniowaniu alfa o intensywności zwiększanej do chwili uzyskania granicy nasycenia, porównywalnej z radioaktywnością naturalną, typową dla miejsca pobrania próbki. Fachowcy zapewniają, że w ten sposób można określać wiek kryształów kwarcu do 1,5 mln lat. Kto chciałby się dowiedzieć czegoś więcej na temat nowoczesnych metod datowania znalezisk, niech zajrzy do książki Josefa Riederera Archeologia i chemia - Jak patrzeć w

przeszłość.

Jak na razie - wspaniale. Wiadomo, ile lat ma kamień zawierający kwarc. Niestety cała bieda w tym, że nie daje to wcale odpowiedzi na pytanie, kiedy dany kamień obrabiano!

Specjalistom udało się rzecz zdumiewająca: Zdołali ustalić, że monolity Stonehenge pochodzą z oddalonych o 220 km gór Prescelly w Walii. Drobinę kamienia poddano badaniom mikroskopowym i przeprowadzono analizę wielkości, rodzaju a nawet układu minerałów w skale - wyniki porównano z badaniami skał z domniemanego rejonu. Co powiedział oficer śledczy? Tożsamość potwierdzona ale wiek niepewny

Dziura ozonowa przed 10 700 laty?

Najistotniejszym więc problemem nie jest wiek kamienia jako takiego, lecz data jego obróbki. Na jakiej "wzorcowej wielkości pomiaru" można polegać? Klimatolodzy badający pokrywę lodową południowej Grenlandii doszli do zadziwiającego rezultatu. Stwierdzili jednoznacznie, że przed 10700 laty nastąpiła gwałtowna zmiana klimatu. Nie był to proces powolny i ciągły - w ciągu kilku dziesięcioleci temperatura powietrza nad Grenlandią wzrosła o pełne 7oC. Tej nagłej zmiany klimatu nie można w sposób jasny i zrozumiały wyjaśnić za pomocą odwiertów w lodzie, potwierdziły ją jednak badania porównawcze osadów kalcytowych w Szwajcarii. Co to ma wspólnego z kamieniami?

W trakcie ostatniego zlodowacenia lód zatrzymał ogromne ilości pyłu kontynentalnego, popiołu wulkanicznego i materii meteorytowej. Nagłe ocieplenie uwolniło ten materiał do atmosfery. Bardzo prawdopodobne jest, że na skutek tego środowisko otrzymało dodatkową dawkę promieniowania jonizacyjnego. W naszych "wzorcowych wielkościach pomiaru", będących punktem wyjścia dla datowania, znów zapanował chaos. Poza tym nieznaną jest powód nagłego stopnienia lodów.

Nawet daty sprawdzone opierają się na badaniach współczesnych

- wiedza ta już jutro może okazać się nieaktualna. Do megalitycznych budowli stosuję ogólną regułę: im większe, tym starsze. Zasada ta się sprawdza, choć stoi w sprzeczności z ewolucją technologii, bo wedle utartego mniemania początki działalności ludzi epoki kamiennej musiały być bardzo skromne - kamyczek do kamyczka. Ale pozostałości po epoce megalitycznej dowodzą czegoś wręcz przeciwnego: najpierw gigantomania, potem drobiazgi. Jak ulał pasuje tu stwierdzenie: w istocie rzeczywistość jest zupełnie inna!

Poganiacze niewolników w Indiach

Na wschód od miasta HubliDharwar, w indyjskim stanie Majsur, znajduje się wyżyna i wzgórze Durgadidi. Polną drogą można tamtędy dojechać do nekropoli Hirebenkal. Są tam setki niewielkich kamiennych grobów, miniaturowych dolmenów, najczęściej skierowanych na wschód. Tuż obok zaś, kilkaset metrów na zachód wyrasta krajobraz gigantów - niezrozumiały świat. Z ziemi wystają kamienne grzyby, na czterometrowych monolitach leżą pięciometrowe płyty granitu - wyglądające jak stoły dla olbrzymów. Wśród przewróconych menhirów, przeogromnych bloków granitu, spękanych skał monstrialnej wielkości i połamanych płyt widać resztki kamiennych kręgów. Szaleństwo!

Technicy i astronomowie epoki kamiennej musieli sobie gdzieś znaleźć miejsce do ćwiczeń. Nikt nie wie, kiedy to było. Oczywiście poczyniono datowania, sięgające lat 300-800 prz.Chr., ale to niewiele dowodzi. Rezultaty opierają się na przedmiotach pochodzących niejako z drugiej ręki - na kościach i tkaninach pozostałych po czasach w których pierwotnych budowniczych dawno już nie było. Znalazłszy się na miejscu stwierdzam też zawsze rozbieżności między zapatrywaniami uczonych Zachodu a uczonych Indii. Archeolodzy

Z państw uprzemysłowionych skłaniają się ku datowaniu całej prehistorii Indii - włączając w to stare budowle megalityczne - na kilka stuleci prz. Chr. Uczeni miejscowi natomiast datują początki tutejszych budowli megalitycznych znacznie wcześniej. Często nie mogę wyzbyć się wrażenia, że z zachodnim

sposobem myślenia współgra duch kolonializmu: Ach, ci Hindusi! Przecież nie mogą mieć starszych zabytków niż my mamy!

Gdybyż tak było! Koło Savanadurga, świętego miejsca w pobliżu południowoindyjskiego miasta Bangalore, znajdują się zorientowane astronomicznie kręgi kamienne, często zgrupowane po dwa albo trzy. Poza tym poprzewracane ogromne menhiry, wytrzymujące każde porównanie z gigantycznymi statuami z okolic Carnac we Francji. I oczywiście - jakże inaczej - megalityczne groby, przykryte potężnymi platformami i zorientowane na wschód słońca w dniu przesilenia letniego i zimowego. I w Savanadurga, i w New

Grange, i gdzie indziej na wszystkich kontynentach świetlny cud celebrytuje się tego samego dnia! Dr E.O.Tillner, znakomity fachowiec, znający indyjskie układy kamieni z gruntownych studiów, sądzi, że "światne komory" są wyrazem symboliki "powrotu albo powtórných narodzin, dalszej działalności zmarłego, spoczywającego tu w 'kamiennej macicy', [28]. Tillner uważa, że motyw powtórných narodzin wiąże się ze stale powracającym słońcem.

Czemu nie, chciałbym zapytać. Ponieważ niczego nie da się udowodnić, trzeba stwierdzić, że to pewnie słońce wypaliło pod czaszką wszystkim "megalitykom" jedną i tę samą myśl.

Niewielki sens ma wyliczanie ośrodków kultury megalitycznej w Indiach, bo kamienne igraszki powtarzają się, jakby wszędzie stosowano ten sam wzór, jakby uczono się u tych samych nauczycieli. Dr Tillner pisze o budowlach megalitycznych z kamiennymi kręgami znajdujących się koło wsi Karanguli (na południe od Madras), "znacznie potężniejszych od wielu megalitycznych budowli Bretanii" [28]. W Indiach jest pełno dolmenów i menhirów, astronomicznie zorientowanych komór i grobów korytarzowych - są nawet "skupiska budowli megalitycznych zgrupowane jakby w gwiezdny związek". Świadczy to nigdy nie zrozumianej przeszłości.

Co za poganiacze niewolników zmuszali ludzi do takich wysiłków w

dziedzinie transportu? Dlaczego te ogromne głazy musiano kilometrami - a często tych kilometrów były setki - targać, ciągnąć i toczyć, aby wreszcie znaleźć dla nich jakieś miejsce do zaparkowania na tysiące lat - w postaci dolmenu, komory grobowej, menhiru albo kamiennego kręgu? Kamienie leżą prawie wszędzie, w końcu dla uhonorowania plemiennej wielkości można było spiętrzyć kamienie nieco mniejsze. Niezwykle pracowitymi ludźmi megalitu musiała powodować jedna i ta sama myśl. Było to zjawisko ze wszech miar globalne i fenomenalne!

Licencje pilota ważne na całym świecie

W Xochicalco i New Grange megalityczne struktury wiążą się mitologicznie z latającym wężem albo z bogiem słońca. Współcześni Hindusi nie potrafią sobie wyobrazić, jak radzono sobie wtedy z transportem takich ciężarów - zwala się więc te nadludzkie osiągnięcia na demony, synów bogów i czarowników.

Niestrudzony badacz prehistorii, dr Tillner, ustalił, że wielki dolmen z Vegepattu koło Arconam (w pobliżu Madras) jest zwany przez okolicznych mieszkańców "świątynią Pandawów". I rzeczywiście, legenda łączy te różne wielkie kamienne układy południowych Indii z królem małp Hanumantem i/albo braćmi Pandawami.

Hanumant odgrywa główną rolę w indyjskim eposie Ramajana. Jest to poza tym istota dobrze wyposażona w środki techniczne - właśnie jak czarownik - dysponuje nawet maszynami latającymi. Ze względu na jednoznaczność te fragmenty Ramajany dają interpretatorowi niewielką swobodę manewru, bo niebańskie pojazdy Hanumanta (i innych) opisano niezwykle barwnie. Przód miały ostry, tył lśniący jak złoto i rozwijały wielkie prędkości. Wedle opisów z Ramajany w niebańskich statkach były różne pokoje i niewielkie okna ozdobiane perłami. Wewnątrz znajdowały się

Wygodne, z przepychem urządzone komnaty. Dolne piętra upiękuszono kryształami, a wszystkie pomieszczenia wewnętrzne lśniącymi Wykładzinami i

dywanami. Pojazdy mogły przewozić dwanaście osób z bagażem i startowały nad ranem z Lanki (Cejlon) do Ajodhaja.

Dystans 2 280 km pokonywały (z dwoma międzylądowaniami)

W 9 godzin, osiągając średnią prędkość 320 km/godz. Nieźle jak na czasy mitologiczne - a zarazem megalityczne!

Narodowy epos Indii, Mahabharata, opowiada o walkach dwóch wrogich dynastii - Pandawów i Kurawów. Było wielu braci

Pandawów i jedna księżniczka, a wszyscy dysponowali szybkimi i dużymi maszynami latającymi. Musiał to być okres rozkwitu latających pałaców i statków kosmicznych, bo w trzecim rozdziale Sabhaparvan, części Muhabharaty, mówi się nawet, że dla najstarszego brata Pandawy zbudowano kosmiczne miasto. Jeden z Pandawów zapytał budowniczego, czy są jeszcze inne takie miasta

- odpowiedź była zdumiewiająca. Konstruktor zapewnił go ni mniej, ni więcej o tym, że podobne miasta, wyposażone we wszystkie urządzenia zapewniające wygodne i bezpieczne życie, krążą stale po Wszechświecie. O kosmicznym wytworze Jamy można przeczytać, że był otoczony białą, bezustannie migocącą ścianą. Przekazano również wymiary kosmicznych miast krążących po nieboskłonie. [29]

Wiemy już, że wedle uczonych nie było ani epoki megalitycznej, ani megalitycznego ludu. Tylko co robić, jeżeli najróżniejsze, żyjące całkiem niezależnie od siebie ludy rozpoczynały swoje epoki megalityczne od wyrażania takich samych motywów? Pokrewieństwo mitów i legend wiąże na całym świecie wszystkie budowle megalityczne z istotami nadnaturalnej wielkości. Normalni ludzie nie spodziewają się, że ich megalityczni bliźni będą na tyle szaleni, aby przedsięwziąć transport tak ogromnych ciężarów. Zbyt silna jest przyrodzona skłonność do lenistwa. Ze zmarszczonym czołem wskazuje się mimo wszystko na fakt, że legendarne - oczywiście!

- postacie wiążące się z megalitami, stale bujają na nieboskłonie.

Mając naturalnie licencje pilota ważne na całym świecie! Jest dla mnie jasne jak słońce, że związek mitów z megalitycznymi budowlami jest dla większości archeologów nie do przyjęcia, bojednojest dotykálną, dającą się sfotografować rzeczywistością - drugie zaś buja w przestrzeni jak baśń nie do udowodnienia. Najlepszym trickiem diabła było zawsze oświadczenie, że nie istnieje.

Czy więc mit awansował do roli niewiarygodnej historii dopiero na skutek utraty realności, niejako przez zamknięcie oczu? Przekazy przechodziły z pokolenia na pokolenie, a my, mądrzy współcześni nie chcemy zrozumieć, że to, co opisują, było kiedyś codziennością. Dla kogoś takiego jak ja informacja, że w okresie prehistorycznym odbywały się loty w atmosferze ziemskiej i w Kosmosie, jest oczywistym składnikiem wiedzy. Ponieważ brak mi pychy, aby rodzaj ludzki uznać za "największy" we Wszechświecie, nie martwią mnie prehistoryczni lotnicy i goście z Kosmosu. Przynajmniej w tym punkcie czuję się dobrze w towarzystwie wykształconych Hindusów.

W indyjskich eposach i w Wedach pojawiają się boskie bliźnięta Aświnowie, okrążający Ziemię w lśniącym niebiańskim wozie. Jest uśmiechnięty bóg słońca Surya, który w swoim niebiańskim pojeździe służył bogom, widział wszystko z wielkiej odległości i dlatego - podobnie jak egipskie oko Horusa - wszedł do literatury jako

„boski szpieg”. Jest Agni, zrodzony z lotosu, posiadacz świetlnego wozu, „złotego i lśniącego” [30]. Jest Garuda, książę ptaków, służący jako wierzchowiec bogu Wisznu, rzucający bomby, wywołujący pożary i latający aż do Księżyca. Jest Wiszwakarma, jeden z konstruktorów w niebiańskiej”wozowni” bogów... itd., itp.

W 1991 roku nie trzeba się już wykręcać, że to tylko niesprawdzalne legendy, nie mające nic wspólnego z Indiami i z rozrzuconymi po świecie budowlami megalitycznymi. Szczegóły techniczne dowodzą, że nie chodzi tu tylko o fantazję. Tego samego dowodzi literatura antyczna opisująca ze szczegółami maszyny latające. Prof. dr Dileep Kumar Kanjilal przedstawił te fakty w

sposób jasny i zrozumiały.

Coś wspólnego ma zapewne ten mit także z "wielkimi kamieniami". Pojedynczy pionowy monolit nazywamy "menhirem". To celtyckie słowo znaczy "długi kamień". Dawni Hindusi widzieli w menhirze "lingam". Lingam ma wiele znaczeń. Może określać

„cechę” albo "penis", ale w pierwotnej wersji znaczyło "kolumnę ognistą". A kolumna ognista jest bardzo bliska boskim maszynom latającym. Jasne?

Mowa w obronie tego, co możliwe

Solidaryzuję się z ludźmi szukającymi nowych, pełnych odpowiedzi, bo stare są nieprzekonujące. Byłoby mi obojętne, gdyby na przykład tylko Anglia była wybrukowana kamiennymi kręgami.

Można by to uznać za objawy działalności chorego umysłu dyktatora z epoki kamiennej, który rozkazał ośle łączki wykladać ogromnymi glazami. A ponieważ każdy dyktator pozostawia następców, to kolejni szaleńcy starali się mu dorównać zapędzając poddanych knutem do dalszej pracy. Podobno w ten mniej więcej sposób powstawały przez wiele stuleci kamienne kręgi w Anglii, Irlandii, Szkocji, a później na kontynencie. Był to taki rodzaj europejskiej kamiennej zarazy. Ale to nieprawda. Kamienne kręgi istnieją również poza Europą i Indiami - w Afryce, w dalekiej Australii i Japonii, na wyspach Oceanu Spokojnego oraz w obu Amerykach.

Oto kilka przykładów kamiennych kręgów:

- kamienny krąg Brahmagiri na południe od rzek Narbada i Godaweri w środkowych Indiach;

- wielki kamienny krąg Jiwaji w okręgu Raichur w Indiach; - kamienne kręgi Karanguli w okręgu Madura na południe od Madras; - kamienny krąg Nioro du Rip w Senegalu w prowincji Casamance;

- kamienny krąg Sillustani na peruwiańskim brzegu jeziora Titicaca;

- kamienny krąg Ain es Zerka we wschodniej Jordanii;

- kamienne kręgi Ajununs Rass na stepowej wyżynie Nedzd w Arabii

Saudyjskiej;

- australijski krąg kamienny w rejonie Wielkiej Pustyni Wiktorii na południowej szerokości 28°58' i długości wschodniej 132°;

- wiele kamiennych kręgów na południowych wyspach japońskich oraz koło Nonakado na Hokkaido;

- kamienny krąg Quebrada na peruwiańskoekwadorskiej granicy w rejonie Queneto;

- kamienny krąg Naue na wyspie Naue w archipelagu Tonga;

- różne kręgi kamienne, znane pod nazwą "medicine wheel" w USA i w Kanadzie;

- wiele mniejszych i większych kamiennych kręgów w pobliżu gór Jerhuda na Pustyni Libijskiej;

- wielki kamienny krąg Mzora (zwany również M'Soura M'Zora i Mzoura) w północnym Maroku między miastami Larache a Tetuan; - niewielki krąg kamienny o średnicy 70 m na Małej Przełęczy Św.

- Bernarda (2188 m n.p.m.) na granicy szwajcarsko włoskiej;

- kamienny krąg w rejonie miejscowości Węsiory w północnej Polsce;

- kamienny krąg Znamienka w ZSRR w Kotlinie Minusinskiej; - kamienny krąg Terebinthe na zachodnim brzegu Jeziora Genezaret między Twerią a Safedem; - kamienny krąg Ke'tekesu w Indonezji, na północny wschód od Makale, na wyspie Sulawesi (Celebes).

Jest to lista bardzo niekompletna, bo podobnymi przykładami można by wypełnić dalsze czterdzieści stron tej książki. Prosiłbym uprzejmie, aby włączyć do akt stwierdzenie, że kręgi kamienne i inne megalityczne kurioza nie są zjawiskiem regionalnym... oraz że struktury te wiążą się z legendami mówiącymi, iż są to budowle mistyczne lub święte. Święte? Wedy są dla hindusów pismami świętymi. Nawet Stary Testament mówi o stawianiu kamieni:

„I uczynili synowie izraelscy tak, jak nakazał Jozue: wydobyli dwanaście kamieni ze środka Jordanu, jak powiedział Pan do Jozuego, według liczby plemion izraelskich, i przynieśli je z sobą na miejsce, gdzie mieli nocować. Postawił też Jozue dwanaście kamieni pośrodku Jordanu w miejscu, gdzie stały nogi kapłanów niosących Skrzynię Przymierza. Są one tam do dnia dzisiejszego.” [Joz. 4,8 - 4,9](Cytaty biblijne według: ‘Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1975.)

Czy można nie zauważyć, że rozkaz do rozpoczęcia akcji dał”Pan”?”Pan” miał zapewne jakiś interes w popieraniu kamieniarzy. Może na brzegach Jordanu chciał zostawić po sobie na pamiątkę jakiś ślad. Czy”niebiańskie oddziały” nie były niejako przyczyną rozpoczęcia tej zadziwiającej harówki i w innych regionach Ziemi?

Przyznaję, że nie wiem. Ale można wykazać, że istniało kiedyś coś takiego jak taka sama kultura megalityczna... że owi”megalitycy” zabawiali się w tym samym czasie ustawianiem kamiennych olbrzymów w najróżniejszych regionach świata... że ich wiedza z dziedziny budownictwa, geometrii, matematyki i astronomii wykraczała daleko w przyszłość poza ich epokę... i że”ktoś” musiał nawet wymierzać ziemskie posiadłości.

Za dużo dobrego jak na jeden raz. Śpieszmy się powoli! Świat jest wielki - rozum mały! Krzyżówki rozwiązuje się w poziomie i w pionie. A Anioł Ziemia też będzie chciał wtrącić słówko.

IV. Przyszłość archeologii leży w gruzach

Łapiąc się za głowę niektórzy czują pustkęAnonimowe sgraffiti

Zbierając materiały do mojej poprzedniej książki Oczy Sfinksa zająłem się wyczerpująco pismami historyków starożytności. Panowie ci żyli przed 2 000 lat (albo wcześniej) i korzystając z ówczesnych źródeł studiowali historię. Byli szanowanymi obywatelami i pracowicie zbierali informacje. Jeździli po świecie, wypytywali świadków, przeglądali i porządkowali dokumenty, wyciągali

logiczne wnioski ze zdarzeń i przekazywali swoją wiedzę grubym rolom pergaminu.

Podczas lektury tych ksiąg jedna informacja zapadła mi bardzo głęboko w pamięć: wiek rodzaju ludzkiego.

Czy będzie to grecki geograf Strabon (ok. 63 prz. Chr.-26 po Chr.), czy rzymski dziejopis Pliniusz Starszy (61 - 113), czy babiloński Berossos (ok. 350 prz.Chr.), czy Grek Herodot, ojciec historiografi, który w lipcu 448 r. prz.Chr. był w Egipcie, czy jego poprzednik Hekatajos (ok. 550-480 prz.Chr.), czy fenicki dziejopis Sanchuniathon (ok.1250 prz. Chr.), czy wreszcie bliższy nam Diodor Sycylijski, który w 1 w. prz.Chr. pozostawił po sobie czterdziestotomowe dzieło historyczne - nie gra większej roli, kogo przywołam na świadka. Mógłbym dorzucić do tego dawnych historyków! arabskich i indyjskich, a nawet starobabilońskie listy królów i podawane przez Biblię daty sprzed potopu - bilans będzie taki sam. Wszystkie te źródła opowiadają o zdarzeniach sprzed dziesięciu lub więcej tysięcy lat.

Niemożliwe? W żadnym razie. Czcigodni uczeni cytują dokładne daty okresów panowania władców, których zwłoki już przed wieloma wiekami zżarły robaki. Precyzują swoje niewiarygodne zestawienia podając miesiące i dni zdarzeń - i oczywiście znają dokładnie źródła, z których dane te zaczerpnęli. Państwo pozwolą, że dla porównania przytoczę przykład z Oczu Sfnksa:

W I Księdze swojego dzieła Diodor Sycylijski twierdzi, że dawni bogowie w samym Egipcie wzniesli wiele miast, a zakładali je także w Indiach. Mówi, że to dopiero bogowie ułożyli język i nauczyli ludzi nazw rzeczy, na które dotąd nie było określeń.

O jakich datach mówi Diodor:

„Powiadają, iż od czasów Ozyrysa i Izydy po panowanie Aleksandra [...] upłynęło ponad 10 tys. lat - inni piszą jednak, że lat tych było niewiele mniej niż 23 tysiące.”

Parę stron dalej w rozdziale 24. Diodor relacjonuje bitwę bogów

Olimpu z gigantami. Uważny Diodor zarzuca przy tym Grekom, iż popełnili błąd umiejscawiając datę narodzin Herkulesa tylko na jedno pokolenie przed wojną trojańską, choć w istocie było to w pierwszym okresie powstawania człowieka.”Od tego czasu odliczono w Egipcie ponad 10 tys. lat, gdy tymczasem od wojny trojańskiej minęło ledwie tysiąc dwieście.”

Diodor wie, o czym mówi - daty porównuje nawet ze swoim pobytem w Egipcie. Tak więc w rozdziale 44. pisze, że w Egipcie panowali kiedyś bogowie i herosi [...]”ale krajem rządzili królowieludzie [...] niewiele krócej niż od roku 5 000 do 180. Olimpiady, podczas której ja sam przybyłem do Egiptu.”

Dość powtórek! Wiele dyskutowano na temat liczb podawanych przez dawnych historyków - z dyskusji tych nigdy nic rozsądnego nie wynikło. Niektórzy nasi bliźni robią się tacy mali, kiedy historia bierze ich pod lupę. A któż chciałby być taki mały?

Nieznana przeszłość

Jeżeli... jeżeli daty są choć w części prawdziwe... jeżeli kiedyś na

Ziemi roilo się od bogów... jeżeli dawali oni ludziom wskazówki w różnych dziedzinach, zakładali miasta i uczyli pisma... to ci bogowie, kimkolwiek byli, musieli gdzieś rezydować. Musieli zo stawić po sobie boskie ślady. Na wielkiej kuli ziemskiej muszą istnieć rzeczy nie pasujące do danej epoki, nie do pogodzenia z poziomem historycznego rozwoju człowieka epoki kamiennej, który dopiero ca przestał być małpą. Musiała istnieć wiedza matematyczna, astronomiczna i dotycząca techniki budownictwa - wiedza, która spadła na ludzi jak grom z jasnego nieba. Świat musiał zacząć - żeby pozostać przy tych metaforach - bujać w obłokach. Musiała powstać religia epoki kamiennej, rozbrzmiewająca echem przez tysiąclecia: Gdzie te ślady?

Megalityczne miasto portowe

W Górnym Egipcie znajduje się miasto świątyń Abydos. Jego początki sięgają w prehistorię. Wiadomo, że w okresie Starego

Państwa (ok. 2500 r. prz. Chr.) czczono w Abydos niezwykle

wszechstronnego boga Ozyrysa. Ozyrys ów był jednym z mistrzów, którzy przekazywali ludziom wiedzę z najróżniejszych dziedzin, możliwe że i z dziedziny astronomii. Z Abydos także pochodzi wizerunek kalendarza, siggającego w czwarte tysiąclecie przed Chrystusem.

Ktoś musiał podrzucić starożytnym Egipcjanom w 4760 roku prz. Chr. kalendarz o 365 dniach, nijak nie pasujący do egipskiej rachuby czasu, dla której punktem wyjścia był heliakalny wschód Syriusza. W wydanej w 1989 r. książce Studien zur agyptischen Astronomie (Studia astronomii egipskiej) egiptolog Christian Leitz wysuwa przypuszczenie, że Egipcjanie umieli obliczyć obwód kuli ziemskiej.

Czy to prawda, czy nie, jedną umiejętność posiadali Egipcjanie niejako od zawsze - była to umiejętność precyzyjnej obróbki granitowych bloków.

Architekci Abydos wzniesli Ozyrysowi grób

- czy może pseudogrób, bo nic w nim nie znaleziono - nie mający sobie równych. Jego resztki można podziwiać do dziś w wykopie za murem jednej ze świątyń Abydos. Wiek znaleziska jest sprawą sporną, bo pseudogrób Ozyrysa znajduje się 8 m pod fundamentami późniejszej świątyni. Nie da się wiążąco wyjaśnić, od ilu tysiącleci ruiny tkwiły w pustynnym piasku, ale każdy może naocznie stwierdzić, że upływ czasu wcale nie zaszkodził monolitom, które nadal wyglądają jak nowe. W wykopie stoją potężne słupy i poprzecznice, jak gdyby trylity (budowle składające się z trzech kamieni) przywieziono do Egiptu z Anglii, ze Stonehenge. Kim byli - już wtedy!

- mistrzowie?

W okresie rozkwitu imperium rzymskiego, gdy trzęsienie ziemi nie obróciło jeszcze Kartaginy w perzynę, jej mieszkańcy rozbudowywali stare miasto portowe znajdujące się 100 km na południowy zachód od dzisiejszego Tangeru. Nazwali je Lixus - "wieczne". Lixus wzniesiono na potężnych ruinach fenickiego przyczółka. Fenicjanie, antyczny naród żeglarzy, zasiedlili to miejsce w 1 200 r. prz. Chr. Ale wybór miejsca nie był spowodowany jakimś kaprysem!

Już oni natknęli się tu na pozostałości nie dającej się datować kultury megalitycznej, której przedstawiciele z równą łatwością zabawiali się gigantycznymi monolitami jak mały Jasio klockami. Molo było wyłożone ogromnymi ciosami, za falochron służyły setki olbrzymich obrobionych granitowych skał. Nawet w czasach rzymskich Lixus włączyło do swoich budowli kamienie ze wspaniałych czasów megalitu. Thor Heyerdahl, sławny dzięki przepłynięciu Oceanu Spokojnego na tratwie "KonTiki", rozpoczął swoją późniejszą podróż przez Atlantycką papirusową łodzią "Ra" z okolic leżących na północ od Lixus. I słusznie! Bo tamtędy płynie w stronę Ameryki Południowej odnoga Prądu Kanaryjskiego. Heyerdahl jest człowiekiem, który nie zapomniał, że można się jeszcze dziwić. O megalitach z Lixus napisał:

„(...) Gigantyczne bloki wycięto i przetransportowano na szczyt góry w ogromnej ilości, przekrojono na różne rozmiary i kształty, zawsze jednak o pionowych i poziomych bokach i o rogach, które pasowały dokładnie do siebie niczym klocki w olbrzymiej łamigłówce, nawet gdy bloki te tworzyły tak liczne prostokątne nieregularności, że fasada mogła być dziesięcioczy dwunastoboczna zamiast czworokątnej. To była ta specjalna technika, nie znana i nie mająca odpowiednika w reszcie świata, którą zacząłem teraz pojmować jako swojego rodzaju podpis wykuty

W kamieniu [...]"

Dowody?

Na obrzeżach Lixus znajdują się wały z ogromnych, zadziwiających kamiennych formacji, które na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie zniszczonych erozją tworów natury. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się widać ślady obróbki kamieniarskiej. A jeśli się ma wiele szczęścia, to na dole, na plaży, znajdzie się jeszcze podczas odpływu pojedyncze ciosy murów portowych. Gerd von Hassler, archeolog i pisarz, tak opisuje to miejsce:

„Zachowały się pierwotne mury atlantyckiego portu, zajmującego niepoślednie miejsce w naszej kolekcji osobliwości. Tych ciosów nie można ani

pomijać w dyskusji, ani dowolnie umiejscawiać w czasie. Wiadomo, czym te ruiny nie były: marokańską wsią rybacką, rzymskim miejscem świętym, fenicką faktorią.”Do dziś nie odkryły swojej tajemnicy. Według legendy przytaczanej przez Pliniusza Lixus było pierwotnie świątynią Herkulesa, wokół zaś leżał upragniony”ogród Hesperyd”. Hesperyd - dwie śpiewające nimfy, córki bogów, Atlasa i Hesperii - poza codziennymi chóralnymi śpiewami miały obowiązek strzeżenia gaju, w którym rosły złote jabłka. Oczywiście później złote jabłka skradziono a Herakles zabił przy tym stugłowego węża Ladona, odkomenderowanego do pomocy Hesperydom. Historia ta spoezywa głęboko w szkatulee mitologii, można w niej znaleźć różne elementy późniejszej biblijnej przypowieści o Adamie i Ewie i fatalnym w skutkach ugryzieniu jabłka.

W pobliżu Lixus, między Lasache a Tetuan, znajduje się również megalityczny krąg Mzora (znany też jako M’Soura, M’Zora i Mzoura). Składa się nań 167 monolitów otoczonych przez wał ziemny wysokości ok. 6 m. Obwałowane kręgi kamienne nie są niczym szerególnym. Krąg Mzora jest w kształcie lekkiej elipsy - jej dłuższa oś ma 58 m krótsza 54 m. Przy wejściu zachodnim wznosi się pięciometrow obelisk a liczne megality mają sztucznie wygładzone wgłębienia. Ten rodzaj kamieni pełnych niezliczonych niewielkich otworów ułożonych w pewne formacje, określa się jako kamienie czarkowe. Wgłębienia takie wykazują często powiązania astronomiczne i geograficzne. Bezsprzeczne jest, że te dziwne kamienie są najstarszymi ziemskimi nośnikami informacji, nawet jeżeli brak jakiegokolwiek wyjaśnienia, dlaczego można się na nie natknąć w rejonach kuli ziemskiej tak oddalonych od siebie.

Bywają ludzie tak nieprzejednani, że nie są w stanie nabrać rozumu. W pobliżu Lixus znaleziono wyciśnięte w skalnym podłożu rowki, wyglądające jak tory.”Szyny” prowadzą wprost do Atlantyku...

Megalityczne tory

„W zachodniej części hiszpańskiej prowincji Walencja znajduje się wapienna góra ‘Cuevas del Rey Moro’, a na jej szczycie, na platformie, ruiny

megalitycznego miasta. Nosi ono nazwę Menga, a żaden z historyków antyku nie pisze o nim zapewne dlatego, że miasto owo porzucono już przed tysiącami lat. Odkryto tu całą ‘sieć tramwajową’. ‘Szyny’ mają 20 cm szerokości, są odcisnięte w skale na głębokość do 15 cm, ich rozstaw wynosi 1,6 m. [...] Wypalona pustynia na południe od Bengazi i Tobruku to Cyrenajka. Tam, na wysokości 400 m n.p.m., leży starożytne miasto Cyrena. Wedle legendy zbudował je olbrzym Battos. Również on używał zapewne wózka, bo nawet dziś trudnoprzeoczyć torowe ślady.”

Uwe Topper, pisarz i pedagog, tak opisuje prastare”tory” koło

Kadyksu:

„[...] na rafie, znajdującej się przez sześć godzin na dobę pod wodą, można podczas odpływu ujrzyć ‘tory’ długości około 100 metrów! Ich rozstaw wynosi 1,6 m - jak w Menga. W następne dni odkryliśmy dalsze fragmenty ‘sieci tramwajowej’. Zawsze biegły z portu La Caleta do górnej części miasta [...]”. O pradawnych torowiskach na Malcie i Ghawdex (Gozo) pisałem obszernie w mojej książce Prorok przeszłości (Prophet der Vergangenheit). Książkę wykupiono zupełnie w rejonach, które opisuje. Maltę i Ghawdex pokrywa”sieć torów”. Miejscowi określają je lekceważąco”cart ruts” (koleiny furmanki). Turysta, znalazłszy się pierwszy raz w tej okolicy, może sobie pomyśleć, że są to stare torowiska, z których wymontowano szyny. Istotnie, pierwsza myśl o torach wydaje się mieć rację bytu. Przy dokładnym badaniu gruntu okazuje się, że”tory” na Malcie są jednak prehistoryczną zagadką.

Nie mogą to być szyny w normalnym znaczeniu tego słowa, bo ślady równoległe biegnących rowków różnią się nie tylko między poszczególnymi torami, lecz nawet z biegiem jednego toru. Widać to szczególnie wyraźnie na południowy zachód od Mdiny, starej stolicy Malty, w rejonie Dingle. Okolica wygląda jak stacja rozrządowa.

Tory to osobliwe - biegną dolinami, wspinają się na wzgórza, często kilka idzie obok siebie, potem zwężają się nagle do linii dwutorowej - wreszcie

wchodzą w nader ryzykowny zakręt.

Na temat "torów" na Malcie istnieje mnóstwo spekulacji - ale brak jednoznacznych wyjaśnień. Czy są to ślady wózków? Nie, bo tej hipotezy nie dopuszcza różna szerokość śladów. Poza tym bywają zakręty tak ostre, a "szyny" tak głębokie, że nie mógłby tam zakręcić żaden wózek.

Czy na Malcie ciężary do budowy megalitycznych świątyń wożono na saniach? Nie, bo płozy są jeszcze mniej "elastyczne" niż koła. Nie przebyłyby labiryntu "torów" i ostrych zakrętów.

Czy pierwotni mieszkańcy Malty kładli ciężary na ściętych rozwidleniach grubych konarów, ciągniętych następnie przez zwierzęta pociągowe? Nie, konary są sztywne, wydrapywałyby ślady równo oddalone od siebie. Poza tym w wapiennych skałach musiałyby pozostać ślady kopyt zwierząt, które ciągnęły ciężary.

Czy praMaltańczycy wynaleźli pojazdy toczące się na kamiennych kulach? Chociaż na Malcie znaleziono kule o średnicy od

7 do 60 cm nie jest to rozwiązanie. Okoliczne wyspy są zbudowane z piaskowców, wapieni i glin - materiałów miękkich. Wspomniane kule też są z wapienia. Już ciężar jednej tony spłaszczyłby je jak masło. Poza tym pozostawiłyby ślady owalne, nie ostre zagłębienia.

Czego tu już nie proponowano w dyskusji? Że "tory" to kult, kalendarz, rodzaj wodociągu, pismo... itd., itp. Istnieje cała masa wyjaśnień, lecz kiedy zdrapać z nich trochę lakieru, od razu widać całą banalność. Uważam to za typowy przypadek fałszywego myślenia archeologicznego - zaraz też powiem, dlaczego nie udaje się rozwiązać tego problemu tradycyjnymi metodami.

Podwodne szyny

Na niektórych odcinkach wybrzeża, na przykład w St. George's

Bay i na południe od Dingle, tory wchodzą prosto do błękitnej wody Morza Śródziemnego! Potem kończą się nagle na stromo opadającej rafie. W tych miejscach skała musiała odłamać się razem z "torem".

W literaturze fachowej przeczytałem, że "tory" powstały w epoce brązu. Cudowne! Zbudowały pewnie inteligentny gatunek ryb. Albo ludzie tamtej epoki zrobili sobie z brązu skafandry do nurkowania - z fajkami, drewnianymi kompresorami i przezroczystymi szybami, umożliwiające pracę na dnie morskim? Po co, pytam, wszędzie te podwodne "torowiska"? Na Malcie, na Ghawdex, koło Kadyksu, koło Lixus?

Pod ogniem pytań człowiek ucieka w niejasności. Wije się w skisłych kompromisach, nie wie, co zrobić - stanąwszy przed denerwującymi faktami nie ma odwagi bronić jedyne logicznego wniosku:

Podwodne tory musiały powstać, gdy poziom wód w morzach był niższy niż dziś. O to właśnie chodzi! Tam gdzie kiedyś był ląd, dziś jest woda. Kiedy było to "kiedyś"? Mniej więcej przed 10 700 laty! Święty Diodorze Sycylijski, miej mnie pod swą opieką! Wtedy, co wyjaśniono już najnowocześniejszymi metodami naukowymi, zarówno w kręgu polarnym, jak i gdzie indziej temperatura wzrosła o 7°C. Nie wiem, co było powodem nagłego ocieplenia. Może statki międzygwiazdne i kosmiczne miasta bez katalizatorów zniszczyły warstwę ozonową... Żarty żartami, ale faktem pozostaje ocieplenie klimatu i związane z tym stopnienie lodów. (Epoki lodowcowej połączonej z następującym po niej topnieniem mas lodu nie było, jak twierdzą fachowcy, od 10 700 lat.) Poziom wody podniósł się zarówno w Atlantyku (Lixus, Kadyks), jak i w Morzu Śródziemnym. "Tory" znajdujące się na suchym lądzie pograżyły się w odmętach.

Niech przemówią fakty!

Data jest pewna jak amen w pacierzu, a żadne spekulacje natury psychologicznej czy wzniosłe apele pięknoduchów nie zawrócą koła czasu. "Megalitycy" musieli działać jużco najmniej przed 10 700 laty! Czy to się zgadza z obowiązującym archeologicznym, politycznym i religijnym obrazem świata, czy nie.

Na Malcie jest 30 megalitycznych świątyń. Pozostałości drewnianych

przedmiotów znalezionych obok świątyni Hagar Qim poddano badaniu izotopem C-14. Wynik: pozostałości pochodzą z roku 4000 prz.Chr. Uczni przyjmują - czegoż to się nie przyjmuje - że świątynia Hagar Qim była poświęcona fenickim bożkom. Dziwne.

4000 lat przed Chrystusem? W tym czasie Fenicjan nie było. Poza tym "tory" mają niewiele wspólnego z monstualnymi świątyniami.

Gdyby po "torach" transportowano ciężary do budowy świątyni, to musiałyby one prowadzić właśnie do świątyni. Nie wyświadczają nam niestety tej przysługi. Wszystkie 30 świątyń jest rozsiane chaotycznie po całej wyspie - równie chaotycznie przebiegają obok nich "tory". Co było pierwsze: świątynie czy tory?

Z pewnością niektóre tory, o czym świadczy poziom wody. Może też kilka świątyń - to tylko kwestia właściwego datowania właściwych obiektów właściwymi "wzorcowymi wielkościami pomiaru" i właściwego podejścia: trzeba zerwać zasłony bez oglądania się na dogmaty. Na świat przychodzimy wprawdzie jako oryginały, często jednak umieramy jako kopie. Czy pradawni historycy nie mówili unisono o zdarzeniach, które miały miejsce ponad 10 tys. lat przed epoką, w której żyli? Czyż niektóre fragmenty prehistorycznego portu w Lixus nie pozostają pod powierzchnią wody nawet podczas odpływu? Czy pojedyncze torowiska koło Kadyksu i na Malcie nie prowadzą wprost do morza? Czy mitologie całego świata nie opowiadają o mistrzach, którzy nauczali głupiutkich ludzi?

Przedstawić fakty? Wspaniale! Nauka, czymkolwiek jest, reaguje na fakty pozytywnie. Cudownie! Jako stary "wędrowiec między najróżniejszymi dziedzinami nauki" zorientowałem się już dawno, że również fakty przesiewa się, oskrobuje i wygładza, aż nagle - abrakadabra - wszystko zaczyna do siebie pasować i zaraz można sobie po staremu poplotkować "naukowo". Mimo wszystko szanuję naszych archeologów, antropologów i wszystkich innych błyskotliwych "logów", choć często sprawiają wrażenie, jakby nie potrafili się

wyrwać z przedwczorajszych schematów myślowych.

Przed 10 000 lat ktoś zbudował w pobliżu Lixus port atlantycki i przed 10 000 lat komuś na Malcie były potrzebne z jakichś powodów rowki wyglądające jak tory. Oba te przedsięwzięcia wymagały planów, ich zaś sporządzenie jest z kolei uwarunkowane istnieniem pisma. Ale to nie wszystko. Konieczna jest też odpowiednia technika, o której świadczy obróbka ciosów koło Lixus (i gdzie indziej).

Dalej: Trzeba wymierzyć i przewieźć wielkie ilości kamienia. Konieczna jest zatem znajomość geometrii i metod transportu. Megalithy - a były ich tysiące - obrabiano zapewne przy pomocy jakichś narzędzi. Wszystko to świadczy o istnieniu "kierownictwa budowy" - przynajmniej "szef" musiał wiedzieć, co się buduje i gdzie powinny się znaleźć poszczególne ciosy. Równanie jest banalne: pismo + plany + geometria + metody pracy + narzędzia + organizacja transportu = technika dorównująca naszej. A potrafili to robić - nie do wiary! - ciemni myśliwi i zbieracze, którzy jeszcze niedawno siedzieli na drzewach, wegetowali w jaskiniach i wybierali sobie wszy z futra. Aha, żeby nie zapomniał: swój szaleńczy pomysł rozpropagowali po innych krajach i kontynentach

- oczywiście wiedzieli, że prądy morskie płynące obok Lixus zawiodą ich do Nowego Świata. W trakcie nocnych pogaduszek przy kawie wymyślili zorientowane astronomicznie "groby korytarzowe", trójkąt pitagorejski, liczbę pi, pentagram i inne abstrakcje.

Krąg kamienny na dnie morskim

W zatoce Morbihan w Bretanii, w pobliżu miasta Carnac, gdzie znajdują się tysiące menhirów, są dwie małe, zielone wyspy: Gavrinis i Er Lannic.

Dokonano tam sensacyjnego odkrycia! Na maleńkiej Er

Lannic jest krąg kamienny, a dokładniej lekki owal o osiach mających 58 i 49 m, złożony z 49 megalitów. Tylko połowa znajduje się na lądzie - druga połowa pozostaje pod powierzchnią wody nawet w trakcie odpływu. Tam, na głębokości prawie 9 m, jest drugi krąg, złożony z 33 kamieni. Można go

zauważyć podczas odpływu i spokojnej pogody. Oba kręgi tworzą ósemkę. Krąg podwodny ma średnicę 65 m.

Zapadnięcie się lądu? To możliwe, że z biegiem tysiącleci wysepka trochę się obniżyła - ale nie o dziewięć metrów! Prawdziwą jednak odpowiedź już znamy: tam, gdzie był ląd, dziś jest woda - ze stopniających mas lodu. Er Lannic jest własnością prywatną a zarazem rezerwatem ptasim. Dlatego turyści rzadko mają okazję oglądać podwodne kręgi kamienne.

Sąsiednia wysepka, Gavrinis, jest oddalona od kontynentu o rzut kamieniem. Mimo to nikomu nie radzę wybierać się tam wplaw.

W przesmyku panuje silny prąd - i podczas odpływu, i przypływu.

Wyspa o długości 750 m i szerokości 400 m jest obrzeżona drzewami. Bagienne trawy i rosnący wszędzie niezwykle bujnie janowiec kolczasty tłumią kroki, jak gdyby rozłożono tam gruby dywan

- prowadzący wprost do świętości. I to jakiej!”Grób korytarzowy” na niewielkim wzgórzu, będącym najwyższym punktem wyspy, mógłby być matką New Grange, tyle że zdobienia są tu jeszcze bardziej groteskowe, abstrakcyjne i opatrzone matematycznym posłaniem, które odbiera mowę nawet takim mądralom jak my.

Bretończycy zawsze wiedzieli, że wzgórze nie stanowi naturalnej konfiguracji terenu i że spoczywa pod nim klucz do zrozumienia niepojętej”epoki megalitycznej”. Wejście odkryto dopiero w 1832 roku -”grób” był pusty. W latach 1979-1984 zespół archeologów pod kierunkiem dr. Ch.T. Le Roux odrestaurował cyklopową budowlę. Fenomen Gavrinis jest pełen dramatyizmu, to niezrozumiały fantom ze świata utopii. Sprawia wrażenie chaosu - a jednak zawiera w sobie najlogiczniejszą ze wszystkich odpowiedzi: matematykę.

Pytanie do nauki: Czy w grobach korytarzowych istniało kiedyś inteligentne życie? I to o jakim stopniu inteligencji! Tak samo jak w New Grange również na Gavrinis wzgórze ukształtowano sztucznie. Potem na plac budowy zwieziono

masy kamieni najróżniejszej wielkości, a w końcu dostarczono parę tuzinów cyklopowych głazów, przeznaczonych na właściwy "grób korytarzowy". Na Gavrinis nawet podłoga jest ułożona z płyt, budowlę postawiono po wsze czasy. Czy muszę dodawać, że tysięcy ton kamieni nie można było dostarczyć z kontynentu łodziami? Spróbujmy załadować na prymitywną tratwę kamień wagi 250 ton! Powraca więc stary motyw: "grób korytarzowy" powstał, kiedy Gavrinis nie była wyspą.

Galeria, obrzeżona i przykryta monolitami, ma 13,10 m. "Świętość", zwana też "grobem korytarzowym", ma 2,6 m długości, 2,5 m szerokości i 1,8 m wysokości. Komorę tworzy sześć potężnych płyt, na nich spoczywa gigantyczna pokrywa z kamienia o wymiarach 3,7 na 2,5 m. W sumie na budowę właściwego "grobu korytarzowego" zużyto 52 "wielkie kamienie", z czego na połowie wyryto osobliwe symbole. Są to niezliczone splatające się ze sobą spirale i okręgi, zdumiewające żłobienia podobne do powiększonych linii papilarnych, węzowate linie przechodzące często z jednego monolitu na drugi - w środku tej całej płataniny tkwi kamień z rysunkami czegoś, co przypomina siekiery albo ostro zakończone kamienie wielkość pięści. Świat pełen tajemnic. W zależności od oświetlenia na kuriozalne wzory na ścianach padają osobliwe cienie. Te wyżłobienia mówią. Zawierają matematyczne posłanie - ponadczasowe i ważne dla każdego pokolenia umiającego liczyć.

Zrozumiał to Gwenc'hlan Le Scouëzec, Bretończyk i matematyczny geniusz - choć sam twierdzi skromnie, iż przekaz sprzed tysiącleci jest zrozumiały dla każdego. Wszystko zaczyna się tak jak cała matematyka - od jedynek. Szczególną uwagę zwraca szósty kamień z prawej strony, licząc od wejścia - nieco mniejszy od innych i stojący nieco wyżej. Wyryto na nim jedynie "odcisk palca".

Wyłącznie linie papilarne "poduszki palca". Jest to jedyny kamień na którym umieszczono tylko jeden rysunek. Pozostałe albo nie zawierają rytów, albo od razu kilka. Czy "szósty kamień" oznacza szóstkę? Daje znak, z jakim systemem

liczbowym trzeba się liczyć?

Kolumny liczb z epoki kamiennej

Boczny kamień nr 21 ma u dołu "odcisk palca", nieco wyżej są trzy znajdujące się nad sobą szeregi w sumie osiemnastu siekieropodobnych rytów. Dodanie tych znaków daje wynik 18 albo 3 razy 6. Mnożenie: 3 razy 4 razy 5 razy 6 daje 360 albo 60 razy 6. Z kolei 18, ilość "siekier", jest jedną dwudziestą liczby 360. A liczba ta jest ilością stopni kąta pełnego.

Cyfry 3, 4, 5 i 6 napisane jedna za drugą dają w systemie dziesiętkowym 3456. Liczba ta znajduje się na monolicie nr 21.

Z kolei 3456 podzielone przez 21 daje 164,57. To znów stanowi wielkość obwodu koła o średnicy 52,38 m. Co z tego? Na $52^{\circ}38'$ leży południowy azymut współrzędnych geograficznych Gavrinis w dzień przesilenia letniego! Czy muszę dodawać, że "grób korytarzowy" jest zorientowany na punkt przesilenia słonecznego? Starczy? Podzieliliśmy liczbę 3456 przez 21, bo 3456 pojawia się na monolicie nr 21. Co będzie, jeśli 164,57 podzielimy przez 52,38? Proszę sięgnąć po kalkulator: $164,57 : 52,38 = 3,14$. Ten wynik zrozumie nawet uczeń szkoły podstawowej. To przecież ludolfina, wyrażająca stosunek obwodu koła do jego średnicy - znana bardziej jako liczba pi - 3,14.

Sceptyk zawoła że to tylko przypadek! Że manipulując liczbami można dojść do wszystkiego! No tak, nie zabierałbym głosu, gdyby chodziło tylko o przytoczone przykłady. Ale nie mogę milczeć, kiedy ignoruje się tysiącletnie przesłania tylko dlatego, że nie pasują do obowiązujących schematów myślowych! Gavrinis jest pełne matematycznych przykładów. Oto kolejne próbki:

Liczba megalitów i ich położenie są celowe, ponieważ w system matematyczny włączono trzy wyraźne grupy: a) prawa strona korytarza, złożona z 12 ciosów; b) "komora grobowa", złożona z 6 ciosów; c) lewa strona korytarza, złożona z 11 ciosów.

Dwie pierwsze liczby, 12 i 6, pasują do układu, po ich dodaniu otrzymamy 18 - właśnie tyle "siekier" wyryto na monolicie nr 21.

Ale co oznaczają monolity z lewej strony? Liczba 11 nie pasuje do szeregu szóstek. Czym jest w tej matematycznej strukturze?

Proszę sobie przypomnieć! Najważniejszą i stale powracającą liczbą było 3456. Podzielmy ją przez 11. Wynik: 314,18. Znowu pochodna liczby pi. Po rozdzieleniu liczby 3456 przecinkiem otrzymamy 34,56, co podzielone przez 11 da 3,14. Gavrinis to tajemniczy skarbiec pełen zdumiewających liczb - skarbiec, w którym zespolono trzy różne, niezależne, lecz mogące ze sobą współgrać systemy: system szóstkowy i jego pochodne, system dziesiątkowy oraz system oparty na liczbie 52 i jej ułamkach - 26 i 13. System oparty na liczbie 52 jest poza tym podstawą zarówno kalendarza, jak i matematyki Majów, co pozwala na wyciągnięcie pewnych wniosków dotyczących pochodzenia matematyki tego ludu. Twórcy matematycznego posłania Gavrinis pomyśleli o wszystkim. Obojętne, jaki system liczenia będą stosowały przyszłe pokolenia - gatunek inteligentny i tak dojdzie w końcu do właściwego rozwiązania. W tym zbiorze danych zawiera się nie tylko liczba pi, lecz również twierdzenia Pitagorasa, liczby (niezwykle dokładne!) oznaczające synodyczną orbitę Księżyca, kulistość Ziemi oraz długość roku, równą 365,25. Jeszcze nie dosyć? Proszę bardzo:

„Grób korytarzowy” Gavrinis składa się z 52 elementów. Na monolicie nr 21 uwieczniono 18 "siekier". Kiedy do 52 dodamy 21, otrzymamy 73. I co? Stale pojawiająca się na tym monolicie liczba miała wartość 3456. Weźmy kalkulator: $3456 : 73 = 47,34$. Teraz możemy już pójść na całość: $47^{\circ}34'$ to długość geograficzna Gavrinis! Jeśli ktoś tego nie zrozumiał, musi wziąć korepetycje.

Gwenc'hlan Le Scouezec, który złamał matematyczny szyfr Gavrinis, tak określił swoje wybitne dokonanie:

„Całkiem możliwe, że w wielości wyliczeń niektóre są mniej pewne od innych, mających naprawdę decydujące znaczenie. Ale z drugiej strony istnieje za dużo zgodności, aby najistotniejsze związki liczbowe mogły być wyłącznie

Jowisza. Obok znajduje się obraz nagiego mężczyzny i nagiej kobiety: mężczyzna wznosi prawą rękę w geście pozdrowienia. Lewa połowa płytki ukazuje położenie Słońca, od którego wybiega 14 promienistych linii różnej długości.

Jak istoty pozaziemskie odczytają posłanie?"Kluczem" jest schemat atomu wodoru, przedstawiony w lewym górnym rogu płytki. Długość fal atomu wodoru w analizie widmowej dla zakresu linii 20,3 cm jest w całym Wszechświecie taka sama. Podstawą wszystkich danych na płytce jest właśnie ta jednostka. Przedstawiciele obcej inteligencji będą mogli nawet obliczyć wzrost kobiety - 162,4 cm. Ale przede wszystkim można tu odczytać miejsce i datę startu sondy. Wszystko wyrażono w symbolach matematyki. Teoretycznie próbnik może zostać zauważony i przechwycony przez przedstawicieli inteligencji pozaziemskich dopiero po przebyciu 28 miliardów km.

Ale co będzie, jeśli płytka trafi do przedstawicieli kultury nie znającej systemu dwójkowego? Czy nasi nieznanymi kosmiczni bracia uznają płytkę za dziwny dar bogów? Czy skłonią swoje dzieci do sporządzania podobnych płytek ku chwale niebiańskich istot? Czy będą przechowywać kopie tych płytek w świątyniach? Czy pozaziemscy archeolodzy będą twierdzić, że chodzi o artystyczną ornamentykę, o symbole - może o rytuał?

Konsekwencje

Istoty kryjące się za posłaniem z Gavrinis uwzględniły w swoich wyliczeniach wszystkie warianty. Dały nam do dyspozycji nie jeden język matematyczny, lecz trzy. Płytkę z Pioneera pokryto złotem, żeby przetrwała tysiąclecia. Projektanci Gavrinis umieścili swoje posłanie na sztucznym wzgórzu w rzucającym się w oczy i zdumiewającym pod względem ornamentyki "grobie korytarzowym" zbudowanym z wiecznych, cYklopowych monolitów - żeby przetrwał tysiąclecia. A my? Nic nie widzimy! Uśmiechamy się z wyższością? Dyskutujemy zażarcie, żeby zagadać "niemożliwe posłanie"! Kolejne pytanie do nauki: czy na Ziemi istnieją inteligentne formy życia?

Dlaczego tak uparcie nie chcemy uznać oczywistych faktów?

Z tego samego powodu, dla którego inni inteligentni ludzie powstrzymują się przed uznaniem UFO za zjawisko realne. W naszych umysłach powraca jak echo głos nauki: To niemożliwe! To nie zostało sprawdzone! Na to istnieją wyjaśnienia "naturalne"! Obracamy rzeczy tak długo, aż zaczynają pasować do systemu naszych wartości. Nie nauczyliśmy się niczego na wielkich błędach nauki. Nie nauczyliśmy się niczego z fałszywego obrazu świata, wedle którego Ziemia była centrum Kosmosu, a wokół niej krążyło Słońce i inne ciała niebieskie. Kieruje nami uprzedzenie - stare, choć łatwo zrozumiałe z psychologicznego punktu widzenia: Jesteśmy najwięksi, nie ma nic ponad nami - nic nie było przed nami. Stąd czerpiemy siłę do zarozumiałych wymówek, ostrych słów i niemal niewyczerpaną energię do uznawania każdego innego rozwiązania za "mądrzejsze". "Wielu ludzi wierzy, że myśli nawet jeśli jest to tylko budowanie nowego systemu uprzedzeń" - twierdził amerykański filozof William James (1842-1910).

Gavrinis leży w pobliżu Carnac, a właśnie w okolicy tego miasta stoją szeregi złożone z paru tysięcy menhirów. Dr Bruno P. Kremer z Instytutu Przyrod Uniwersytetu Kolońskiego, autor wielu prac na temat kamiennych zabytków tego regionu, ocenia liczbę istniejących dziś menhirów na "wiele więcej niż 3000". A Pierre Roland Giot, najwybitniejszy francuski znawca problematyki Bretanii, sądzi nawet, że stało tam ich niegdyś około 10 tys.. Patrząc na trójkowe i czwórkowe szeregi, człowiek odnosi wrażenie, że to skamieniała armia. Najniższe menhiry mają ledwie metr wysokości. Najwyższy, olbrzym Kerloas pod Plouarzel, ma 12 m i waży 150 t. Największy "długi kamień" w okolicy to Wielki Menhir z Locmariaquer. Leży na ziemi połamany - kiedyś miał 21 m długości i ważył 350 ton!

Rozróżniamy pięć rodzajów megalitycznych budowli: a) menhiry, czyli pojedyncze ciosy ustawione pionowo; b) dolmeny, czyli kamienne stoły i megalityczne grobowce; c) kromlechy, czyli łukowate układy kamieni; d) aleje

kamienne wielokilometrowej długości; e) kamienne kręgi.

Wobec tej gigantycznej kamiennej oferty nie powinno dziwić, że i największy krąg kamienny Europy znajduje się w pobliżu Carnac.

To krąg Kerlescan o średnicy 232 m. Najbardziej fascynujące dla turystów są na pewno równoległe szeregi kamieni. W pobliżu Kermario 1029 menhirów stoi w szeregach dziesiątkowych na powierzchni około 100 m szerokości i 1120 m długości. Koło Le Menec w szeregach dwunastkowych stoi 1099 menhirów, 70 wyszło z szyku i utworzyło kromlech. Na kamienną aleję w Kerlescan składa się 540 menhirów stojących w szeregach trzynastkowych. Koło Kerzhero można się doliczyć 1129”długich kamieni” w szeregach dziesiątkowych.

Są to dane niepełne, ale pozwalają zrozumieć, jak ogromnej pracy ktoś kiedyś dokonał. Aha, żebym nie zapomniał: datowanie dolmenu Kercado za pomocą izotopu C-14 określiło jego wiek na 5830 lat! Bogom niech będą dzięki, choćby nawet później dolmen się okazał za młody. Wiedząc o tych 5830 latach można przynajmniej odsunąć na bok nielogiczności prezentowane z powagą we wcześniejszej literaturze fachowej. Zakładano tam między innymi, że prymitywne plemiona koczownicze wycinały i ustawiały w prehistorycznej Europie bloki kamienia gwoli naśladowania ludów orientalnych, dysponujących w Egipcie i gdzie indziej potężnymi zabytkami architektury. Kolejny prąd myślowy twierdzi, że cały rejon dzisiejszej Bretanu był uważany za świętą krainę druidów. Ich okres rozkwitu jednak przypada na ostatnie stulecie prz.Chr. Gdyby więc druidowie umieścili swoje miejsce święte na obszarze zajmowanym przez menhiry, to tylko przejęliby gotowy kamienny kompleks.

Plemiona koczownicze też możemy odfajkować, bo przed 5830 laty w Egipcie nie było ani piramid, ani innych wspaniałych budowli, które można by żarliwie naśladować w Europie. Tyle klasyczna doktryna nauki. Poza tym mamy tu jeszcze jednego haka: plemiona koczownicze - jak sama nazwa wskazuje - nie są osiadłe.

A megalityczny cud w Bretanu był budowany przez lud osiadły, bo ten cały

kamienny rozgardiasz, jeżeli wierzyć fachowcom, trwał co najmniej tysiąc lat. Plemiona koczownicze i ludy pasterskie nie miały w zwyczaju pozostawiania po sobie tak genialnych struktur matematycznogeometrycznych. Megalityczne układy kamieni z okolic Carnac tryskają geometrycznym knowhow!

Biedny Pitagorasie!

Kromlechów, menhirów, dolmenów i kamiennych alej nie rozrzucono po tej pofałdowanej okolicy ot tak sobie - rozmieszczono je według przemyślanego planu obejmującego ogromne obszary. Zachodni kromlech pod Le Menec jest elementem dwóch trójkątów pitagorejskich, czyli prostokątnych, których stosunek boków ma się jak 3:4:5. Pitagoras, grecki filozof z Samos, żył od ok. 572 do ok. 497 r. prz. Chr. Nie pominąłby w swoich księgach wiadomości o plemionach "koczowniczych" albo o "myśliwych i zbieraczach".

A tak brzmi twierdzenie Pitagorasa:

Pole kwadratu zbudowanego na przeciwprostokątnej trójkąta prostokątnego równe jest sumie pól kwadratów zbudowanych na przyprostokątnych, czyli: $c^2 = a^2 + b^2$. Biedny Pitagorasie! Twierdzenie nazwane twoim nazwiskiem wynaleziono tysiące lat przed tobą!

Jeżeli przedłużymy boki trapezu tworzonego przez megalityczny grób Manio I, to przedłużenia przetną się w odległości 107 m pod kątem 27° . "Podstawę tego trapezu można wydłużyć doprowadzając ją do wielkiego menhira i przeciągnąć do niego linię od punktu Przecięcia przedłużeń boków trapezu. Wtedy powstanie trójkąt prostokątny o stosunku boków 5:12:13, spełniający warunki twierdzenia pitagorasa."

Myliłby się, kto by pomyślał, że są to wyliczenia celowo ogłupiające i wyciągnięte z rękawa. Dokładnie takie same trójkąty o takich samych przeciwprostokątnych długości 107 m i takim samym stosunku boków 5:12:13 pojawiają się wielokrotnie w imponujących strukturach megalitycznych pod Carnac. Zdziwiająca jest przy tym, że klasyczny trójkąt pitagorejski o stosunku boków 3:4:5 stosowano rzadko. Ludzie tamtej epoki zajmowali się geometrią

wyższą, trójkąty tak proste były dla nich za prymitywne. W czasopiśmie "Naturwissenschaftliche Rundschau" dr Bruno Kremer zwraca uwagę na fakt, że poszczególne kompleksy zbudowano według ścisłych "oznaczeń wymiarów, pozwalających wnioskować istnienie wysokiej techniki pomiarowej już w mezolicie."

W tym przypadku jednak chodzi nie tylko o geometrię stosowaną, bo tę można jakoś - choć trzeba mieć predyspozycje do halucynacji

- wtłoczyć w prehistoryczne umysły. Chodzi tu też o kulisty kształt

Ziemi, o podział kąta na stopnie, o azymuty, o organizację, o planowanie i o wiele innych spraw. Dr Kremer zwraca uwagę na kąt

53o8' wiążący się z trójkątem pitagorejskim o stosunku boków 3:4:5. Kąt ten odpowiada "dość dokładnie azymutowi wschodu słońca w dzień przesilenia letniego we wszystkich miejscowościach leżących na szerokości geograficznej Carnac".

Archeolodzy dłuższy czas sądzili, że megalityczne kompleksy w Bretanii to kalendarze. Tę możliwość przestano nareszcie brać poważnie - ja zaś mogę przestać drwić z tego pomysłu. Potem przyszła - to nieuniknione - kolej na Słońce, Księżyc i gwiazdy. Nasi niezdarni przodkowie zaczęli się przecież zastanawiać nad punktami migoczącymi na nocnym niebie. A więc aleje menhirów są zorientowane na określone gwiazdy. Błąd. Nie są. Niemordowani badacze, prof. A.Thom i jego syn A.S.Thom, znaleźli tylko kilka linii mogących mieć zastosowanie do obserwacji Księżyca i określonych faz jego obiegu wokół Ziemi. Linie te są dość kuriozalne, bo częściowo ciągną się odcinkami mającymi do 20 km długości. Przykład:

Za największy menhir Europy uważa się MenerHroec'h, znany też jako "Le grand menhir brise" (Wielki Połamany Menhir) koło

Locmariaquer. Menhir ten ma 21 m długości i waży ok. 350 ton. Nad nim w różnych kierunkach przebiega 8 linii namiarowych, przecinających coraz to inne sztuczne kamienne struktury. Jedna z nich zaczyna się koło Treves nad Loarą,

biegnie wzdłuż wybrzeża, potem przeskakuje zatokę Morbihan, przecina MenerHroec'h i na odcinku 16 km przekracza zatokę Quiberon.

Inna linia zaczyna się przy samotnym menhirze na południe od Saint Pierre Quiberon, przechodzi przez zatokę Quiberon, przeskakuje przez MenerHroec'h, a następnie prościutko przez wysepkę Gavrinis biegnie na kontynent. Można się dopatrywać związku tej oraz innych linii namiarowych z fazami Księżyca. Prof. A.Thom i jego syn są zdania, że z MenerHroec'h wszystkie punkty namiarowe było widać gołym okiem. Ze szczytu kamiennego giganta o wysokości 21 m - kiedy stał pionowo.

Lecz właśnie tu tkwi wciąż powracający błąd w tej konstrukcji myślowej. Myli się skutek i przyczynę. Wspaniali "megalitycy" nie mogli przytargać menhira o wadze 350 ton do miejsca X, ponieważ stąd w ośmiu różnych kierunkach biegły linie namiarowe. Przecież linie te objawiają się dopiero po postawieniu menhira w pionie.

W pofałdowanym terenie inne punkty można zobaczyć dopiero ze szczytu menhira. Ergo - nasi geodeci z epoki kamiennej musieli wytyczyć dane miejsce przed postawieniem na nim menhira. Naprawdę trudno byłoby tu nakierować kamiennego kolosa metodą prób i błędów.

W ten sposób można odfajkować powiązania astronomiczne. Dr

Bruno Kremer stwierdza także:

„Ale astronomia nie oferuje żadnych rozsądnych podstaw do wyjaśnienia bretońskich kompleksów kamiennych.”

Nie wiadomo, co robić. Przyznają to nawet otwarcie specjaliści zajmujący się stale bretońskimi zagadkami. O kamiennych alejach W Kermario prof. A. Thom i jego syn piszą z rezygnacją:

„Jest nieprawdopodobieństwem, żeby siedem kamiennych rzędów o długości kilometra ustawiono tylko dla zademonstrowania bezbłędneho układu trzech par trójkątów. Nie możemy zaproponować żadnego przekonującego wyjaśnienia kamiennych alejZ Kermario.”

Brawo! To było przynajmniej szczere. Zarazem właśnie panowie Thom & Thom naprawdę zasłużyli się wszystkim zabytkom megalitycznym Europy. To Alexander Thom, pochodzący z rodziny astronomów i archeologów, ustalił jednostkę miary stosowaną w (prawie) wszystkich budowlach megalitycznych od Irlandii po

Hiszpanię - jest to megalitycznyjard o długości 82,9 cm. Czy jeźdźcy na rączych mamutach rozpropagowali zalegalizowaną jednostkę miary pa wszystkich regionach naszego kontynentu?

I jak ten głupiec u mądrości wrót stoję...

W ręce rodzinnego zespołu badaczy wpadła rzecz zaskakująca.

W trakcie pomiarów ponad tysiąc menhirów kompleksu w Le

Menec, naukowcy zauważyli w południowozachodnim rogu półkole.

Dokładniejsze badania wykazały tam istnienie kamiennego owalu podobnego do owali leżących pod wodą u brzegów wyspy Er Lannic. W zachodnim końcu zespołu, w odległości 112fł m, znajdował się drugi owal. Jakie znaczenie miały kamienne "jaja" umieszczone na początku i na końcu szeregu menhirów? Nie wiadomo. Człowiek szuka "naturalnych" wyjaśnień, ale nie może znaleźć dość przekonujących. Dlaczego? Bo kamienny kompleks zawiera matematycznogeometryczne przesłanie - podobnie jak nasza połączana płytka w sondzie Pioneer 10. Takie przesłania mają to do siebie, że nie są "naturalne".

Jeśli już jestem przy nielogicznościach, to jeszcze jedna sprawa.

Koło Locmariaquer stoi też dolmen o pięknej nazwie "Table des Marchands" - "Stół Kupców". Pokrywę dolmenu stanowi potężna płyta długości 8 m i szerokości 4 m, ważąca szacunkowo 50 t. Podczas konserwowania dolmenu odkryto dziwne ryty, kreski, linie krzywe i "siekiery". Pomyślano o Gavrinis... Ale wydawało się niemożliwe, żeby "grób korytarzowy" z Gavrinis i "Table des Marchands" powstały w tym samym czasie. Dopóki w latach 1979-1984 nie rozpoczęto prac konserwacyjnych na Gavrinis.

Kierownik grupy archeologów, C.T. Le Roux, odkrył na olbrzymiej

kamiennej pokrywie kilka wyobrażeń, wyglądających na niegotowe. Także skała w miejscu połączenia była wyraźnie ułamana

Monsieur Le Roux nie byłby specjalistą w dziedzinie historii Bretanii, gdyby nie przyszedł mu natychmiast na myśl "Stół Kupców". Czy tam nie ma "niegotowych" rytów i dziwnie ułamanego miejsca? przypuszczenie było słuszne. Miejsca i ryty pasowały do siebie jak ulał! "Table des Marchands" i kamienną pokrywę z Gavrinis zrobiono z dwóch części tego samego gigantycznego bloku kamienia.

Irytujące jest tylko, że pracę nad rytami przerwano jeszcze w kamieniołomie. Dlatego jedna część trafiła na Gavrinis, a druga w pobliże Locmariaquer. Logiczne zatem, że matematyczne przesłanie z Gavrinis nie powstało na wysepce. W gotowym dolmenie nikt nie wykańczał prac przy monolitach, szlifując "odciski palców" i "siekiery". Nie była to pozbawiona sensu ornamentyka zrobiona później. Wszelkie sprawy dotyczące zarówno projektu, jak i realizacji ustalano od razu w kamieniołomie.

Nam, mądrym ludziom XX wieku wspomaganym przez komputery, nie udało się wejrzeć w przesłanie megalitycznych budowli Bretanii. Brak zapewne tysięcy menhirów, które rozpadły się z biegiem czasu, zostały wykorzystane przez miejscowych do budowy domów bądź pograżyły się w odmętach Atlantyku. Te brakujące kamienie utrudniają rozwiązanie zagadki. Specjaliści muszą się więc z konieczności ograniczać do rejestrowania kuriozalnych związków między pojedynczymi zespołami kamiennymi. Kamienna księgowość. A może się założymy, że to nie archeolodzy rozwiążą zagadkę? Potrzebni są ludzie o zacięciu interdyscyplinarnym. W szkołach wyższych mamy przecież dość błyskotliwych umysłów, wykraczających ponad przeciętność w matematyce i geometrii. Gdybym to ja rozdział zadania, podrzuciłbym mapę tego ogromnego obszaru - ze wszystkimi zespołami kamiennymi - paru matematykom z prośbą, aby zastanowili się, co się za tym kryje. Trzeba w końcu zgryźć ten orzech. Trwa w błędzie sceptyk, który wciąż

zaprzecza mówiąc, że nic się za tym nie kryje, że to tylko bzdura i przypadek. Wyjaśni to wykraczający poza ten rejon przykład odkryty przez dr.

P. Kremera:

Z przymiarem kątowym i suwakiem logarytmicznym

Kamienne aleje Le Menec i Kermario biegną na północny wschód dotykając najbardziej wysuniętym punktem zespołu kamiennych alej Petit Menec. W pagórkowatym terenie stanowi to odległość około

3,3 km. Odcinek ten jest przeciwprostokątną trójkąta prostokątnego. Jeśli z zachodniego końca kamiennej alei Le Menec pociągniemy linię w kierunku północnym, to po 2680 m linia ta trafi na dolmen

ManeKerioned. Stąd inna linia celuje dokładnie pod kątem 60° na menhir Manio I. Odcinek ma znów 2680 m. Trzy punkty tworzą trójkąt równoramienny.

Na wschodnim krańcu Le Menec mamy z kolei linię północpołudnie. Na południu linia ta muska dolmen Saint Michel, na północy Le Nignol, a za wioską BegerLan menhir Crucuno. Ten odcinek prostej leży wewnątrz wspomnianego trójkąta, przy czym Le Nignol znajduje się w połowie odcinka. Nowy kąt 60° tworzy dodatkowy trójkąt równoramienny o boku 1680 m: Saint MichelLe NignolKercado. Przy czym linia Le NignolKercado nie tylko dzieli szereg kamieni Kermario na dwie połowy - punkt przecięcia oznacza środek przeciwprostokątnej łączącej Le Menec z Petit Menec.

Wygląda to może na zabawę, na nieuzasadnione wynajdywanie trójkątów za wszelką cenę. Ale to nie tak. Punkty są związane ze sobą trzema odcinkami dokładnie tej samej długości, odcinkami leżącymi pod takimi samymi kątami, przy czym przykłady tego typu można mnożyć bez końca. Dr Kramer:

„Ze względu na wielość związków i możliwości nie ma już podstaw, aby wątpić w przestrzenne rozplanowanie zespołów megalitycznych.”Przypomina mi się zdanie Anatola France’a:”Być może Bóg stosował przypadek zamiast pseudonimu, kiedy nie chciał się pod czymś podpisać.”

Pytania nad pytaniami

W Bretanii nie działał dobry Pan Bóg, a o przypadku możemy spokojnie zapomnieć. Cóż więc, na wszystkie planety Układu Słonecznego, chcieli osiągnąć”megalitycy”? Co nimi powodowało? Skąd wzięła się ich wiedza matematycznogeometryczna? Jakie instrumenty stosowali? Jacy geodeci wyznaczali punkty stałe w pofałdowanym terenie? Na jakie mapy przenosili swoje wyliczenia?

W jakiej skali? Przy pomocy jakich sznurów czy luster wyznaczali bieg kilometrowych odcinków prostych? Jak organizowano ciężki transport? Jakich lin używano, jeśli w ogóle ich używano? Jak funkcjonował transport zimą? Jak w czasie deszczu? Na grząskim podłożu? Jakimi narzędziami przycinano na miarę monolityczne płyty? Czy do wznoszenia kamiennych kompleksów stosowano wyłącznie kamienie, czy może pierwotnie ważną rolę grał jakiś inny materiał? Na przykład metal, zżarty do cna przez korozję z biegiem tysiącleci? Po co stworzono całe aleje menhirów - ciągi różnej szerokości, o nierównych szeregach? Raz były to szeregi dziewiątkowe, potem jedenastkowe albo trzynastkowe? Co znaczą kamienne owale na początku i na końcu kamiennej alei Le Menec? Jak ważny był projekt przestrzenny, mniejsze triangulacje w większych? Dlaczego do kamiennych igraszek stosowano różne rodzaje kamiennych kompleksów? Raz menhiry, raz dolmeny, jeszcze innym razem szeregi menhirów, kręgi i półkręgi? Jaka wartość, jaka waga statystyczna przypada różnym zespołom kamiennym w projekcie całości? Jakie kompasy czy sekstansy stosowano przy ustalaniu położenia geograficznego? Czy w tamtej epoce istniały przyrządy podobne do dzisiejszych teodolitów? Jak bardzo planowanie wyprzedzało budowę? Ilu było trzeba pracowników? Kto dowodził armią robotników?

Kto nadzorował całość i dlaczego on? Co uzasadniało pozycję szefa? Czym różnił się od reszty”mrówek”? Gdzie nocowali, gdzie zimowali robotnicy i ich rodziny? Gdzie pozostałości gospód, resztki pożywienia, ich kości? Jak długo trwał ten cały megalityczny rozgardiasz? Czy obejmował dwie generacje po 30

lat? W jakim piśmie przekazywano z pokolenia na pokolenie precyzyjne polecenia?

Na mapie badań wciąż widać wielkie białe plamy i nie ma ani półka, które można by uprawiać samotnie w obrębie jednej dyscypliny naukowej. Żaden profesor geometrii czy budowy dróg nie będzie tu działał z własnej woli. Nikt nie chce wchodzić w paradę kolegom z innych wydziałów. (Jak to? Bez umowy i honorarium?) A jeśli już ktoś poważy się na coś takiego i będzie miał niepodważalne rezultaty nie pasujące do pewnego dogmatu, zostanie zdyskwalifikowany jako niefachowiec i wystawiony na deszcz. Tak funkcjonuje nasz wypróbowany system. Alternatywy są zabronione. W najlepszym razie nadają się na plac zabaw polityków.

W przypadku kompleksów kamiennych w Bretanii skapitulowali nawet fachowcy. Albo datowania są nieprawdziwe, albo plan był przestrzegany przez wiele pokoleń. Nie ma sensu datować np. Gavrinis na 4 000 r. prz. Chr., odmawiając tego wieku dolmenowi Saint Pierre lub Wielkiemu Połamanemu Menhirowi. W końcu wszystkie te trzy punkty leżą na jednej linii namiarowej. A jak "megalitycy" mogli namierzyć coś, co nie stanowiło elementu planowania przestrzennego? Logiczne więc, że punkty wyznaczono w tym samym czasie. A jeśli kompleksy nie powstawały jednocześnie, to kolejne pokolenia musiały się trzymać starych planów. Albo albo. Jasne?

Dane wyciągnięte z kapelusza

Dyskusja na temat wieku kamiennych budowli w Bretanii jest dla mnie we właściwym znaczeniu tego słowa - za sucha. Dlaczego nikt nie mówi o podniesieniu się poziomu morza? Przecież najważniejsze są fakty! Faktem jest podwodny port w Lixus, podwodne szyny pod Kadyksem, na Malcie oraz krąg i półkrąg kamienny u brzegów Er Lannic. Faktem jest też Gavrinis, która w czasach budowy "grobu korytarzowego" musiała mieć połączenie z kontynentem. Byłoby wspaniałe i bardzo korzystne, gdyby archeolodzy i geolodzy uzgodnili wreszcie datę końca ostatniej epoki lodowcowej, bo to

właśnie topnienie lodów spowodowało wzrost poziomu morza. Jest pewne, że nastąpiło to przed 10 700 laty, nie wiadomo jednak, czy proces ten się potem nie powtórzył. Przy czym informacja o przypuszczalnym interglacjale raczej niewiele nam pomoże. Podniesienie się poziomu morza przed 10700 laty było za gwałtowne.

Takie wyliczanie faktów nie ma większego sensu, jeżeli nie łączy ich żadna idea. Czy bretońscy "megalitycy" wiedzieli o nadchodzącym potopie? Może to było powodem, dla którego z takim uporem wznosili swoje kamienne przesłania. Czy wiedzieli, że tylko kamień przetrwa tysiące lat? Czy oczekiwany potop był wyższy, niż zakładano? Czy dlatego niektóre kompleksy kamienne pogrążyły się w wodzie? Musiało być wówczas coś takiego jak przymus pracy - nawet ludzie epoki kamiennej nie harowali w końcu bez powodu.

Wyobraźmy sobie tylko ówczesne narzędzia i środki transportu! Czy ustalono termin, w jakim najważniejsze monumenty musiały być gotowe?

Mam znajomego archeologa. Jest to tak zwany miły gość. Żałuję, że spotykamy się tak rzadko. Zapytany o nielogiczności odkryć w Bretanii stwierdził, że wszystko jest całkiem proste. Ktoś z jakiegoś powodu wznosił pierwszą kamienną budowlę - kolejne pokolenia naśladowały go przez stulecia, przy czym bogatszy ród próbował za każdym razem przebić poprzedni dolmen wspaniałością własnego.

W ten to właśnie sposób powstały w okolicy całe pola budowli megalitycznych, wzbierające jak wrzody.

Jest to wyjaśnienie naturalne. Brzmi przekonująco i w pierwszej chwili można przyjąć, że zagadka jest rozwiązana, a my możemy spokojnie przejść do codziennych zajęć.

Wcale się nie dziwię, że "wyjaśnienia naturalne" idą w parze z zastojem umysłowym. Czemu późniejsze rody stosowały się do reguł geometrii? Do twierdzenia Pitagorasa? Do linii namiarowych? Jakaż religia nakazywała im postępować tak przez tysiąclecia? Czy każde pokolenie miało dostawić do

długich kamiennych szeregów po 20 czy 100 menhirów - za mamusię, za tatusia, za dziadunia...?

W tych samych odległościach i - w zależności od humoru prowadzącego ćwiczenia - w szeregach dziewiątkowych, jedenastkowych albo trzynastkowych? Czy na Gavrinis nie ma rytów dających się zinterpretować w języku matematyki i czy położenia geograficznego tej budowli i innych kamiennych kompleksów nie uwieczniono w podanych wymiarach? Czy rodzinny zespół badawczy Thom & Thom nie odkrył megalitycznego jarda mającego zastosowanie do wszystkich formacji kamiennych? I - last not least - czy pokrywy ogromnego

{Last, not least (ang.) - ostatnie, lecz nie najmniej ważne (przyp. red.).} dolmenu "Table des Marchands" nie wycięto z tego samego skalnego

{Terrible simplificateur (fr.) - okropny upraszczacz (przyp. red.)} bloku co pokrywy Gavrinis?

Terrible simplificateur! Ale uproszczenie nie rozwiązuje zagadki."Wszelka prawdziwa wiedza przeczy zdrowemu rozsądkowi"

- żartował przed stu laty brytyjski teolog Mandell Creighton (1843-1901).

Wypad do Hiszpanii

Może jestem postrzelony i mam zbyt bujną fantazję - ale New Grange, Gavrinis, bretońskich szeregów menhirów i "grobow korytarzowych" nie wyssałem sobie z palca. A propos grobów korytarzowych - są one są nie tylko w Szkocji i od północnej Europy po południową Francję. Setki tych nierzadko gigantycznych (we właściwym znaczeniu tego słowa) budowli znajdują się na Półwyspie Iberyjskim. Jadąc z Granady na północ, do Archidony, warto zatrzymać się na chwilę przed Antequerą i obejrzeć megalityczne supergroby Menga, Viera i El Romeral. Wycieczka na pewno się opłaci, choćby zmaltretowany umysł został potem sam na sam z pytaniami, na które nie znajdzie odpowiedzi.

To kuriozalne, ale Menga przechodzi w Cueva de Menga, czyli jaskinię Menga. Nie można tu jednak mówić o zwykłej jaskini, Cueva de Menga bowiem jest uważana za "najokazalszy i najlepiej zachowany dolmen świata" [43]. Znajduje się na zachód od Antequery i w literaturze jest określany mianem mauzoleum - właśnie: "grobu korytarzowego", choć nigdy nie odkryto tam żadnych zwłok: Megalityczny cud ma 25 m długości, 5,5 m szerokości i do 3,2 m wysokości - można tam wjechać nawet traktorem.

Nikt nie wie, kto pierwszy wszedł do tego grobowca, bo już w 1842 roku to ciemne i chłodne pomieszczenie służyło do przechowywania owoców i warzyw. Prowadzono tu oczywiście prace wykopaliskowe

- w roku 1842, a potem w 1874. Rezultaty były nader skromne, pomijając kilka "z grubsza obrobionych narzędzi z ciemnego; twardego kamienia". W 1904 roku podjęto kolejną próbę, bo ten ogromny dolmen musiał coś w sobie kryć. Ubita ziemia oddała w końcu polerowaną lśniącą siekierkę z czarniawego serpentynu.

Odkryto także dziwny kamienny przedmiot, o którym nie wiadomo, czy to młotek olbrzyma czy jedna z rzeczy włożonych do grobu. Poza tym żadnych zwłok, żadnych kości, żadnego sarkofagu, za to krzyżowe ryty pod suftem i pięcioramienna gwiazda - opisane na niej koło miałoby 18 cm średnicy.

Pokrywa jest wspaniała! Ostatni kamień ma z 8 m długości i 6,3 szerokości. Szacunkowy ciężar: 180 ton! To nie piórko. Właściwą "komorę grobową" przykrywają cztery monolityczne płyty oparte po bokach na potężnych podporach. Pięć kamieni spełniających rolę filarów nośnych tworzy pomieszczenie "komory grobowej" mające 7 m długości. Ciosy mają grubość około 1 m, płyty pokrywy - dwa razy tyle. Wszystko jakby trochę przesadzone, jeśli wziąć pod uwagę, że nic tu nie ma. Ktoś, kto bawił się tymi gigantycznymi klockami, powinien zatroszczyć się i o to, żeby zawartość grobu - o ile był to grób - pozostała nie naruszona. Niechby przed wejściem znajdował się jakiś kawał skały, odsunięty przez rabusiów. Dla późniejszych pokoleń stanowiłby

przynajmniej pośredni dowód, że grób splądrowano.

Materiał zastosowany do budowy Cueva de Menga to twardy wapień z okresu jurajskiego, wydobyty z odległego ledwie o kilometr Cerro de la Cruz. To wprawdzie niedaleko, ale w pofałdowanej okolicy transport na tę odległość stanowił tak czy siak duży sukces - jedna z płyt ważyła wszakże 180 ton! Wszystkie monolity Cueva de Menga są obrobione, a następnie przy pomocy mniejszych kamieni zakotwione w gruncie. Część niezwykle ciężkiego stropu wspiera się na trzech filarach ustawionych precyzyjnie w osi pomieszczenia pod połączeniami płyt. Ówcześni technicy budowlani musieli skończyć bardzo dobrą szkołę.

Sfazowana klinowa pokrywa u wejścia do Cueva de Menga przywodzi na myśl bunkier z drugiej wojny światowej. Tylko o 2 km dalej w linu prostej od tego mrocznego pomieszczenia znajduje się kolejny "grób korytarzowy" - Cueva del Romeral. Ta budowla ma

44 m długości - na dwie komory przypada 10 m, na korytarze 34 m.

Wspaniałością Cueva del Romeral jest - jak w New Grange

- imponujące koliste pomieszczenie z kopułą o pokrywie mającej

6 m długości i 70 cm grubości. Również ten grób, uznany za

„najpiękniejszy przykład prehistorycznych budowli kopulastych”, nie zawiera zwłok, lecz tylko "ścisłą warstwę jakby czarnego popiołu", kilka muszli i resztki kości "niewielkich osobników".

Ludzie kultury megalitycznej byli naprawdę wspaniali. Tylko w Europie poruszyli ogromne ciężary konieczne do zbudowania ponad tysiąca (a naprawdę znacznie więcej) podobnie rozplanowanych "grobow korytarzowych", tak jakby były to domki z kart. Ale zapomnieli odpowiednio zabezpieczyć grobowce swoich wielkich książąt. Po co cała mordęga, jeżeli było wszystko jedno, czy zawartość grobu zostanie później rozkradziona, czy nie? "Megalityczna zaraza" trwała w Europie przez dobre 2000 lat. Rabusie grobow pojawiają się w każdej epoce. Kolejni inwestorzy "megalitycznych grobow" mogli przedsięwziąć coś

przeciw plądrowaniu miejsca swojego pochówku. A może to my naszymi "naturalnymi wyjaśnieniami" przypisujemy ludziom epoki megalitu coś, z czym nie mieli oni nic wspólnego? Czy motywacja do budowy prehistorycznych bunkrów nie była zupełnie inna niż dyktują nam to pobożne życzenia naszej szkolnej wiedzy?

Wielkie dolmeny musiały być grobami - bo czymże innym? Tego wymaga doktryna. Tylko co będzie, jeżeli te ponadczasowe grobowce zbudowano w zupełnie innym celu i dopiero później zaczęto je wykorzystywać jako groby? Ponieważ w swoim czasie reprezentowałem powyższy pogląd w równie niewielkim stopniu jak nasi przenikliwi badacze prehistorii, to mogę tylko podrzucić pomysły

- takie myśli nieuczesane. Niech wzniosła nauka powołuje się spokojnie na fakty, tylko co to pomoże, jeśli rezultat będzie równie niepewny jak rezultat spekulacji? Pospekuluję więc sobie, dobrze wiedząc, że rzeczywistość bywa często bardziej fantastyczna od fantazji.

Czy olbrzymy mogą nam pomóc?

Spekulacja I: Na ziemi żyły kiedyś olbrzymy. Potem się pokłóciły, rozeszły na cztery strony świata i pobudowały gigantyczne dolmeny służące im za miejsca do spania, wypoczynku i obrony.

Ludzie bali się tytanów. Kiedy istoty te wymarły, ich śmiertelne szczątki zniszczono, siedziby splądrowano i wykorzystano do innych celów.

Informacja, że w mrokach pradziejów istniały olbrzymy, jest nie tylko czystą spekulacją:

- niemiecki antropolog Larson Kohl znalazł w 1936 roku na brzegu jeziora Ejasi w Afryce środkowej kości olbrzymich ludzi; - pod koniec lat trzydziestych naszego wieku niemieccy paleontolodzy Gustav von Kónigswald i Franz Weidenreich odkryli, że w wielu aptekach Hongkongu znajdują się kości olbrzymich ludzi.

W 1944 roku prof. Weidenreich mówił o tych znaleziskach w American

Ethnological Society;

- prof. Denis Saurat znalazł w wielu rejonach północnej Afryki nie tylko kości olbrzymów, lecz również kamienne narzędzia, pasujące tylko do ręki giganta;

- apokryficzna Księga Henocha twierdzi, że bogowie stworzyli rodzaj olbrzymów;

- apokryficzna Księga Barucha podaje nawet liczbę olbrzymów żyjących przed potopem; było ich 4090 tys.;

- kto wierzy Biblii i bierze za dobrą monetę każde zdanie Pisma Świętego, znajdzie olbrzymy w Starym Testamencie. Dawid walczy z Goliatem, w Genesis zaś Mojżesz powiada: "A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To są mocarze, którzy z dawien dawna byli sławni";

- biblijne zdanie znajduje lapidarne potwierdzenie w mitach Eskimosów: "W owe dni były olbrzymy na ziemi".

Nordyckie, germańskie, greckie, egipskie, sumerskie - że wymienię tylko parę - przekazy stale opowiadają o olbrzymach. Czy byłoby to możliwe, gdyby istoty takie nigdy nie istniały?

Spekulacja II: W zamierzchłych czasach bogowie oraz ich potomkowie mieli latające maszyny. Istnienie tych maszyn nie jest spekulacją, co wykazałem dobitnie w moich wcześniejszych książkach.

Pradawni ludzie obawiali się humorów i złośliwości niebiańskich szpiegów. Dolmeny wznoszono jako schronienie, zapewniające ukrycie przed widokiem z góry. Gdy tylko usłyszano krzyk: "Latający bogowie!", ród chował się do bunkra. Bezpośrednią przyczyną budowy megalitycznych "grobow korytarzowych" był strach. Późniejsze pokolenia zaś wykorzystywały dolmeny do swoich celów.

Spekulacja III: Ktoś wiedział o mającym nastąpić stopnieniu lodów. Wedle dzisiejszego stanu wiedzy - tylko cóż to znaczy, już jutro wiedza ta być może

przestarzała? - zmiana klimatu wiąże się z powstaniem dziury ozonowej. Osłabienie bądź unicestwienie ochronnej warstwy ozonowej jest groźne dla organizmu ludzkiego, niebezpieczne promieniowanie nadfioletowe przenika przez skórę. Aby nie dopuścić do wymarcia rodzaju ludzkiego, jakiś "ktoś" polecił budować schrony. Prace prowadzono po zmroku - przestraszony ród spędzał dzień pod ochronną warstwą kamieni. I tu późniejsze pokolenia wykorzystywały dolmeny do swoich celów.

W przypadku ostatniej spekulacji ktoś czy raczej Anioł Ziemia - cierpliwości! rozwiążę jeszcze tę zagadkę - musiał wiedzieć, że naruszenie warstwy ozonowej jest przejściowe i że wszystko wróci do normy za kilkadziesiąt lub kilkaset lat.

W takich modelach myślowych nie chodzi o podjęcie jednoznacznej decyzji. Mogę sobie na przykład wyobrazić kombinację wszystkich trzech wariantów. Ktoś, kto blokuje takie spekulacje a priori, wysuwając zarzut, że "megalityczne groby" powstawały w różnych okresach, nie zauważa błędnych datowań i skłonności do naśladownictwa. Te prehistoryczne bunkry były bez wyjątku użytkowane przez późniejsze pokolenia, które pozostawiały w nich swoje rupiecie, resztki jedzenia i kości zwierząt ofiarnych. Datowane przedmioty nie musiały więc wcale należeć do budowniczych. Jeszcze inaczej: wspaniałe ogromne dolmeny, które zdobiły krajobraz, zostały uznane przez późniejsze pokolenia za wzór do naśladowania. Ich kopie powstawały teraz jako budowle kultowe i nikt już nie pamiętał, że dolmeny służyły pierwotnie jako schrony.

Bezpośrednie połączenie z przyszłością

Przyszedł mi do głowy zabawny pomysł: Wielu bogatych ludzi zbudowało pod swoimi domami i ogrodami schrony przeciwoatomowe. Są wśród nich schrony mniejsze - rodzinne i większe - dla całych osiedli. Są to budowle potężne - bunkry. W czasie pokoju pełnią funkcję piwnic, domowych siłowni, a nawet pokoi gościnnych. Kiedy umrą rodzice albo dom zostanie sprzedany,

nowe pokolenie lub nowi właściciele urządzają w bunkrze bibliotekę albo dyskotekę. Dwieście lat później taki dom może zniknąć z powierzchni ziemi

- ale schron pozostanie. A 5000 lat później archeolodzy trafią na najosobliwsze groby wszechczasów. Z podziemnymi korytarzami, prowadzącymi do tajemniczych komór i hal. Sporadycznie będzie się tam znajdować kości lub "rzeczy wkładane zmarłemu do grobu", ale zawsze będą pozostałości przedmiotów codziennego użytku, resztki materiałów i wiele krzyży. Teraz już będzie jasne, że ówcześni ludzie wyznawali religię, w której najważniejszym symbolem był "ukrzyżowany". Stąd niedaleko do uznania pomieszczeń za rodzaj szczególnych grobowców, w których odprawiano ceremonie ku czci ukrzyżowanego...

Ten prosty przykład świadczy o tym, że na skutek "naturalnych wyjaśnień" fakty mogą prowadzić do tworzenia błędnych hipotez. IVIyślenie naukowe i logika nie gwarantują bezbłędności.

Zarzucono mi, że jestem nieprzejednanym wrogiem nauki. Bzdura! Jestem fanem nauki, ale nie jej ślepym wyznawcą. Wiem, co zawdzięczamy naukom ścisłym, bez śladu zawiści cieszę się potwierdzaniem kolejnych informacji - nieważne, jakiej dziedziny dotyczą. Tylko że niestety - mówię o tym niechętnie - wielu dzisiejszych naukowców zdegradowało się do roli powtarzaczy naukowych nowinek. Niech te parę cytatów wybranych z prac niektórych naukowców podbuduje mój zdrowy sceptycyzm.

Naukowcy kontra naukowcy

To powiedział astronom Kenneth C. McCulloch:

„Niektórzy laicy sądzą, że naukowcy poszukują prawdy, modyfikując wcześniejsze teorie, gdy tylko pojawią się nowe fakty i wskazówki. W istocie naukowcy bywają równie ograniczeni i pełni ślepej wiary jak średniowieczni duchowni.”

To powiedział dr T. Haltenorth, były dyrektor Bawarskich Zbiorów Zoologicznych:

„Oczywiste jest, że arogancja zasiedziałej nauki nie zna granic. Przykładów rażących błędów, jakie popełnili uznani badacze, jest mnóstwo.” To powiedział laureat Nagrody Nobla, Max Planck:

‘Nowa prawda naukowa zwykle nie zyskuje uznania na skutek przekonywania przeciwników i przyjęcia przez nich nowego poglądu, lecz raczej dzięki temu, że jej przeciwnicy wymierają, a nowe pokolenie jest z nią obeznane od samego początku.’ [54] To powiedział filozof Karl Popper: „Intelektualiści są zarozumiali i sprzedajni” oraz: „Teorie zamieniają się w ideologie, nawet w fizyce i biologu. Ktoś, kto zaatakuje panującą modę, będzie wyrzucony poza nawias i nie dostanie już ani grosza.”

Mocno powiedziane. Dostałoby mi się, gdybym to ja był autorem tych słów. Zwolennikami fikcji, że nauka jest czymś bezcennym, są przede wszystkim młodzi, zapaleni i uczciwi studenci. Teraz nie mogę już drwić ukradkiem - roześmieję się w głos. A ponieważ śmiech to zdrowie, polecam zagorzałym naukowcom, wyglądającym jakby karmili się wyłącznie cytrynami, lekturę książki *The Experts Speak* z 1984 r.. Jest to, jak czytamy w podtytule, „definitywne kompendium autorytarnych błędnych informacji”. Śmiechu warte!

Co wspólnego ma ta dygresja z szeregiem menhirów i/albo prawdziwymi albo domniemanymi grobami megalitycznymi? Faktem jest, że w rozwiązywaniu globalnych megalitycznych zagadek nie posunęliśmy się zbyt daleko od 30 lat - ta sama naukowa metodyka, naukowe myślenie i armia wybitnych badaczy. Rezultaty w książkach fachowych są zawsze „dzisiejsze”. Dziś wiadomo to czy tamto, lecz dzisiejsza wiedza już pojutrze będzie przestarzała, ale pojutrze w literaturze fachowej znów znajdziemy stwierdzenia, że dziś wiemy już to czy tamto.

W ten sposób - zależnie od trendu i ideologicznego wzoru - przekazuje się pałeczkę w sztafecie. Rewizja pozycji nie do obrony też należy do metodyki naukowej, tylko co to da, skoro z wyjątkiem kosmetycznych

poprawek stosuje się znów tylko rozwiązania połowiczne, które nie dotrważą do pojutra?

Dlatego ja przyznaję się do akceptowania nie tylko informacji naprawdę potwierdzonych naukowo, lecz również fantazji i spekulacji. Ponieważ megalitycznych zagadek nie rozwiązano jednoznacznie, należy szukać nowych modeli myślowych. Lecz niestety takich nie ma - pozbyłem się co do tego złudzeń. Wszelka myśl wyłożona w sposób popularny jest skazana na potępienie - zamiast pisać zrozumiale, lepiej poklepywać się protekcyjnie po plecach. To żalosne - chciałbym poddać ten fakt pod dyskusję - ale koszty prowadzenia badań starożytności prowadzi się w końcu za pieniądze pochodzące z podatków płaconych przez laików. Rezultaty wszelkich badań powinno się zamieniać na wiedzę i doświadczenie. Ale jaki sens ma nauka zamykająca swoje zdobycze w książkach fachowych - w zdaniach tak rozwlekłych, drobiazgowych, i wzajemnie odwołujących się do siebie, że człowiek normalny nijak tego nie zrozumie? Co to da, jeśli mniejszość zatrzymuje swoją wiedzę na skutek tego, że jej żargon jest dla większości nie do przebcnięcia? Naukowcy ze szkół wyższych często się skarżą: "Moje prace nigdy nie osiągną takich nakładów jak paryskie książki." Ależ, proszę bardzo - przedstawcie waszą wiedzę w sposób bardziej popularny i nie zachowujcie się tak, jakby żadnej książki fachowej nie wolno było poddawać pod dyskusję. Nie argumentujcie, że literatura popularna jest pełna błędów. Na pewno jest, włączając w to moje prace. Ale powiedzcie, tak z ręką na sercu, czy literatura naukowa jest naprawdę wolna od błędów? Historia dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Uff!

„Archeologia, rozumiana i stosowana w tradycyjny sposób, uczy, jak żyli ludzie minionych epok - czym się żywili, jakie stosowali materiały i jakie rytuały pogrzebowe praktykowali. Wiemy więc wiele o materialnych okolicznościach towarzyszących bytowaniu naszych przodków, lecz po omacku szukamy ich wyobrażeń duchowych. Rzeczą naprawdę godną uwagi w działalności Ericha von Danikena jest przywoływanie na pomoc mitologii i

uwzględnianie w pełnym zakresie nowego wymiaru, Kosmosu. W ten sposób powstała nowa kategoria badań starożytności - połączenie archeologu z mitologią.”To powiedział archeolog i autor wielu książek fachowych, prof. dr Bellamy Schindler. Nie cytowałem go dlatego, że mi pochlebia, lecz że w sposób jasny stwierdza, o co naprawdę chodzi w jego zawodzie.

W związku z megalitami mity opowiadają o nieziemskich istotach, o olbrzymach i latających bogach oraz o półbogach. To się nie liczy, to nieważne. Jak dlugojeszcze? Bretońskie szeregi menhirów, kromlechy i dolmeny tworzą strukturę matematycznogeometryczną. To się nie liczy, bo wnioski wyciągnięte przez akademickich naukowców byłyby błędne. Jak drugojeszcze? Kamienne kręgi na całym świecie i zorientowane astronomicznie”groby korytarzowe” wykazują jednoznacznie wspólne elementy w myśleniu prehistorycznych ludzi.

Z tymi elementami wiąże się też mitologia. To się nie liczy. Jak dlugo jeszcze? Niegdyś pozaziemscy mistrzowie wywarli ogromne wrażenie na naszych zacofanych technologicznie przodkach. To się nie liczy. Jak drugo jeszcze? Nauka nie potrafi odrzucić”wyjaśnień naturalnych”, nawet jeśli są pełne luk i sprzeczności.

„Gwiazd, które widzimy na niebie, być może już nie ma. Dokładnie tak samo rzecz się ma z ideałami poprzedniego pokolenia”

- powiedział amerykański pisarz Tennessee Williams (1914-1983).

Most do Ameryki Południowej

W Argentynie, Kolumbii, Peru i Chile żyli niegdyś przedstawiciele kultury megalitycznej. Podobnie jak ich europejscy koledzy pozostawili po sobie kręgi kamienne, menhiry, dolmeny i precyzyjne ozdoby. Mimo istnienia materiału pogładowego nauka nie dopuszcza do siebie myśli o powiązaniach między kontynentami, bo powiązań takich być nie mogło. Jak dJugo jeszcze? Kamienie są dowodem, nie da się ich ukryć za żadną zasłoną. Od niepamiętnych czasów w pobliżu bretońskiej wioski Crucuno znajduje się prostokątny układ 22 menhirów. Długość: 34,20 m, szerokość 25,70 m.

Fernand Niels wykazał niezbicie, że prostokąt z Crucuno ma cechy kalendarza. Z przekątnych można odczytać przesilenie letnie i zimowe, z dłuższej osi zrównanie dnia z nocą. Szerokość, długość i przekątna prostokąta mają się do siebie jak 3:4:5. Prostokąt leży na osi wschódzachód.

Odpowiednik prostokąta z Crucuno znajduje się w Kolumbii, w górach Kordyliery Wschodniej, w pobliżu wioski Leyva, odległej o godzinę jazdy od Tunji (2820 m n.p.m.), stolicy departamentu.

„Piedras de Leyva” leżą bądź stoją w prostokątnym wykopie - brak cegieł i jakichkolwiek murów świadczy o tym, że nie chodzi tu o resztki budynku.

Prostokąt złożony z 42 menhirów ma wymiary

34,40 na 11,60 m i - podobniejak prostokąt z Crucuno - leży na osi wschódzachód. Największy menhirjeszcze dziś wystaje z gruntu na 3,40 m. Również ten układ można wykorzystywać jako kalendarz. Ledwie kilometr dalej leżą na ziemi dwa kamienne”penisy w erekcji” - jeden ma 5,80, drugi 8,12 m. Może dla jakiegoś młodego autora będą inspiracją do napisania bestsellera:”Życie seksualne ludzi epoki kamiennej”.

O godzinę jazdy od Pitalito, miasteczka leżącego 1730 m n.p.m., jest San Agustin, leżące w zielonobłękitnym krajobrazie kolumbijskich gór. Znajduje się tu pełno kamiennych posągów odrażających i niezrozumiałych bogów oraz”grobow korytarzowych” i dolmenów a la Bretagne. Już w 1911 r. prof. Karl Theodor Stöpel z Heidelbergu, przecisnąwszy się przez podziemne korytarze długości 30 m, podziwiał potężne kamienne płyty [59]. Rok później za jego przykładem poszedł etnolog Konrad Theodor Preuss (1869-1938), ówczesny dyrektor Muzeum Etnograficznego w Berlinie. Robił pomiary wszystkiego, co wpadło mu w oczy, otworzył kilka grobów i ze zdumieniem stwierdził, że są puste:

„[...] nie można ustalić położenia głów zmarłych z tego prostego powodu, że nie ma ani śladu po szkieletach [...]. Należy sądzić, że rozpadły się w proch, bo nie znalazłem w nich [w grobach - E.v.D.] najmniejszego ich śladu.”

Należy sądzić? Czy rabusie grobów pracują tak doskonale, że nie pozostawiają najmniejszych śladów - nawet po szkieletach? A może w "grobach korytarzowych" nigdy zmarłych nie chowano? Bądź co bądź prof. Preuss otworzył dolmeny nie tknięte! W San Agustin znajduje się wiele dolmenów z granitu. Zmierzyłem jedną z pokryw

- ma 4,38 m długości, 3,60 m szerokości i 30 cm grubości. Lekko jak piórko spoczywa na dwóch menhirach wysokości 2,50 m każdy.

Takich ciężarów nie podnosi się jednym palcem. Budowniczymi „Lasu posągów”, bo tak nazywa się ten rezerwat archeologiczny, nie byli chyba prymitywni Indianie, za jakich ich uważamy. Podobnie jak w New Grange, w Bretanii i w Hiszpanii budowniczy musieli się zabrać do dzieła dysponując dojrzałą techniką, pozwalającą w górzystym terenie transportować tak ogromne ilości kamienia.

I jeszcze tylko pointa na marginesie: Na wyżynie San Agustin granit podobno nie występuje. Czy go importowano? Jeśli tak, to skąd? Dzięki elektronice możemy rozmawiać z całym światem, ale odległość 10 tys. km w linii prostej wydaje się dla skojarzeń archeologów przeszkodą nie do pokonania. Dlaczego w Europie i w Ameryce Północnej znajdują się identyczne budowle? Dlaczego i tu i tam "w grobach korytarzowych" nie ma księżęcych zwłok bogato wyposażonych na ostatnią drogę? Dlaczego gigantyczne dolmeny na różnych kontynentach nie uświetniają imion, herbów i bohaterskich czynów dawnych władców, lecz prezentują wyłącznie takie motywy zdobnicze, jak trójkąty, "odciski palców" i kreski? Co skłoniło naszych przodków do podjęcia tej ogólnoświatowej akcji budowlanej? W epoce odrzutowców nie można już poważnie twierdzić, że kamienne kręgi i olbrzymie dolmeny nie są globalnym fenomenem.

Ci nie istniejący ludzie epoki megalitycznej byli wszechobecni, wszechobecne są też ich różnorodne ślady. Nawet jeżeli nigdy nie było "ludu megalitycznego" i "epoki megalitycznej", to przecież gdzieś na świecie musi być

jakaś wspólna myśl, łącząca ze sobą kamieniarzy i architektów. Dziwne? Niezbyt - bo wiadomo, że znane nam mity wykazują międzykontynentalne powiązania.

Przed laty tuż za granicami japońskiego miasta Nara, na północny wschód od Kioto, sfotografowałem złomy skalne noszące ślady zadziwiającej obróbki. Te zaiste tytaniczne twory, opatrzone delikatnymi żłobkowaniem, zagłębieniami, szczelinami, schodkowaniem i listwowaniem sprawiają wrażenie betonowych odlewów - nie jest to jednak beton, lecz granit. Przywodzą mi na myśl bardzo podobnie obrobione i równie niezrozumiałe kamienne monstra na wyżynie boliwijskiej i nad peruwiańskim Cuzco. Serię zdjęć na ten temat opublikowałem w mojej książce *Die Spuren der Ausserirdischen* (Ślady istot pozaziemskich).

Specjaliści niechętnie mówią o megalitach w Peru - bo jak je skomentować? Bezsprzeczne jest tylko to, że istnieją.

Jako dowód na niezrozumiałe technologie szalonych ludzi epoki kamiennej przedstawiam dwie fotografie wywierające na obserwatorze szczególne wrażenie. Proszę zgadnąć, co to było? Kto wymyśli coś rozsądnego, niech napisze - choć nie jestem w stanie odpowiedzieć na każdy list. Mój adres: Baselstrasse 1, CH-4532 Feldbrunnen.

Starocie i nowości ze Stonehenge

Evergreenami kamiennej przeszłości naszych przodków są niezliczone dolmen i około 900! kamiennych kręgów na Wyspach Brytyjskich. Najznamienitszy z nich to - oczywiście! - Stonehenge w hrabstwie Wiltshire w pobliżu Salisbury. W powodzi literatury o Stonehenge powiedziano już chyba prawie wszystko, ale wydaje się, że problem wiszących kamieni co chwila zaczyna chodzić nam po głowie. Sprawy Stonehenge nie można jeszcze odłożyć ad acta.

Przed dziesięciu laty ja również pisałem o Stonehenge [61]. Jako przekąskę podam więc teraz państwu tamto danie. Smakuje ono nadal wspaniale. Potem

rozpocniemy prawdziwą ucztę.

Stonehenge powstawało w trzech etapach. Wedle obowiązującej teorii najstarszy etap to rok 2800 prz.Chr. - neolit, młodsza epoka kamienna. Jeśli zaakceptuje się te daty, to trzeba przyjąć, że już wówczas jakiś projektant i myśliciel musiał zabierać się do tego ogromnego zamierzenia. Trudno uznać, że wziął się do pracy na własną rękę - wymiary całości są na to zbyt wielkie. Kim byli inwestorzy? Kapłanami czy potężnymi władcami z epoki kamiennej?

Nie można tego stwierdzić na pewno, bo w owych czasach pismo nie istniało - co było również okolicznością bardzo utrudniającą sporządzanie dalekowzrocznych szczegółowych planów.

Ten mądry myśliciel, który zaczął dzieło, oparł się na stuletnich obserwacjach prowadzonych przez swoich przodków. Wiele pokoleń przed nim musiało oznaczać na ziemi cienie padające podczas wschodu i zachodu Słońca, nie były im też chyba obce fazy Księżyca i inne procesy zachodzące na niebie. Nigdy się nie dowiemy, w jaki sposób przekazywano sobie te dane, bo jak już powiedziałem, pismo nie istniało. Z kamiennych pozostałości można tylko wysnuć wniosek, że architekci działający o godzinie "zero" musieli mieć do dyspozycji kupę sprawdzonych danych. Pozostaje zagadką, za pomocą jakich środków technicznych informacje te zdobyto.

Na podstawie tej wiedzy naczelnny architekt wymyślił narzędzia pracy - z krzemienia, z kości, z kamienia i drewna - będąc świadomym, że jego planu nie zdoła zrealizować jedno pokolenie.

Z dalekowzrocznością tak charakterystyczną dla tej epoki i z ufnością patrząc w przyszłość zakładał, że następne pokolenia będą kontynuować jego dzieło z taką samą dokładnością. Fuszerki nie dopuszczano.

W pierwszej fazie budowy sporządzono koliste zagłębienie w gruncie oraz - poza kręgiem - zrobiono wejście z dwóch wielkich bloków kamienia i tak zwanego kamieniastopy (heelstone). Potem, aby uzyskać możliwość dokładnego przepowiadania zjawisk astronomicznych, wewnątrz obwałowania stanął drugi

krąg kamienny

- dziś pozostało po nim 56 otworów, w których stały kiedyś zapewne słupy, umożliwiające namierzanie określonych kierunków. Żeby móc się pewnie poruszać między matematycznie ustalonymi punktami, kierownictwo budowy otrzymało od międzynarodowego urzędu miar megalitycznego jarda (82,9 cm), który także w dalszych etapach budowy był obowiązującą jednostką miary.

Pierwszy architekt był nie tylko genialnym matematykiem i astronomem, lecz również wielkim jasnowidzem, zaprojektował bowiem ważące po 4,5 tony "sine kamienie", które umieszczono na właściwym miejscu dopiero w 700 lat po rozpoczęciu budowy. Cudowna sprawa! Bez jakichkolwiek wskazówek na piśmie!

Odkrycia

Król Jakub I (1603-1625) nie tylko zwrócił uwagę na skomplikowaną kamienną strukturę Stonehenge - chciał się również dowiedzieć, czym była ta budowla kiedyś. Polecił więc zbadać sprawę swojemu nadwornemu architektowi. Był nim wówczas Inigo Jones (1573-1652). Jonesowi spodobało się niespodziewane zlecenie

- poza tym imponowały mu zagadki starożytności. Na miejscu zaksięgował około 30 kamiennych bloków o wadze po ok. 25 ton i wysokości 4,30 m - wyraźnie było widać, że bloki - niektóre poprzewracane - stały kiedyś w kręgu. Jones zauważył też kilka łączy na czopy oraz krąg monolitów złożony z pięciu trylitów z szarozółtego piaskowca zawierającego krzem. Co powiedział Inigo

Jones królowi? Że są to ruiny rzymskiej świątyni.

Kilka lat później jeden z trylitów - dwa kamienie stojące pionowo obok siebie i jeden łączący ich wierzchołki - runął na tak zwany ołtarz. 3 stycznia 1779 roku "trzasnęła kolejna kamienna brama" [62]. Do Stonehenge dobrał się ząb czasu.

Wydaje się, że królowie interesowali się tajemnicami przeszłości bardziej niż dzisiejsi możnowładcy, którzy nie potrafią sobie poradzić z teraźniejszością,

nie mówiąc już o przyszłości. Król Anglii Karol II

(1660-1685) polecił ówczesnemu specjalście w dziedzinie starożytności Johnowi Aubrey'owi udać się do Stonehenge. W 1678 roku

Aubrey odkrył 56 otworów, które są odtąd zwane "otworami Aubrey'a". Co opowiedział Aubrey królowi? Że z tą rzymską świątynią to bzdura, że chodzi raczej o starożytną świątynię druidów. Jeszcze dziś zwolennicy zakonu druidów gromadzą się w Stonehenge w dzień przesilenia letniego, gdzie śpiewając oczekują słońca, które

- jeśli patrzeć od środka ołtarza na wschód - podnosi się dokładnie nad kamieniemstopą.

Prawie 200 lat później, w 1901 roku, fenomenem Stonehenge zajął się Sir Joseph Norman Lockyer (1838-1920). Lockyer był jednym z najwybitniejszych fachowców, jacy się tu pojawili. Był astronomem. Pracował jako dyrektor Obserwatorium Słonecznego w South Kensington. Lockyer ustalił na podstawie badań, że

Stonehenge powstało w 1860 r. prz. Chr. (! 200 lat). Znacznie wcześniej od okresu, w którym pojawili się Celtowie (VI w. prz. Chr). Tak więc historię o świątyni druidów można spokojnie między bajki włożyć.

W naszym stuleciu ożywiły się badania Stonehenge. Znalezione siekierki z krzemienia oraz młoty z piaskowca. Nadal zastanawiano się, skąd pochodzą wielkie kamienie. Wprawdzie w promieniu 30 km istniały kamieniołomy, ale nie było tam "sinych kamieni". W Stonehenge jest ich pełno.

Na zlecenie brytyjskiego urzędu geodezji poszukiwania podjął w 1923 r. dr Thom, który ustalił, że nieduże pokłady "sinych kamieni" występują w górach Prescelly w hrabstwie Prembrokehire w południowej Walii. Tkwił w tym jednak pewien szkopuł: góry

Prescelly są odległe od Stonehenge o dobre 220 km w linii prostej. Odległość drogowa wynosi 380 km. Zdumiewające było, że architekt uwzględnił w projekcie również te dziwne kamienie.

Dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że "sine kamienie" pochodzą z gór Prescelly. Pod dyskusję można poddać co najwyżej sposób, w jaki ciężary te przywieziono do Stonehenge. Naukowcy pogodzili się co do obowiązującego "naturalnego rozwiązania". Monumentalne głazy ściągano z gór Prescelly do rzeki na płozach, a tam przy pomocy tratw ładowano na statki. Profesor Atkinson z Wydziału Archeologii Uniwersytetu Cardiff uważa, że po rozkosznej podróży morskiej "sine kamienie" przeładowywano na pontony "zrobione z powiązanych burtami dłubanek pokrytych pokładem, na którym można było transportować skałę". Dla udowodnienia tej teorii przeprowadzono próbę: związano ze sobą trzy pontony, umieszczono na nich platformę z belek, na których z kolei umocowano bloki kamienia o wadze i wielkości "kolegów" ze Stonehenge. Czterech młodych ludzi z bosakami spławiło ciężar, czternastu wciągnęło go na płozach po obrobionych z grubsza rolkach na zbocze.

Ten stale przytaczany odtąd dowód niejest jednak wcale tak czysty jak ła. Zakłada on mianowicie stosowanie narzędzi i warsztatów, jakich wówczas raczej nie było - na przykład stocznie, w których wypróbowywano by modele, warsztaty powroźnicze robiące liny do transportu ciężarów, dźwigi - choćby najprostsze... Jeśli pojawi się zarzut, że ok. 2100 r. prz. Chr. mieszkańcy wysp mieli już epokę kamienną za sobą, należy wyjaśnić, że wykazano, iż "sine kamienie" znalazły się na miejscu przed drugim etapem budowy. Prof. Atkinson zauważył tę sprzeczność, bo przyznał: "Nigdy nie będziemy wiedzieć dokładnie, jak transportowano kamienie."

26 października 1963 czasopismo "Nature" opublikowało list astronoma Geralda Hawkinsa z Smithsonian Astrophysical Observatory w Massachusetts. Hawkins obwieścił, że Stonehenge jest na pewno obserwatorium - 24 zorientowane budowle oraz możliwości obserwacji wskazują na jego związki z astronomią. Twierdzenia te Hawkins uzasadnił w książce Stonehenge Decoded [64].

Hawkins chciał dowieść, że 56 „otworów Aubrey’ a” leżących w linii prostej tworzy układ nie tylko z kamieniemstopą, lecz również z „sinymi kamieniami” i z trylitami. Wpuścił potrzebne dane do komputera, od którego oczekiwał obliczenia prawdopodobieństwa, czy określone linie mają związek z gwiazdami częściej, niż pozwalałby na to przypadek.

Dane wprowadziły go w osłupienie. Stonehenge okazało się wielkim obserwatorium, dzięki któremu można było dokonywać bardzo wielu prognoz astronomicznych. I tak astronomowie epoki kamiennej wiedzieli, że węzły, czyli punkty przecięcia się orbity Księżyca z ekliptyką, dokonują pełnego obiegu w ciągu 18,61 roku. W letnie zrównanie dnia z nocą mogli ze środka kamiennego kręgu obserwować wschód słońca nad kamieniemstopą - mogli też przewidywać zaćmienia Słońca i Księżyca tak samo dokładnie jak wschód Słońca w dzień przesilenia zimowego i Księżyca w dzień przesilenia letniego.

Wprawdzie prof. Atkinson, największy autorytet w sprawach Stonehenge, wyszydził osiągnięcia Hawkinsa w czasopiśmie „Antiquity”, to jednak nadal uważa się, że Stonehenge było obserwatorium astronomicznym epoki kamiennej, dostarczającym wielu wartościowych informacji.

Komputerem posługuje się też prof. Alexander Thom, ten sam, którego nazwisko wymieniałem w związku z szeregiem menhirów w Bretanii. Zbadał on kilkaset europejskich kompleksów kamiennych pod względem ich związku z astronomią. Efekty nie mogły być bardziej jednoznaczne: Ponad 600 zbadanych monumentów z epoki kamiennej wykazuje współrzędne astronomiczne. Prehistoryczni budowniczy brali przy tym pod uwagę nie tylko Słońce i Księżyc, lecz również orbity wielu gwiazd stałych, takich jak na przykład Koza, Kastor, Polluks, Wega, Antares, Altair czy Deneb.

Profesor Alexander Thom i jego syn, noszący to samo imię, obaj chyba najwybitniejsi znawcy brytyjskich megalitów, piszą:

„Trudno sobie wyobrazić, jak megalityczni budowniczy projektowali i realizowali swoje monumenty, bez jej pomocy [tj. astronomii] [...] Megalityczni

budowniczo eksperymetowali z geometrią i ustalali reguły pomiarów. Nie wiemy, jakie związki łączyły te wyobrażenia z ich innymi instytucjami, ale z jakiegoś powodu zasady matematyczne, które zgłębili, były dla nich na tyle istotne, aby powierzyć je kamieniom.”Tak to jest. Dane astronomiczne odgrywały decydującą rolę w myśleniu ludzi kultury megalitycznej. Dlaczego? Jednym z najgłębszych wyjaśnień jest to, że kapłani zażądali wzniesienia tych budowli, aby móc przepowiadać pory roku, wyliczać przyływy i najwyższe wody syzygijne oraz prognozować zaćmienia Słońca i Księżyca:

Z powodu braku pisma trzeba było przytargać i postawić na sztorc kamienne olbrzymy, żeby objawić to, co każdy widział i tak: codzienny przyływ, wysoką wodę syzygijną przypadającą co dwa tygodnie, nadejście wiosny i zbliżanie się jesieni. Czytam więc, że przepowiednie kapłańskie były nieodzowne, ponieważ właściwy czas na siew i zbiory miał wówczas decydujące znaczenie.

Ani nas ziębi, ani grzeje, gdy wszyscy wiedzą skąd wiatr wieje

W moim pokoju łóżko stoi od x lat w tym samym kącie. Co roku 26 marca i 4 kwietnia wschodzące słońce świeci mi prosto w zaspane oczy. Gdybym oznaczył kreskami na ścianie, gdzie pada pierwszy promień, mógłbym przepowiedzieć, że to samo powtórzy się za rok o tej samej porze. Nawet bez zegarka, budzika czy kompasu wiem, że gdy danego dnia promień dotknie ściany przy pierwszej kresce, jest dana godzina. Prawda, jakie to proste.

Że było to równie proste w czasach prehistorycznych, świadczą niezliczone kalendarze ludów pierwotnych. Indianie z kanionu

Chaco w Nowym Meksyku od tysiącleci stosują takie”ścienne kalendarze”. Zauważyli, że promień słońca padający przez skalną szczelinę wykreśla z biegiem miesiący zawsze tę samą krzywą. W miejscu, gdzie promień osiągał apogeum, wryli spiralę o wysokości 40 cm. Jeśli promień przesunie się przez spiralę w 18 minut, mamy przesilenie letnie. Z pobliskiej szczeliny drugi promień przecina spiralę wysokości 13 cm - jest początek jesieni. Kiedy oba promienie dotkną dużej spirali - jeden z lewej, drugi z prawej strony - mamy

przesilenie zimowe. Prawda, jakie to proste.

Ale przepowiedzenie metodą astronomiczną nadejścia wiosny albo jesieni nie zda się na nic, jeżeli z prognozami nie zgodzi się przyroda. Na cóż kapłański rozkaz: "Nadeszła wiosna, czas na siew!", skoro przez pierwsze sześć tygodni tej pory roku będzie padał śnieg? Kapłani wydający takie prognozy tylko by się zbłąznili! Na diabła byłby też okrzyk: "Jesień! Czas na zbiory!", gdyby przyroda była innego zdania. A właśnie ludy prehistoryczne, bliższe naturze niż my, wiedziały bez pomocy monumentalnych budowli kalendarzowych, kiedy jest czas na siew, a kiedy dojrzewają zbiory. Megalityczne kompleksy kamienne świadczą o wielkiej wiedzy astronomicznej i budowlanej. Ludzie epoki kamiennej nie byli prostakami. Zastanowiliby się poważnie nad rozpoczęciem wielopokoleniowej harówki mającej na celu zbudowanie kalendarza, który w praktyce byłby bezużyteczny.

Praca trwająca stulecia i monumentalny rozmach monolitów świadczą, że celem nie było stworzenie kalendarza codziennego użytku, lecz zupełnie coś innego. Szło o ponadczasowe posłanie, o pomnik na tysiąclecia. Nie tylko dlatego, że dane astronomiczne można było przekazać znacznie skromniejszymi środkami, lecz również dlatego, że pomiary i obserwacje astronomiczne można było przeprowadzać dużo prościej. Oto kilka przykładów:

W górach BigHorn w stanie Wyoming (USA) na wysokości prawie 3000 m jest krąg ułożony z mnóstwa niewielkich kawałków skały, zwany "medicine wheel". W środku kręgu, który ma średnicę 25 m, znajduje się mniejsze koło - wyglądające jak piasta. Od "piasty" do zewnętrznego kręgu biegną kamienne "szprychy" - po za "kołem" jest jeszcze 6 mniejszych usypisk kamiennych. Ani śladu monolitów - sam "drobiazg".

Dzięki "piaście", "szprychom" i kupkom kamieni można uzyskiwać wyśmienite prognozy kalendarzowe i astronomiczne. "Medicine wheel" z Wyoming nie jest niczym szczególnym, podobne kręgi znajdują się w południowej Albercie (Kanada), w Kalifornii, w Meksyku i w Peru. Nawet w odległej Japonii jest

pełno kamiennych kręgów nie sporządzonych w manierze megalitycznej, lecz mimo to dostarczających wyśmienitych danych astronomicznych.

Przykłady można mnożyć. Archeoastronomia, jedna z najmłodszych dziedzin nauki, zbadała już tuziny większych i mniejszych budowli służących jako kalendarze i zorientowanych astronomicznie. Rezultat był zawsze ten sam: prehistoryczni ludzie z niezwykłym uporem wpatrywali się w nocny firmament. Wiedzieli, jak zdobywać potrzebne dane niewielkim nakładem pracy. Chciałbym w ten sposób podbudować twierdzenie, że ani dla celów astronomicznych, ani obliczeń kalendarzowych nie trzeba było wznosić megalitycznych gigantów.

Godzina bajek

Czego to już nie wyciągano dla wyjaśnienia fenomenu Stonehenge i podobnych kręgów kamiennych? W popularnym czasopiśmie

- wprawdzie młodzieżowym, ale zawsze - przeczytałem, że około

2800 r. prz. Chr. klimat w Europie północnej był bardziej suchy i ciepley niż dziś. Rozległe regiony Anglii były porośnięte gęstymi lasami, w których pasły się stada zwierząt - niewielka gęstość zaludnienia była powodem bogactwa hodowców. Bogactwo to dawało im wiele wolnego czasu, który wykorzystali, aby stworzyć twórcze idee dla walki o byt."Pomysł Stonehenge możemy więc przypisać tym hodowcom nawet w razie, gdyby ich życie było jednostronne i prymitywne."

Wprawdzie to tylko teoria, ale nawet teorie muszą mieć ręce i nogi - tu rachunek mi się nie zgadza. Około 2800 r. prz. Chr. gęstość zaludnienia w Anglii ocenia się na 2 mieszkańców na km². Nie było nawet miasteczek."Hodowcy bydła" musieli swoje zwierzęta zabijać. Dla kogo?"Hodowcy bydła" mieli "wiele wolnego czasu" - właśnie dlatego, że zaopatrzenie nasycało niewiele pracy. W tym próżniactwie jest metoda! Z owego dolce far niente, słodkiego nieróbstwa, powstała nowa kultura, "kultura pamięci". Trzeba mieć łeb, żeby wpaść na coś takiego. A że wygodnicy

hodowcy nie znali pisma, wymyślili sobie Stonehenge. A ponieważ nie potrafili zauważyć, kiedy zaczyna się wiosna i trzeba przestać karmić bydłatka paszą suchą, potrzebny im był gigantyczny kamienny kalendarz, który

- biorąc pod uwagę coroczne różnice klimatu - był w istocie do niczego. Pal to lichy!

Ale jaka była motywacja do zbudowania tysięcy kamiennych kręgów w innych częściach świata? Hodowla mamutów czy może pchli cyrk? Ludzie młodszej epoki kamiennej tworzyli takie kompleksy jak Stonehenge, ale ich poprzednicy byli chyba nieco bardziej ograniczeni na umyśle. Tak chce teoria ewolucji. Gdzież więc są, gdzie byli ich intelektualni ojcowie, którzy wymyślali budowle a la Stonehenge czy New Grange? Twórcy megalitycznych budowli na pewno mieli poprzedników, którzy - pokolenie za pokoleniem - zbierali, pomnażali i przekazywali dalej okruchy wiedzy. Gdzież są te małpoludy wspinające się ku mądrości? Na ziemi nie było nikogo, od kogo przedstawiciele kultury megalitycznej mogliby przejąć podręczniki, przyrządy miernicze czy tabele, co uprawniłoby ich do wzniesienia tych wspaniałych obserwatoriów, dysponujących tak wyrafinowanymi możliwościami obserwacji i prognozowania.

Wygląda na to, że megalityczni architekci mieli gotowe podstawy matematyki, geometrii i astronomii - dysponowali też jednostką miary. Bez kursów dla zaawansowanych zdobyli ogromną wiedzę matematyczną, potrafili obrabiać granit, andezyt, bazalt, kwarc i - w Stonehenge - doleryt i riolit. Przez kilka dziesięcioleci uczyli się budować tratwy - ileż wielotonowych bloków kamienia bezpowrotnie pogrążyło się w wodzie. Drewno pękało, liny się rwały, niektórzy ginęli przygniecenii, ręce były zdarte do krwi, ludzi to jednak wcale nie zniechęcało - kalendarz był konieczny!

W tej pseudonaukowej godzinie bajek brakuje mi przekonującego motywu, inspiracji dla tak ogromnego zamierzenia, brakuje też uzasadnionego powodu pojawienia się takiej wiedzy. Geometria, matematyka i astronomia zaliczają się

w końcu do nauk ścisłych.

Od najdawniejszych czasów święte kamienie łączy się z "bogami" lub ich potomkami. Rozumie się, że na całym świecie. W Stonehenge działał czarodziej Merlin - tenże, który był doradcą legendarnego króla Artura i Rycerzy Okrągłego Stołu. To oczywiście legenda, bo król Artur pojawia się dopiero w VI w. po Chr., gdy tymczasem Stonehenge jest starsze o 2000 lat.

Legendy mają długi żywot. Opowiadane wciąż na nowo i wplatanie w inne historie zachowują jednak swój pierwotny rdzeń. Mnich

Geoffrey of Monmouth w swojej pracy *Historia Regnum Britanniae* wykazuje powiązania Stonehenge z Merlinem [74]. Bóg jeden wie, z jakich źródeł korzystał Geoffrey. W każdym razie Merlin twierdzi w legendzie, że kamienie "przyniesli z dalekiej Afryki" olbrzymi, a w kamieniach tych "zawiera się tajemnica".

Kosmiczne posłanie

Do rozgryzienia tajemnicy Stonehenge zabrał się też dr Władimir I.

TiurinAwinski, geolog, członek Akademii Nauk ZSRR. Jest on autorem niezliczonych prac naukowych. W 1973 r. zadziwił swoich kolegów na II Międzynarodowym Sympozjum SETI nowym terminem "paleokontakt". (SETI - Search for Extraterrestrial Intelligence. Paleokontakt - prehistoryczne spotkanie istot pozaziemskich z mieszkańcami Ziemi.) W październiku 1975 r.

TiurinAwinski i fizyk O. Tiereszin mieli na Wydziale Fizyki moskiewskiego

Stowarzyszenia Badania Przyrody odczyt pod tytułem "Ogrom wiedzy matematycznej i astronomicznej budowniczych Stonehenge". Referat uznano później za referat roku. Na XVI Konferencji Ancient Astronaut Society w Chicago TiurinAwinski wyciągnął kolejną sensację: "Stonehenge zawiera kosmiczne posłanie!" Jak do tego doszedł?

Tiereszin i TiurinAwinski studiowali prace Thoma i Hawkinsa: "Stonehenge jest zbadane dosłownie wzdłuż i wszerz. Poprzedni badacze podchodzili do niego z historycznego, archeologicznego i astronomicznego punktu widzenia,

nigdy jednak nie analizowano jego ilościowych i systemowych związków z innymi zabytkami kultury megalitycznej.”Radzieccy naukowcy zrobili to, do czego są zdolni tylko ludzie wielcy duchem - wyszli poza zastale schematy myślowe. Chcieli się dowiedzieć, czy istnieją inne, względnie blisko Stonehenge położone kamienne kręgi, które można by włączyć w jednolity układ geometryczny, i odkryli coś jakby matematyczny”klucz”, pasujący do wszystkich kamiennych kompleksów.”Klucz” jest oparty na kącie wysokości pozycji Księżyca dla szerokości geograficznej Stonehenge w zrównanie dnia z nocą. Na podstawie tego”księżycowego kąta” można tworzyć pentagramy i jedenastokąty, które z kolei da się dowolnie nakładać na Stonehenge i inne kamienne kompleksy.

W Stonehenge odczytano zadziwiające dane: północną szerokość geograficzną tego miejsca, średnicę kuli ziemskiej, jej promień na biegunie, średnią odległość Księżyca od Ziemi, średni promień orbity Księżyca oraz wielkość i odległości między pięcioma planetami najbliższymi Ziemi. TiurinAwinski uważa, że”praojcowie” przygotowali dla nas egzamin dojrzałości:

„Zrozumienie przeznaczenia Stonehenge bez zaakceptowania kosmicznych kontaktów naszych praojców, jest prawie niemożliwe.”

Tym samym w grze wyszła boska karta, a jeżeli się zastanowić dokładniej, to wpływ ET na przedstawicieli kultury megalitycznej jest”wyjaśnieniem naturalniejszym” niż”naturalne wyjaśnienia” niektórych uczonych.

Dotychczasowe próby rozwiązania tego problemu pozostawiały bez odpowiedzi mnóstwo pytań i nigdy nie pasowały idealnie do założonego modelu. Można jakoś wyjaśnić osiągnięcia w dziedzinie transportu - ale nie znajomość materiałów; osiągnięcia w dziedzinie wytwarzania kamiennych narzędzi i drewnianych rolek - ale nie obecność trójkątów pitagorejskich. Zlokalizowano miejsce wydobywania”sinych kamieni” - ale nie wiadomo, dlaczego zastosowano właśnie te monolity, skoro w pobliżu znajdowało się wiele innych.

Istniały rozsądne teorie na temat tworzenia regionalnych kręgow kamiennych - ale teorie te nie wyjaśniały fenomenu globalnego obłędu, który doprowadził do powstawania coraz to nowych kamiennych kręgów. Wprawdzie ustalono, że kręgi kamienne miały związek z procesami zachodzącymi na niebie i z wiedzą kalendarzową, ale wyjaśnienie to nie pasuje do alej menhirów i geometrycznych posłań Bretanii. Jeden kompleks megalityczny datowano raz na rok 4000 prz.Chr., raz na 2800 prz.Chr. lub na jeszcze inny okres - nie było jednak żadnej linii łączącej, żadnego przekonującego motywu, dlaczego ludzie epoki kamiennej robili to, co wyraźnie robić musieli. Brak jednolitej myśli religijnej. Stale pomijano mit łączący ze sobą ludy. Mit ten nigdy nie wszedł do hipotez archeologów i archeoastronomów.

Nikt nie ma pełnej swobody wartościowania

W przypadku nowych hipotez naukowych wcale nie chodzi o to, aby ich wymowę oprzeć na możliwie dużej ilości poszlak, lecz o przeciwstawienie w nich tezy antytezie. Celem ma być nie umacnianie własnej tezy wszelkimi środkami i jednostronnym wyborem

- trzeba się starać ją obalić za pomocą przekonujących argumentów.

Jeśli jednak teza wykaże, iż większość poszlak przemawia za tezą, można ją będzie uznać za tymczasowo słuszną. Ale w przypadku tezy tymczasowej dopiero w przyszłości można będzie podjąć decyzję, czy nie należy jej zakwestionować na podstawie nowych danych. Jeśli na skutek pojawienia się nowych informacji teza okaże się nie dość nośna, można będzie spróbować albo zbudować tezę nową, albo przebudować strukturalnie tezę poprzednią.

Nie twierdzą, że moja hipoteza jest jedyną do zaakceptowania, od razu też przyznaję, że poszlaki doбираłem nie dysponując pełną swobodą wartościowania - podobnie jak naukowcy. A jednak hipoteza mówiąca o wpływie ET na początki ludzkości jest bardziej prawdopodobna niż podgatunki odkryte przez archeologię. Dlaczego? Znam hipotezy archeologiczne i uwzględniam je w moim modelu myślowym - sytuacja odwrotna się jednak nie

zdarza. Znam powiązania mitów i włączam je w swój model - teraz też sytuacja odwrotna się nie zdarza. Hipoteza, która z założenia nie uwzględnia jakże interesujących powiązań, uznając je za nieistotne, na dłuższą metę jest nie do przyjęcia. Jeśli zaś idzie o swobodę wartościowania lub jej brak, co mi się tak często wypomina, dopuszczę do słowa Sir Karla Poppera:

„Nie możemy naukowca pozbawić stronniczości, nie pozbawiając go zarazem jego ludzkiej natury. Tak samo nie możemy mu zabronić lub zniszczyć jego wartościowania, nie niszcząc go jako człowieka i naukowca. Nasze motywy i nasze czysto naukowe ideały, jak ideał poszukiwania czystej prawdy, są głęboko zakorzenione w wartościowaniach pozanaukowych, a po części religijnych. Naukowiec obiektywny i dysponujący swobodą wartościowania nie jest naukowcem idealnym. Nic nie jest możliwe bez odrobiny szaleństwa - tym bardziej w nauce czystej. Określenie ‘umiłowanie prawdy’ nie jest czystą metaforą. Nie jest więc tak, że obiektywizm i swoboda wartościowania są dla naukowca praktycznie nieosiągalne, lecz raczej że obiektywizm i swoboda wartościowania są wartościami samymi w sobie. A ponieważ swoboda wartościowania jest sama wartością, paradoksalne jest wymaganie bezwarunkowej swobody wartościowania.”

To dotyczy nas wszystkich, czy jedziemy na tym, czy na innym wózku. Ludzie to nie roboty. Nie jesteśmy - dzięki Bogu, chciałoby się powiedzieć - sobie równi. Hipoteza o wpływie istot pozaziemskich na ludzi prehistorii jest w stanie wyjaśnić znacznie więcej otwartych kwestii niż jakakolwiek dotychczasowa hipoteza naukowa. Dotyczy to nie tylko problemów związanych z budowlami megalitycznymi, lecz również takich, jak:

Powstanie inteligencji - Prapoczątki religii - Pierwotny rdzeń globalnych mitów - Używanie do opisu bogów w starych tekstach takich określeń jak ”dym”, ”ogień”, ”drzenie ziemi”

„hałas” - Wyjaśnienie kwestii ”niebiańskich mistrzów” - Lista imion ”upadłych aniałów” w Księdze Iienocha - Problem Boga i jego

przeciwnika - Prehistoryczne wyobrażenia boskich sądów

- Legendarni prackrólowie lub praojcowie - Zniknięcie postaci mitologicznych "w niebie" - Wzmiankowane w Starym Testamencie efekty przesunięcia w czasie - Strach przed powrotem bogów - Najdawniejsze ofiary składane bogom - Rytuały pozwalające przez oczyszczenie zbliżyć się do bogów
- Powstanie starożytnych symboli i kultów, jak kult słońca i gwiazd - Podobne wyobrażenia "opromienionych" bogów na skałach całego świata - Powstanie na całym globie ogromnych rysunków naziemnych, widocznych tylko z lotu ptaka
- Stan wiedzy matematycznej i geometrycznej oraz technologii naszych przodków - Potwierdzenie relacji starożytnych historyków piszących "niebiańskich mistrzów" i pokoleniach bogów-półbogów

- Potwierdzenie istnienia "latających maszyn" w tekstach staroindyjskich - Wyjaśnienie kwestu olbrzymów i globalnego fenomenu deformowania czaszek... itd., itp.

Archeologiczne, teologiczne i etnologiczne hipotezy umożliwiające zrozumienie różnych typów zachowań ludzi prehistorii, pozwalają tylko na częściowe wyjaśnienie otwartych kwestii. Hipoteza mówiąca o pozaziemskich wpływach daje odpowiedź na wszystkie pytania, pasuje do wszystkiego. "Bogowie", którzy kiedyś za pomocą celowej mutacji wykreowali z praczłowieka Homo sapiens, liczyli na to, że kiedyś natkniemy się na znaki świadczące o ich pobycie na Ziemi. Dotąd nie chcieliśmy tych posłań przyjąć do wiadomości. Istnieją jednak ślady tak wyraźne, że musimy je zaakceptować.

V. Niewiarygodna historia

Żadna ofensywa nie jest równie trudna jak powrót do rozsądku. Bertolt Brecht (1889-1956)

Wiele ludów jest dumnych ze swoich świętości narodowych. Mam na myśli miejsca uświęcone historią. My, Szwajcarzy, do godności narodowego sanktuarium wynieśliśmy łąkę Rutli w kantonie Uri, nad Jeziorem Czterech Kantonów, gdzie nasi przodkowie złożyli przysięgę na Związek Wieczysty. Dla

Greków świętością narodową jest Akropol i Olimpia, dla Egipcjan piramidy w Giza, dla Duńczyków - Trslleborg.

- Traelleborg? Co to takiego? - dopytywał się jeden z moich znajomych. - Marka duńskiego piwa czy nowa pasta do chleba?

- Traelleborg, jak twierdzi wersja oficjalna, jest warownym grodem wikingów. Pod pojęciem grodu warownego wyobrażamy sobie zwykle zamek, czyli budowlę z murami obronnymi, strzelnicami i fosami. Traelleborg to coś całkiem innego. Weźmy do ręki cyrkiel i zakreślmy okrąg. Potem kolejny okrąg o promieniu kilka centymetrów większym, potem jeszcze jeden, a ponieważ idzie nam już całkiem nieźle - jeszcze czwarty. W ten sposób sporządziliśmy szkic kompleksu "Traelleborg". Krąg wewnętrzny jest wałem kamiennoziemnym wysokości 6 m i 17 m grubości. Promień wewnętrzny wynosi 68 m. Dalej jest fosa szerokości 17 m i kolejny krąg ziemny, którego promień jest dwa razy większy od poprzedniego - 136 m. To wszystko otacza niewielka fosa i kolejny krąg. Weźmy teraz dwie linijki skrzyżowane pod kątem prostym i przyłóżmy miejsce ich przecięcia do środka koła - tak, aby jedna linia wskazywała kierunek północpołudnie, a druga wschódzachód.

Co widzimy? Cztery koła, z których wewnętrzne jest podzielone na cztery ćwiartki.

Wyobraźmy sobie teraz 13 stateczków, mających przód i tył ścięty. Umieśćmy te stateczki obok siebie między kręgiem trzecim a czwartym, ale tylko w ćwiartce południowowschodniej. Osie wszystkich stateczków są skierowane ku środkowi wewnętrznego kręgu. Ale to jeszcze nie koniec. W każdej ćwiartce kręgu centralnego powstaje czworobok złożony z 4 stateczków. W sumie będzie ich w tym kręgu 16: 8 zorientowanych w kierunku północpołudnie i 8 w kierunku wschódzachód. Teraz plan Traelleborgu jest gotowy.

Duńscy archeolodzy, którzy prowadzili tu prace wykopaliskowe i konserwacyjne, nie znaleźli wprawdzie drewnianych resztek budynków

czy "stateczków", ale kamienne fundamenty świadczą o ogólnym układzie kompleksu. Było dokładnie tak. Zdumiewające, bo ktoś poza wikingami mógł tu mieszkać, ktoś wznosił bazę wojskową? Ale żadne siedlisko wikingów nie wykazuje śladów astronomicznej precyzji. Dokładny zarys, który musiał być zaprojektowany przez genialnych inżynierów, zupełnie nie pasuje do mentalności tego ludu. Byli to rozbójnicy morscy, którzy - jeśli już budowali twierdze - to tylko dla ochrony swoich portów i łodzi. Tu nie ma portu. Dawniej, o ile wiemy, Traelleborg był z trzech stron otoczony bagnem. Leży

3 km w linii prostej od Wielkiego Bełtu na tej samej wyspie co stolica Danii, Kopenhaga. Na obwałowaniu archeolodzy znaleźli resztki drewna - nie pochodzące jednak z budynków czy "stateczków".

Można je datować na 980 r. po Chr. Wtedy tereny te opanowali wikingowie. W Traelleborgu odkryto także cęgi i młoty, kilka brosz, sprzączki do pasa, siekiery i ostrza oszczepów - wszystko z okresu wikingów. Nie ulega wątpliwości, że w Traelleborgu mieszkał ród wikingów.

Ale czy kompleks był ich dziełem, czy tylko zajęli dawną, istniejącą już świętość? Problemem tym zajmował się kierownik prac wykopaliskowych, duński archeolog Poul Nørlund:

„Kompleks jest za przejrzysty i za regularny jak na możliwości naszych normańskich przodków, którym taka dokładność, przynajmniej na podstawie dostępnej nam wiedzy, była zupełnie obca.” Nie można teoretyzować, jeżeli się o czymś nic nie wie, tak więc zatrzymano się przy wikingach... Któregoś dnia jednak pewien Duńczyk wznosił się w przestworza.

Odkrycia z lotu ptaka

Jest wczesne lato 1982 roku. Preben Hansson, rocznik 1923, wsiada do niedużego jednosilnikowego francuskiego samolotu Mourane Solnier 880. Pilot amator dysponujący dwiema licencjami, duńską i amerykańską, lubi ten typ samolotu, bo można nim lecieć bardzo powoli. W spokoju można patrzeć w dół. Również zdjęcia robi się zeń wygodnie i bez pośpiechu - jakby człowiek bujał

nad lasami i polami w gondoli balonu na gorące powietrze.

Preben Hansson jest mistrzem szklarskim, ma własną firmę, jest też członkiem zarządu towarzystwa ubezpieczeniowego oraz przedstawicielem państwowej szkoły szklarskiej. On i jego żona Bodil są ludźmi dowcipnymi, porządnymi i zrównoważonymi, którzy obiema nogami stoją na ziemi - chyba że Preben odda się swojej pasji i buja właśnie w powietrzu.

W ten letni ranek Preben Hansson wystartował z rodzinnego miasteczka Korsor, pogoda była wspaniała, widoczność bajeczna.

Pilot nabrał wysokości, wykonał kilka okrążeń nad swoim domkiem na skraju lasu i pokiwał żonie ręką. Parę minut później przeleciał nad Traelleborgiem. 16 "stateczków" rozdzielonych między cztery ćwiartki wewnętrznego kręgu przywiodło mu na myśl "precyzyjną filigranową broszkę dla jasnowłosej dziewczyny wikingów". Zawrócił, żeby obejrzeć z różnej wysokości odcinające się od krajobrazu kręgi i wyraźne zarysy "stateczków" z ćwiartki południowoschodniej. "Stateczki", których osie były skierowane dokładnie na środek kręgu, wyglądały jak antena paraboliczna, skierowana na północny zachód. "Co za wspaniały widok - pomyślał Hansson. - Jak wikingowie wpadli na pomysł wykonania takiego rysunku?"

Potem dla kaprysu ustawił automatycznego pilota na północny zachód. Trzy minuty później w pobliżu zatoki Musholm przeleciał nad brzegami Wielkiego Bełtu, a zaraz potem nad środkiem półwyspu Reerss. Na częstotliwości 127,3 poprosił wieżę kontroli lotów w Kastrup o radarowy nadzór podczas przelotu nad morzem.

Przydzielono mu częstotliwość squawk 2345 i poproszono, żeby się zameldował, gdy tylko doleci nad Rssnaes. Tak też się stało. Hansson leciał od Traelleborgu kursem 325°.

Po pokonaniu 67 km, co trwało 34 minuty, zdarzyła się mała niespodzianka. Dokładnie pod samolotem pojawiła się wysepka

Eskeholm - też kuriozum. Na ziemi widać było dwa trójkąty a nieco na

wschód mniej wyraźne koło. Są to pozostałości obwałowania podobnej wielkości jak Traelleborgu. Wysepka jest maleńka, prac wykopaliskowych prawie się tu nie prowadzi. Cóż, powiedział sobie mistrz szklarski, dwa punkty zawsze można połączyć linią prostą.

Ale w duszy zakiełkowało mu podejrzenie. Paliwa miał jeszcze na dwie godziny lotu. Dokąd dotrze lecąc tym kursem, dowiedział się po 55 minutach lotu, pokonawszy 99,5 km: jego maszyna przeleciała dokładnie nad środkiem okrągłej strefy wykopaliskowej Fyrkat.

Fyrkat jest drugim "grodem wikingów" Danii, drugą świętością tego kraju. Okrągłe obwałowanie znajduje się na niedużym przylądku kilka kilometrów na zachód od miasteczka Hobro. Podobnie jak Traelleborg zwraca uwagę symetrią rozplanowania. Z trzech stron przylądek otaczają łagodnie pofałdowane łąki - kiedyś były tu bagna. Po stałym gruncie można było dojść do Fyrkat tylko od południowego zachodu. Do morza jest stąd 40 kilometrów.

Znów dziwny "gród wikingów" bez dostępu do morza. Obwałowanie ma 12 m szerokości i 4 m wysokości, a średnicę 120 m. Także i tu nad środkiem koła można umieścić skrzyżowane pod kątem prostym linie północ-południe i wschód-zachód. Znowu pojawiają się 4 ćwiartki koła, w których znajduje się 16 astronomicznie zorientowanych "stateczków". Fyrkat zrekonstruowali w latach pięćdziesiątych pracownicy duńskiego Muzeum Narodowego. Tak jak w Traelleborgu znaleziono tu różne ozdoby i przedmioty codziennego użytku wikingów; drewniane domy padły ofiarą ognia. Budowniczym był zapewne król Harald Sinozęby albo jego syn Swen Widłobrody, który ok. 985 r. n.e. zrzucił podstarzałego ojca z tronu.

Nie ulega wątpliwości, że w Fyrkat i w Traelleborgu mieszkali wikingowie. Ale dlaczego trzymali się geometrycznego porządku, który pasował do nich jak róża do kozucha? A może ten kolisty kompleks istniał przed przybyciem wikingów, którzy stali się tylko spadkobiercami kultury znacznie starszej?

Hansson spojrzał na wskaźnik paliwa: starczy go jeszcze do niedużego

prywatnego lotniska, których jest dość w tym płaskim terenie. Znowu włączył autopilota, nastawionego jeszcze w Traelleborgu na kurs 3250. Minął środek obwałowania Fyrkat. Po dalszych 52 km, czyli po 26 minutach lotu, wydało mu się, że padł oflarą fatamorgany. Dokładnie na kursie leżał środek potężnego obwałowania Aggersborg.

To trzecia świętość narodowa Danii, trzeci "gród wikingów".

Zarys Aggersborgu jest taki sam jak Fyrkat i Traelleborgu, wszędzie cztery ćwiartki koła ze "stateczkami", wszędzie "krzyż" wskazujący cztery strony świata, wszędzie podwójne i poczwórne kręgi wokół kompleksu. I wszędzie te same znaleziska i te same pytania.

Aggersborg wyróżnia się tylko jednym: krąg wewnętrzny jest większy niż w Traelleborgu, mieści się w nim więcej "stateczków". Aggersborga nie zrekonstruowano, "stateczków" nie wylano w betonie, a część kompleksu jest do dziś pod powierzchnią ziemi.

Oto dowody

Dotąd Preben Hansson pokonał 218,5 km. Kurs 3250 był niejako narzucony przez ukierunkowanie "anteny parabolicznej" Traelleborgu, prowadził nad wodą i lądem, w dole zaś ukazywały się po kolei dziwne, okrągłe kompleksy. Nie może już być najmniejszych wątpliwości co do faktu, że Aggersborg, Fyrkat, Eskeholm i Traelleborg leżą na jednej linii! Rozdzielone wzgórzami, skomplikowaną linią brzegową, zatokami i morzem. Chorobliwe byłoby mówienie o przypadku. Tylko dlaczego i jakimi środkami wikingowie byli w stanie stworzyć kompleksy tak ukierunkowane?

W domu Preben usiadł nad mapami lotniczymi. Sięgnął też po mapy krajów ościennych i po globus. Linię AggersborgFyrkatEskeholmTraelleborg pociągnął poza Danię. Najpierw linia przechodziła przez okolice Berlina, później szła przez Jugosławię, trafiała na Delfy, słynny starogrecki święty ośrodek kultu Apollina i jego wyroczni. Później biegła na zachód od egipskich piramid w Giza, aż do Etiopu, kiedyś imperium królowej Saby.

Preben jest człowiekiem skrupulatnym. Oczywiście jest, że odkrył prehistoryczny korytarz lotniczy prowadzący z Europy północnej do Delf. Po drodze znajdowały się też inne obwałowania pogańskie, a starożytne nazwy miejscowości i okolic bardzo często miały wiele wspólnego z takimi pojęciami jak "światło", "ogień", "latać", "bogowie", "władza". Niezmordowany Hansson wraz z żoną Bodil zostali stałymi bywalcami wielkich bibliotek Danii i północnych Niemiec. Przesiewali mity i legendy, otwierał się przed nimi nowy, zdumiewający świat - co znalazło wyraz w fascynującej książce

A jednak tu byli.

Dzięki uprzejmości autora i Wydawnictwa Hestia mogłem wykorzystać fragmenty książki i zaczerpnąć z niej kilka najefektowniejszych zdjęć. Unikałem jednak dłuższych cytatów, chciałem bowiem, aby książka Prebena Hanssona stała się lekturą obowiązkową dla wszystkich, których nie satysfakcjonują dotychczasowe wyjaśnienia na temat prehistorii człowieka. Książka ta ukazuje, w jaki sposób dzięki szczęściu do odkryć, logice i przenikliwości można znokautować przestarzałą doktrynę. Preben Hansson:

„Dziwiono się, że Trslleborg, Fyrkat i Aggersborg nie leżą w pobliżu wielkich, znanych traktów.”

To wcale nie przypadek. Ktoś polecił wznieść te kompleksy tam, gdzie musiały się znaleźć, czyli na powietrznym szlaku z Delf do Aggersborgu. Pełniły zapewne funkcję "latarni morskich", optycznego lub elektronicznego kompasu dla transportu lotniczego bogów obejmującego całą kulę ziemską. Możliwe, że były to też radary i stacje paliwowe.

Kimkolwiek jednak byli prehistoryczni budowniczy tych kompleksów, nie byli nimi wikingowie. Dla tych ostatnich budowa Aggersborgu - odda Ionego o 40 km od morza - byłaby nonsensem, pomijając już fakt, że nie znali zasad geometrii.

Jak więc powstały "grody wikingów"? W czasach, kiedy na Ziemi przebywali bogowie, niektórzy ludzie obserwowali zapewne, co dzieje się za

tajemniczymi obwałowaniami. Opowiadali potem współplemieńcom, że bogowie zstępują z nieba. W umysłach ludzi epoki kamiennej budowle te awansowały do rangi wielkich świętości.

Kiedy bogowie zniknęli, ludzie kierowali modlitwy i ofiary do nieba. To zrozumiałe, bo w końcu chodziło o miejsca, w których przebywały tajemnicze i potężne postacie. Nic nie nadawało się lepiej do ceremonii kapłańskich niż miejsca, w których działali sami bogowie. Tysiące lat później, w epoce wikingów, nikt już nie znał pierwotnego przeznaczenia tych niegdyś czysto technicznych kompleksów, a dzisiejsza archeologia jest za jednotorowa i pozbawiona fantazji, aby przypuszczać, co się za tym kryło. Preben Hansson:

„To nie przypadek, że te ogromne obwałowania leżą na jednej linii, a jakby tego nie było dość, wszystkie cztery stożują się do osi paraboli z Traelleborgu. Kompleksy musiał zbudować ktoś, komu takie ich położenie było potrzebne i kto mógł je rozmieścić na odcinku ponad 200 km. Niezależnie od wszystkich znanych z historii szlaków komunikacyjnych - od wyspy do wyspy, przez ląd i przez morze.”

Mój znajomy archeolog - ten z „wyjaśnieniami naturalnymi”

- stwierdził, że wikingowie przeciągali sznury z miejscowości do miejscowości. Ach, święty Odynie, święty Wotanie, och, święty Thorze mój, ty zawsze przy mnie stój! Zwykle wpadam w osłupienie w kontakcie z zakutą pałą. Czy to jeszcze nauka? Nie widzieć niczego, co można udowodnić jasno i wyraźnie? Linie biegnącą po powierzchni kuli nazywa się kołem wielkim. Jest to określenie najkrótszej drogi między dwoma punktami leżącymi na powierzchni krzywej. Właśnie to mamy przed sobą. Sprzeczny? Przed ponad 2500 laty jeden z bogów drwił z Ezechiela, że mieszka „pośród domu przekory, który ma oczy, aby widzieć, a jednak nie widzi, ma uszy, aby słyszeć, a jednak nie słyszy, gdyż to dom przekory” [Ez. 12,2].

Demonstracja tego, co niemożliwe

Przedłużenie linii lotu Hanssona biegnie wprost do Delf, antycznej wyroczni

Apollina. Do myślenia musi dać również fakt, że wszystkie miejsca kultu w Grecji, których początki sięgają w prehistorię, leżą w takiej samej odległości od siebie. Twierdzenie nie do obrony?

Proszę wziąć mapę Grecji i miarkę z zaznaczonym złotym podziałem, zwanym też złotym cięciem. Oto kilka słów dla odświeżenia pamięci:

„Jeśli odcinek AB podzieli się tak, że stosunek całego odcinka do jego większej części będzie taki sam, jak większej do mniejszej, to będziemy mieli do czynienia ze złotym podziałem odcinka AB. Jeśli teraz przedłużymy odcinek pierwotny o większą część wynikającą z podziału, to w miejscu, gdzie kończył się odcinek pierwotny, na nowym odcinku dokona się złotego podziału. Proces ten można kontynuować dowolnie długo.” (Edwald Grether, Theorieheft Planimetrie, cz.2.) Oto przykłady z Grecji:

- odległość DelfyEpidauros odpowiada większej części (62%) złotego podziału odcinka łączącego Epidauros z Delos;
- odległość OlimpiaChalkis odpowiada większej części (62%) złotego podziału odcinka łączącego Olimpię z Delos;
- odległość DelfyTeby odpowiada większej części (62%) złotego podziału odcinka łączącego Delfy z Atenami;
- odległość SpartaOlimpia odpowiada większej części (62%) złotego podziału odcinka łączącego Spartę z Atenami;
- odległość EpidaurosSparta odpowiada większej części (62%) złotego podziału odcinka łączącego Epidauros z Olimpią;- odległość DelosEleusis odpowiada większej części (62%) złotego podziału odcinka łączącego Delos z Delfami;
- odległość KnossosDelos odpowiada większej części (62%) złotego podziału odcinka łączącego Knossos z Chalkis;- odległość DelfyDodoni odpowiada większej części (62%) złotego podziału odcinka łączącego Delfy z Atenami;
- odległość DelfyOlimpia odpowiada większej części (62%) złotego

podziału odcinka łączącego Olimpię z Chalkis. Ktoś, kto przy takim nagromadzeniu tak dokładnych danych nadal będzie mówił o geometrycznych kaprysach albo dowolnie wybranych punktach, nie wyrwie się z niewoli schematu. Fakt geometrycznego rozmieszczenia budowli też nie jest "cudem", bo starożytna Grecja wydała jednego z największych matematyków wszechczasów - Euklidesa. Euklides wykładał pod koniec IV w. prz. Chr. na uniwersytecie w Aleksandrii. W swoich pracach zajmował się całym spektrum matematyki i geometrii. Euklides był współczesnym Platona, który słuchał jego wykładów. Platon był nie tylko filozofem, lecz również politykiem. Bliska jest więc myśl, że miał coś do powiedzenia w sprawie rozdziału zleceń, a na podstawie wiedzy otrzymanej od Euklidesa powstał geometryczny system miejsc kultu.

Ta wygodna argumentacja, deska ratunku dla zapóźnionych, jest bezwartościowa dlatego, że wszystkie wymienione tu miejsca kultu istniały na długo przed pojawieniem się Euklidesa. Nawet z perspektywy "starożytnej Grecji" ich powstanie nastąpiło w prehistorii. Prawdopodobnie Euklides ze swej strony szerzył wiedzę prawną, zaczerpniętą z nieznanych źródeł, Platon bowiem - jego słuchacz

- wymienia w rozdziale VII i VIII Timajosa całe sekwencje związków geometrycznych. Wiedział, o jak wielkie i przerastające Grecję wymiary chodziło, przestrzegał zatem, żeby nie pozwalać nieukom rozprawiać o geometrii, która jest wiedzą istoty wiecznej.

Doradca Apollo

Jak pamiętamy, trasa lotu Hanssona przebiegała nad "grodami wikingów", niby nanizanymi na sznur perłami, kierując się ku Delfom. Tam była siedziba słynnej "wyroczni". W jaki sposób dana miejscowość stała się siedzibą wyroczni? O czym "wyrokowano" w Delfach? Dlaczego właśnie ten punkt na mapie zyskał w prehistorycznych czasach światową sławę?

Nawet w klasycznej Grecji nadal uważano Delfy za środek świata.

Jako widoczna tego oznaka stał tam omphalos, „pępek świata”

- cudowny blok marmuru opatrzony rzeźbami i zwieńczony dwoma złotymi orłami. Orły te uważano za posłańców ojca bogów, Zeusa. Całe Delfy jednak poświęcono Apollinowi, który, poza tym że był synem Zeusa, był również bogiem słońca i „przepowiedni”. Apollo urzędował też jako uzdrowiciel, a heros i bóg sztuki lekarskiej Asklepios to jeden z jego najznamienitszych synów.

Apollo był jednym z najpotężniejszych bogów Olimpu, nie bał się nikogo poza swoim ojcem, Zeusem. Często wspierał w bitwach

Trojan i z powietrza strzegł podróźnych. Najbardziej znanym przydomkiem tej zadziwiającej postaci jest „Lykeios” - bóg światła. Zadziwiające w przypadku Apollina jest, że nawet Grecy nie wiedzieli, skąd pochodzi. Do dziś akademicy badacze mitów dyskutują, czy przybył z północy czy ze wschodu. Bezsporne jest tylko, iż Apollo co roku zniknął na parę tygodni lub miesięcy u tajemniczego ludu, Hiperborejów, „mieszkających poza Boreaszem, czyli północnym wiatrem”.

Nieźle są te dane biograficzne, nawet jeśli ich źródłem są mity. Apollo jest synem „istoty niebiańskiej”, bogiem światła, uzdrowicielem ciała i duszy. Przyjaciołom pomaga wygrywać bitwy, ochrania szlaki komunikacyjne, ale co roku znika u ludu „poza północnym wiatrem”. Stałą siedzibę ma w Delfach. Wszystko jasne?

Oto moja propozycja:

Ze względu na odległości ET zakłada swoją bazę w punkcie x. Zalęknieni ludzie zbliżają się do jego siedziby, Apollo leczy chorych, doradza w najistotniejszych sprawach. Nawiązuje kontakty z Ziemianami. Do punktu x napływa coraz więcej ludzi, szukających rady i pomocy medycznej. W ten sposób miejscowość wyrasta w ludzkiej świadomości na „środek świata”. Punkt x staje się Delfami, bo tu ludzie otrzymują „boską radę”. Tak rodzi się wyrocznia.

Ze zdziwieniem patrzą zdumione ludziki, jak bóg Apollo, „błyszczący”,

znika w niebie. Zaczofane technicznie istoty widzą w nim oczywiście ucieleśnienie światła. Tak rodzi się bóg słońca.

Dokąd leci, pytają. Pewnego razu bóg mówi jednemu z kapłanów, że do ludzi, którzy utrzymują w porządku jego bazę. Leci do ludu "poza północnym wiatrem". Ten Apollo to wybredniś, łaskawym okiem patrzy na piękno ludzkiego ciała - płci obojga. Bo lubi również mężczyzn, a kiedy coś idzie im nie tak, wyprowadza ich z biedy swoją nieziemską bronią. To zrozumiałe, że taką postać wynosi się w ludzkich wierzeniach do godności boga wszechstronnego.

Apollo myślał praktycznie. Chciał mieć możliwość szybkiego przemieszczania się z bazy głównej do najważniejszych miejsc na

Ziemi. Miał wiele pracy: tworzono szkoły, uczono ludzi, wykładano sztukę lekarską oraz kształcono nauczycieli wszystkich dziedzin.

Do tych wojaży nie używał statku kosmicznego - może nim nie dysponował, może Zeus podróżował nim właśnie po Systemie Słonecznym. Apollo korzystał więc z latających maszyn innego rodzaju, może sterowców na ogrzane powietrze albo pionowzlotów. Potrzebne mu więc były "stacje paliwowe" w określonych punktach naszego globu - nieważne czy jako paliwo i medium stosowano olej i wodę czy inne źródła energii, np. elektryczność czy mikrofalę.

Powstała sieć "okrągłych obwałowań" - wszędzie znajdował się wyszkolony personel naziemny. Tak narodził się kapłan - sługa boga. Jak precyzyjnie wytyczył Apollo swoje stacje pośrednie, świadczy kilka przykładów:

Delfy leżą w takiej samej odległości od Akropolu i od Olimpii.

Akropol, Delfy i Olimpia tworzą trójkąt równoramienny. Na przyprostokątnej Delfy znajduje się też Nemea. Z tego miejsca można też wyznaczyć trójkąty: NemeaDelfyOlimpia i AkropolDelfyNemea. Trójkąty te mają takie same przeciwprostokątne - ich stosunek do wspólnego odcinka DelfyNemea wynika ze złotego podziału.

Linia poprowadzona przez Delfy, a prostopadła do odcinka DelfyOlimpia,

przecina Dodonę, siedzibę prastarej wyroczni Zeusa. To z kolei pozwala na utworzenie trójkąta prostokątnego DelfyOlimpiaDodona, przy czym odcinek DodonaOlimpia jest przeciwprostokątną. Stosunek przyprostokątnych tego trójkąta także wynika ze złotego podziału.

Odległość DelfyDodona równa się większej części (62%) złotego podziału odcinka DodonaAteny i DodonaSparta

- itd., itp. To logiczne, że wynikają stąd również okręgi o tych samych środkach. Oto przykłady, które można sprawdzić biorąc mapę Grecji i cyrkiel:

Środek okręgu - Knossos: na okręgu leżą Sparta i Epidauros. Środek okręgu - Taros: na okręgu leżą Knossos i Chalkis. Środek okręgu - Delos: na okręgu leżą Teby i Izmir.

Także tę zabawę można kontynuować w nieskończoność. Opisują to książki [80,81], których prawie nikt nie zna. Odkrywcą tych kuriozalnych powiązań geometrycznych jest brygadier greckiego lotnictwa wojskowego dr Theophanis M. Manias, którego - podobnie jak Hanssona - zaskoczył w trakcie lotów widok odcinków tej samej długości i prostych "korytarzy powietrznych". W Niemczech fenomenem równych odcinków zajął się prof. dr Fritz Rogowski, który uważa, iż starożytni Grecy stale dodawali do struktury niewielkie odcinki i że w ten sposób powstała ogromna sieć. Oto "wyjaśnienie naturalne", bo rozwiązania nietypowe naukowcy mają za nic.

Wariant małych odcinków nie rozwiązuje niestety dużych problemów. System geometryczny bowiem nie ogranicza się do Grecji, włączone są też także określone miejsca kultu na Cyprze, w Libanie, w Egipcie i - co już wykazano - w Danii. Poza tym, jak już mówiłem, miejsca kultu powstały przed Euklidesem. Myślenie kategoriami małych odcinków prowadzi w ślepy zaułek.

Dziwne jest też, że Platon w Timajosie (rozdz. 7 i 8) utrzymuje stanowczo, że w przypadku powiązań geometrycznych chodzi o przekaz liczący wiele tysięcy lat. Jeśli mądry Platon około 400 r. prz.Chr. mówił o minionych tysiącach, to chodziło mu chyba o epokę bogów - i nieważne, czy nazywali

się oni Apollo, Wotan czy Pan Ktoś.

Wspomnienia z przyszłości

Linia prosta prowadząca z Danii do Delf biegnie dalej przez Egipt do Etiopii, kiedyś kraju królowej Saby. Dama ta była ukochaną króla Salomona, ten zaś z kolei - alleluja! - zaliczał się do najpracowitszych lotników swej epoki - niezależnie od tego, kiedy to było, bo mity nie dają się datować. W stare treści wplataną wciąż nowe imiona. Historię podróży powietrznych Salomona opisałem w jednej z moich poprzednich książek, *Wszyscy jesteście dziećmi bogów*, tu chciałbym tylko przypomnieć, że król ten podarował swojej ukochanej UFO - dosłownie - nieznaną obiektem latającym:

„I [...] dał jej wszystkie, jakie można było zapragnąć, wspaniałości i bogactwa [...] i jeden pojazd, który jedzie po wodzie, i jeden pojazd, który pędzi w powietrzu, a które zbudował dzięki mądrości, jaką Bóg go obdarzył.”

Ten mityczny Salomon to zastanawiający facet. Jeżeli jeszcze raz zajrzemy do najstarszej legendy etiopskiej, do Kebrā Nagast, przeczytamy, że Salomon swoim powietrznym wozem przebywał w ciągu jednego dnia” bez głodu i bez pragnienia, bez potu i bez zmęczenia” drogę, na którą trzeba trzech miesięcy. Zrozumiałe jest, że tak wytrawny pilot musiał mieć dostęp do doskonałych map. Najznamienitszy geograf i encyklopedysta Arabii, Al-Mas’udi

(895-956), napisał w swoich Kronikach, że Salomon dysponował mapami” ukazującymi ciała niebieskie, gwiazdy i Ziemię wraz z kontynentami i morzami; kraje zamieszkane, ich roślinność i świat zwierzęcy oraz wiele innych zdumiewiających rzeczy”.

Prehistoryczne podróże powietrzne Salomona nie były żadnym kuriozum, ówcześni lotnicy bowiem pojawiali się na Ziemi od obszaru dzisiejszego Iranu po dalekie Indie, gdzie loty bogów i ich rodzin były sprawą codzienną.

Utrwalono je w staroindyjskich

Wedach i mitach.

Czego chcieć jeszcze? Źródła, jakimi dziś dysponujemy, są tajemnicze,

prawie nieuchwytnie - mityczne. Mimo to jednak w sumie przedstawiają obraz godny zaufania. Przynajmniej dla kogoś, kto myśli logicznie. Autorzy piszący tysiące lat temu o maszynach latających, a będący znacznie bliżej ówczesnych zdarzeń niż my, na pewno wykorzystywali pisane dokumenty, znajdujące się w siedzibach władców a zawarte w świętych księgach, które później zaginęły w trakcie kolejnych epok pełnych wojen. Jeszcze w średniowieczu filozof mnich Roger Bacon (ok.1214-1294) wykorzystywał informacje dziś już niedostępne. W piśmie pochodzącym z 1256 roku

Bacon przeczytał m.in.:

„Mogły też być wytwarzane latające aparaty (instrumenta volandi) [...] w bardzo dawnych czasach [...] wytwarzane, a pewnym jest, iż posiadano instrument do latania.”

Bacon nie był fantastą. Do 1257 roku zajmował katedrę w Oxfordzie, później wstąpił do zakonu franciszkanów. Jego pisma i książki charakteryzowały się taką przenikliwością i były tak niebezpieczne dla Kościoła, że papież Klemens IV zażądał odpisu jego dzieł. Ponieważ Bacon przedstawiał pradawne tajemnice, zrozumiałe było, że jego samego i jego ostatnie dzieło określono mianem "doctor mirabilis".

W dawnych księgach sintoistycznych często jest mowa o "unoszącym się moście nieba", z którego zstępują bogowie i wybrańcy rodzaju ludzkiego. Tajemniczy ów most jest elementem łączącym boski pojazd z "niebiańskim skalnym czółnem". Pojazd bogów płynie po przestworzu "jak statek po wodzie" - "niebiańskim skalnym czółnem" zaś latano w atmosferze. Niebiański bóg o nie dającym się wymówić imieniu Nigihayahi używał "unoszącego się mostu nieba" oraz "niebieskiego skalnego czółna, żeby dotrzeć do ludzi. Dziś byłoby tak samo: Z macierzystego statku kosmicznego przesiadano by się na orbicie do lądownika, mającego bazę na Ziemi.

Każdy etnograf wie, że istnieją setki podobnych przekazów. Ale nawet dziś, w epoce lotów kosmicznych, nie wyciąga się z tego żadnych wniosków. Z

przymrużeniem oka łączy się wprawdzie czasem miejscowe legendy z lokalnymi ruinami - co tym ostatnim nadaje posmak tajemniczości i ściąga turystów - o powiązaniach globalnych jednak nie może być mowy. Co archeologa w Danii obchodzą greckie Delfy? Co wspólnego ma Apollo z Salomonem? Co cesarz japoński ze statkami kosmicznymi? Co wspólnego ma krąg kamienny w Maroku ze swoim dubletem w Indiach? Co zorientowany astronomicznie grób korytarzowy w Kolumbii ze swoim bliźniakiem z Irlandii?

Brak badań motywów i brak odwagi łączenia rzeczy ze współczesną wiedzą. Intelkt narodził się na Ziemi nie dzięki naszemu mózgowi - istniał od prawieków. Nadal rozumujemy bardzo nieporadnie, nie mogąc oderwać oczu od czubka własnego nosa. Dopiero co się przebudziliśmy - z trudem próbujemy cokolwiek zrozumieć. Nie pojmujemy przy tym, jak wiele rzeczy na naszym globie wiąże się i zależy od siebie, i że niektóre mają powiązania z systemem jeszcze większym.

Również przeszłość jest powiązana beczasową taśmą z teraźniejszością i z przyszłością, Anioł Ziemia zaś ma bardzo wiele wspólnego z ludzkim losem oraz z tym, co było i co będzie. Istnieją logiczne mosty pozwalające zrozumieć rzeczy z pozoru niepojęte. Jednym z takich myślowych mostów jest idea o wpływie ET na rodzącą się ludzkość, drugim jungowskie "archetypy" (zawartość zbiorowej nieświadomości), trzecim zaś cała planeta Ziemia, która wcale nie jest bezduszną bryłą kosmicznej materii. Przeczowali to nasi przodkowie w epoce kamiennej i zgodnie z tym przeczuciem postępowali. Czy ktoś życzy sobie dowodów?

Dwa miliardy za horoskop?

Najnowszym i zapewne najbardziej wariackim wysokościowcem w Hongkongu jest liczący 70 pięter Bank of China. Ten wieżowiec o wierzchołku w kształcie piramidy zaprojektował jeden z najbardziej wziętych architektów - Ieoh Ming Pei. Ming Pei ma 75 lat i mieszka w USA. Jest nazywany często "Mister Universum", bo do nadzwyczajnych wspaniałości architektury

jego autorstwa zalicza się m.in. prestiżową Galerię Narodową w Waszyngtonie i Symphony

Center w Dallas. Mimo wszystko urodzony w Kantonie Ming Pei nie był do końca usatysfakcjonowany swoim wspaniałym budynkiem w Hongkongu - zapomniał uwzględnić w projekcie wytyczne starej, chińskiej wiedzy fengszuei. Od razu dały się słyszeć ostrzegawcze głosy, wśród których wybijał się głos innego architekta - Sung SiuKwonga, również wykształconego w USA.

SiuKwong zna i przy projektowaniu bierze sobie do serca zasady fengszuei, „podstawowego elementu chińskiej filozofii przyrody”. Właściciele parceli przyległych do drapacza chmur obawiali się najgorszego. Mówiono o zawaleniu się wieżowca, o chorobach, o nieszczęściu, jakie może dotknąć pracowników banku, a nawet o upadku ogromnej instytucji finansowej.

W sąsiednim budynku działa konkurencja - Hongkong Bank.

Ten wzniesiony w 1986 roku budynek kosztował okrągłe dwa miliardy marek i jest powszechnie uważany za „cudowny”, „zapierający dech w piersi”, za „ogromną katedrę”, za „wspaniałego macho”, a 3500 pracujących tu osób jest zawsze w „pogodnym nastroju”.

Jak wyjaśnić tak rażące różnice w ocenie dwóch gigantycznych banków stojących tuż obok siebie?

Sprawiła to wiara w fengszuei. Zanim brytyjski architekt Norman Foster zamienił swój fenomenalny projekt Hongkong Banku w rzeczywistość, do pomocy ściągnięto czcigodnego Ku PakLinga.

Ten wyliczył właściwe ukierunkowanie (na północny zachód) i wysokość (15 m) hallu wejściowego, określił kąt pod jakim ma stanąć wspaniała budowla oraz „radził zrobić ślepą ścianę od frontu, żeby nie wchodziły i nie wychodziły tamtędy złe duchy”. Złe duchy i nowoczesna budowla za dwa miliardy marek - to brzmi raczej anachronicznie, jak kiepski dowcip. Od kiedy to zachodni architekci i finansiści wierzą w różne hokuspokusy? A w ogóle co to jest to fengszuei?

Tajemnicze fengszuei

Biali ludzie zadają to pytanie stale, od kiedy nawiązali kontakty z Chinami. Czym jest fengszuein Sinolodzy przewertowali dzieła chińskich klasyków, przeszukali chińskie słowniki, ale nie znaleźli odpowiedzi. Biali handlowcy wypytywali swoich chińskich partnerów handlowych i służących: Co to jest fengszuein

Odpowiedzi były bałamutne i wymijające: Fengszuei to klątwa. Fengszuei to wiatr, którego nie można zamknąć, coś nieuchwytnego jak woda. Fengszuei to żyły smoka. Fengszuei”jest sztuką takiego rozmieszczania domostw istot żywych i umarłych, żeby harmonizowały z lokalnymi prądami kosmicznego oddechu”. Wiemy już, czym jest fengszuein. Jasne że nie!

Fengszuei”wyraża siłę płynących elementów naturalnego otoczenia, a siłę tę stanowi i wyprowadza z siebie rzeka energii, która płynie nie tylko po powierzchni [...], lecz również we wnętrzu ziemi.”

Nie ja napisałem to przydługie zdanie. Ale wciąż nie wiemy, co to jest fengszuei. Fengszuei to strumienie w skorupie ziemskiej i w powietrzu. Fengszuei jest jak”złoty łańcuch życia duchowego, przechodzącego przez każdą istotę żywą i martwą”. Fengszuei jest oboma zasadami energii Ziemi i Kosmosu. Jest oddechem, który stwarza całe Universum.

Dawni Chińczycy zrozumieli - albo nauczył ich tego pan Ktoś - że wszelkie prawa natury i każde działanie form żywych pozostaje w harmonii zgodnej z określonymi matematycznymi zasadami

Universum. Uczone osoby potrafią te zasady rozumnie dostosować do Universum i przedstawić w liczbowych diagramach. Istnieją trzy podstawowe zasady: oddech natury - zwany hi, porządek natury

- zwany li i matematyczne proporcje natury - zwane so.”Te trzy zasady nie są bezpośrednio pojmowane zmysłami. Innymi słowy, fenomeny natury, jej zewnętrzne formy, tworzą czwartą gałąź systemu nauki przyrodniczej, zwaną jing albo formy natury.” [91) Tylko co w tej dżungli pozostało

po|engszuei?

Fengszuei jest dawną chińską nauką czterech zasad, którymi są: hi - oddech natury; li - porządek natury; so - wiedza liczbowa; jing - ich formy pojawiania się.

Hiliso jing. Brrr!

Ernest J. Eitel, który jako pierwszy studiował fengszuei i w 1873 roku opublikował w Hongkongu na ten temat książkę, pisał: "Wszystko, co istnieje na Ziemi, jest wyłącznie przelotną formą objawiania się jakiejś działalności niebieskiej. Wszystko, co ziemskie, ma swój prototyp, swoją właściwą przyczynę w przemożnej działalności w niebie [...] Rozgwieżdżone niebo jest dla wykształconego Chińczyka niczym cudowna księga, w której tajemnymi literami, czytelnie tylko dla wtajemniczonych, spisano prawa natury, losy narodów, szczęście i nieszczęście każdej osoby.

Nadrzędnym celem adepta fengszuei jest złamanie pieczęci tej apokaliptycznej księgi."

Czy fengszuei to horoskop? Nie, fengszuei jest czymś znacznie obszerniejszym. To wiedza - nie zgadywanie - o powiązaniach ziemskich i ponadziemskich. Zaczyna się od informacji, że w Ziemi płyną dwa różne strumienie magnetyczne, które dla łatwiejszego zrozumienia można określić jako "męski" i "żeński". Z takim samym powodzeniem można by zastosować pojęcia "pozytywny" i "negatywny".

Dawni Chińczycy określają metaforycznie jeden strumień jako błękitnego smoka, drugi - jako białego tygrysa. Błękitny smok znajduje się zawsze z prawej strony od miejsca przebywania, biały tygrys z lewej. Znalazłszy się w danej okolicy specjalista od razu widzi smoka i tygrysa, oba są niczym zmaterializowana energia. Najlepsze miejsce - czy to na świątynię, czy na kamienny krąg, czy na

Hongkong Bank - będzie tam, gdzie strumienie te (pozytywny i negatywny) się krzyżują.

Co się za tym kryje?

Nikt nie zaprzeczy, że Ziemia składa się z kosmicznego pyłu, który przed miliardami lat rozprzestrzenił się we Wszechświecie, zagęszczał - aż w końcu skupił w bryłę. Ze wzrostem gęstości zwiększało się ciśnienie wewnętrzne i temperatura. Nagromadzenie się pyłu i gazu wywołało promieniowanie młodego ciała niebieskiego.

Coraz większa masa powodowała coraz większą gęstość, w jądrze

Ziemi ciśnienie mogło dochodzić do około 3 mld atmosfer. Atomy żelaza zbiły się w materię tak gęstą, że geofizycy nie określają jej już jako "płynna": dla tego stanu stosuje się pojęcie "sztywny gaz"

- czymkolwiek to było. Jądro otoczył rozgrzany do czerwoności płaszcz Ziemi, kryjący, jak się przypuszcza, ciężkie krzemiany magnezu i żelaza. Nauka nazwała tę mieszankę oliwinami. Nad płaszczem znajduje się cienka i krucha skorupa - litosfera - na której żyjemy my, ludzie.

Oczywiście skorupa ziemska składa się z różnych warstw - w naj większym uproszczeniu z bazaltu, czarnej skały wulkanicznej, i z granitu w stu wariantach mineralnych.

Ta struktura nie jest przypadkowa. Na przykład granit nie może znajdować się w samym wnętrzu Ziemi, bo rozpadłby się na pierwiastki i zamienił w ciecz jak kawałek metalu w wielkim piecu. Żelazo jest cięższe od oliwinów, te z kolei cięższe od bazaltu, bazalt wreszcie cięższy od granitu - substancje lżejsze "pływają" nad cięższymi. Kiedy Ziemia była jeszcze rozżarzoną kulą, pierwiastki cięższe kierowały się ku jądru, lżejsze pływały na powierzchni - jak szlaka na powierzchni płynnego żelaza..

Nikt nie wie, czy to piekło pierwiastków trwało setki czy miliony lat, w każdym razie z substancji mineralnych i z gazów wytwarzały się niewyobrażalne ilości kwasu węglowego i pary wodnej, które wystrzelały ogromnymi fontannami w górę, następnie opadały, znów się "gotowały" i znów wystrzelały w górę. Na skutek ochłodzenia mniejsze bryły kamienia zaczęły

zastygać, lecz potem uległy jeszcze raz stopieniu - następnie zastygły znowu. W końcu pierwsze bloki granitu zaczęły dryfować jak góry lodowe po wrzącym oceanie, następowała stopniowa krystalizacja minerałów, praskiły robiły się coraz większe, aż połączyły się w wyspy i kontynenty.

Ten krótki, bardzo fragmentaryczny film z historii Ziemi miał nam ukazać, że kiedyś wszystko znajdowało się w ruchu. Krzepnięcie powierzchni nie następowało na skutek przypadku, lecz zgodnie z prawami fizyki. W szczeliny między zakrzepłymi bryłami i grudami wciskały się pasma minerałów, jak ścięgna i nerwy żywej istoty - jak "żyły smoka".

Jak zachowuje się w silnym polu magnetycznym płynne żelazo? Zmienia kierunek ruchu. Nie inaczej było w przypadku młodej Ziemi. Planeta nigdy nie była izolowana w przestrzeni kosmicznej. Tuż obok było Słońce, inne planety - dalej niezliczone większe i mniejsze gwiazdy, co wiązało się z ich wzajemnymi oddziaływaniami. Określone gwiazdozbiory wzmacniały lub osłabiały kierunkowość "żył smoka", wpływały na szybkość i natężenie przepływu wrzącego metalu. Wpływami objęta była też kierunkowość zastygających łańcuchów cząsteczek i minerałów. Skały są kośćmi Ziemi. Nawet po zastygnięciu "żył" i skał siły kosmiczne działały jeszcze przez długi czas - włączając i wyłączając dopływ energii. Na przykład drut miedziany jest "martwy", dopóki nie doprowadzi się doń prądu elektrycznego - potem przez drut "coś" płynie - choć sam drut ani piśnie.

Antena to przedmiot nieruchomy i sztywny. Jest "martwa", nie podejrzewamy, że coś się za nią kryje. Dzikus, który pierwszy raz w życiu widzi antenę czaszową albo prętową, nie spodziewa się, że może być "czuła". Jest to dla niego tylko dziwny przedmiot - nic więcej. Dla fachowca natomiast antena jest "istotą" nadzwyczaj czułą; odbierającą lub wysyłającą tysiące sygnałów. Antena czaszowa odbiera z satelity niezwykle ostre obrazy w kolorze, odbiera koncert fortepianowy Fryderyka Chopina, każdy instrument Berlińskich Filharmoników z osobna i koncert rockowy - a do tego głos spikera. Wszystko

na raz. I proszę to dzikusowi wytłumaczyć!

Uczeń i mistrz

Nas można przyrównać do "dzikusa", który widząc "Antenę

Ziemia" nic nie rozumie. Z pychą powtarzamy bezmyślnie: Wierzę tylko w to, co widzę. Może moje przykłady pomogą zrozumieć, jak skomplikowane jest fengszuei dla "europejskiego dzikusa". Dla mistrza fengszuei jest również oczywiste jak dla inżyniera elektronika działanie anteny. I tak jak inżynier potrzebuje narzędzi, przyrządów pomiarowych i wzmacniaczy, żeby uchwycić głos anteny, tak nauczyciel fengszuei stosuje przyrząd zwany $lo P < an$, żeby namierzyć prądy płynące w żyłach smoka i tygrysa. Spec od telewizorów nie tylko wie, że antena jest przystosowana do odbioru tylu to a tylu programów, zna również dokładnie częstotliwości poszczególnych kanałów, a w przypadku anten satelitarnych - pozycję danego satelity na niebie. Ta wiedza jest utrwalona cyframi.

Podobnie mistrz fengszuei, który nie tylko wie, jak funkcjonują wszystkie ciała niebieskie, lecz również zna ich wzajemne stosunki oraz stosunek do Ziemi, przy czym porządek matematyczny stale się powtarza, podobnie jak orbity ciał niebieskich. W dawnych Chinach utrwalano te dane w skomplikowanych diagramach, zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych. Istnieje osiem diagramów głównych i osiem punktów kompasowych, wiążących się z ośmioma porami roku, tak zwanymi ośmioma "zwierzętami porównawczymi", i wieloma elementami kosmologicznymi.

Diagramy są okrągłe i zorientowane według kompasu, którego igła jednak wskazuje na południe. Drewniana płytką z diagramami jest z jednej strony lekko wypukła, z drugiej płaska. Wokół kompasu są ułożone w coraz większych okręgach diagramy - czerwone i czarne. Jedne pierścienie pozwalają wysledzić "żyły smoka", inne odczytać wpływ sił kosmicznych na określone punkty geograficzne - jeszcze inne określają negatywne prądy w terenie. Są proste płytki $lo P < an$ z siedmioma okręgami i płytki mistrzów, na których

liczba pierścieni dochodzi do 38.

Skąd pochodzą te wszystkie zadziwiające dane? Dawni Chińczycy powiadali, że za czasów cesarza Fuk Hisei z wód rzeki Mengho”wynurzył się potwór o ciele konia i głowie smoka”. Mówiące monstrum niosło na grzbiecie wielkie diagramy nieba i ziemi. Może byłaby to kolejna głupia legenda, gdyby nie przywiodła mi na myśl babilońskiego mitu o Oannesie. Mitu spisane go ok. 350 r. prz.Chr. przez Berossosa, kapłana boga Marduka, który powołuje się na źródła znacznie starsze. Z trzypięciotomowego dzieła historycznego Berossosa, Babylonika, zachowało się do dziś kilka niewielkich fragmentów, lecz kiedy praca ta istniała w całości, starożytni autorzy cytowali ją obszernie. Co pisze Berossos?

„W roku pierwszym z Morza Erytrejskiego [dziś Morze Arabskie - przyp. E.v.D.] [...] wynurzyła się rozumna istota o imieniu Oannes. Istota przebywała z ludźmi cały dzień, nie przyjmując jednakże pokarmu, i przekazała im znajomość znaków pisarskich i nauk, i sztuk różnorodnych; uczyła, jak budować miasta i wznosić świątynie, jak ustanawiać prawa i mierzyć grunty, pokazała jak siew rzucać i jak zbierać plony [...]. Oannes miał [...] napisać księgę, którą przekazał ludziom.”

A tak na marginesie, to również wedle świętej księgi Persów, Awesty, z morza wynurzył się podobnie tajemniczy mistrz o imieniu

Yma i też przekazywał ludziom wiedzę.

Próbuje się nam wmówić, że ci wszyscy mityczni mistrzowie to

„duchy”. Duchy jednak nie dysponują”znajomością znaków pisarskich i nauk” - tym bardziej nie mogą uczyć, jak”mierzyć grunty”. Wcale mi nie przeszkadza, że ktoś uczył naszych przodków. Ludzie epoki kamiennej na pewno ani nie przeprowadzali głębokich wierceń, ani nie dokonywali pomiarów pola magnetycznego Ziemi. Nie analizowali też ani pozytywnych, ani negatywnych właściwości żył rud miedzi czy uranu, nie mówiąc już o właściwościach promieniowania kosmicznego. Lecz właśnie te informacje

zawiera fengszuei. Fengszuei to połączenie religii (czyli dawnej wiary) i nauki (sprawdzonej wiedzy).

Od czasów niebiańskiego cesarza Chińczycy nie wznoszą budynków byle gdzie, lecz w miejscu wyznaczonym za pomocą fengszuei.

Dziś mówi się "w harmonii z naturą". Ale najbardziej zdumiewające jest to, że nauka fengszuei przetrwała wszelkie wojny i zmiany religii. W końcu stosuje się ją dziś z taką samą powagą jak przed tysiącami lat. Pomyślmy o Hongkong Banku.

Napisałem, że nasi przodkowie z epoki kamiennej czuli, iż ziemia nie jest bezduszną bryłą kosmicznej materii, i działali zgodnie z tym odczuciem. Naprawdę! Trzeba dysponować prawdziwie wielką wiedzą i doświadczeniem, żeby umiejscawiać kamienne kręgi i groby korytarzowe w harmonijnych miejscach "żył smoka", wiedząc o możliwościach pojawienia się dysonansów i umiając ich unikać.

Powróćmy do mojego przykładu z anteną: w natłoku sygnałów istnieją naturalne i sztuczne źródła zakłóceń. Gdy ktoś chce mieć czysty odbiór, stara się ominąć zakłócenia. Ale trzeba je znać.

Poza tym - żeby już nie owijać w bawełnę - fengszuei jest stosowane nie tylko w Chinach, lecz na całym świecie! W Indiach podobny system nazywa się vastu vidya, w Burmie yattara, a na dalekim Madagaskarze vintana. Nie wiemy wprawdzie, jaką nazwę stosowali na określenie fengszuei Babilończycy, Egipcjanie, Grecy czy Europejczycy epoki kamiennej, nie wiemy, jakiej nazwy używały preinkaskie plemiona Ameryki Południowej, efekt jednak we wszystkich przypadkach był zawsze taki sam. Prawie żaden większy monument epoki kamiennej na kuli ziemskiej nie jest umiejscowiony byle gdzie - niczym przewrócone kamienie domina leżą na liniach prostych, na punktach przecięcia albo na wylotach ośrodków promieniowania. Nie trudno udowodnić to zuchwałe twierdzenie.

VI. Bajeczne czasy

Czyż wszyscy nie pochodzimy z przeszłości? Jean Paul (1763 -1825)

Był 30 czerwca 1921 roku. Alfred Watkins (1855-1935), biznesmen, pionier techniki fotograficznej, postać znana i powszechnie szanowana w angielskim miasteczku Herefordshire, studiował plik map okolicy. Wybierał najkrótszą drogę do kilku megalitycznych budowli, które chciał sfotografować. Znalezione na mapie miejsca oznaczył niewielkim okręgiem. Nagle ogarnęło go zdumienie: wszystkie miejsca leżały na jednej linii, do wszystkich mógł dojechać konno trzymając w ręku kompas. Tak też i zrobił. Miejsca kultu - oddzielone wprawdzie od siebie wzgórzami, strumieniami i grzbietami górskimi - były niczym ogniwa naprężonego łańcucha, jakby przed tysiącami lat ktoś przeciągnął tędy wymagowany sznur.

Zadziwiające jest, że linia ta biegła również przez kościoły chrześcijańskie i kaplice. Watkins szybko zrozumiał, że przybytki tej religii stanęły na "pogańskiej ziemi". W trakcie chrystianizacji Brytanii gorliwi mnisi niszczyli świadectwa dawnych wierzeń. A ponieważ ludzie byli przywiązani do świętych miejsc przodków, miejsca te oznaczano znakiem krzyża. Kto będzie twierdził, że budowli chrześcijańskich nie można włączyć w system linii, niech sobie przypomni nakaz papieski, dawany misjonarzom przed wyjazdem do Anglii. Miejsca pogańskiego kultu nie należy niszczyć, lecz poświęcać je Bogu chrześcijańskiemu. Powstawały więc tam kościoły, kaplice i katedry. W ten sposób Kościół mimo woli przyczynił się do utrwalenia sensacyjnych faktów z zamierzchłej historii. Alfred Watkins, zachwycony i zdumiony swoim odkryciem, nazwał linie "leys" i założył "Old Straight Track Club" (Klub

Starych Linii Prostych) - towarzystwo zajmujące się ich studiowaniem. Na początku myślał, że jego leylines były prehistorycznymi drogami, wytyczanymi przez dawnych mieszkańców wysp przy pomocy palików i linek. Lecz wkrótce musiał ten pogląd zrewidować. Watkins:

„Dzięki wizycie w Blackwardine zauważyłem na mapie linię prostą, która brała swój początek koło Croft Ambury [...] i biegła przez szczyty wzgórz, przez

Blackwardine, przez Risbury Camp i wyżynę Stretten Grandison [...] Namierzyłem je ze szczytu wzgórza [...] linie przebiegały wciąż przez te same obiekty.” Wkrótce zarzucił myśl o drogach, palikach i linkach, bo linie przebiegały przez pionowe zbocza, szczyty gór i bagna. Watkinsowi wpadły też w ręce pisma Williama Henry’ego Blacka (zm. 1872). Człowiek ów był historykiem w Public Record Office a zarazem członkiem Brytyjskiego Towarzystwa Archeologicznego. Już on zauważył zdumiewające linie i na konferencji w Hereford podniósł sprawę tego wszechobecnego systemu. Oto co powiedział wówczas Black zdumionym zebraniem:

„Monumenty, które znamy, oznaczają wielkie linie geometryczne, linie pokrywające całą Europę Zachodnią, Wyspy Brytyjskie i Irlandię, Hybrydy, Szkocję i Orkady, aż po krąg polarny [...] są w Indiach, w Chinach, we wszystkich krajach Wschodu, gdzie naśladują ten sam wzorzec.” Nie wiemy, skąd William Henry Black zaczerpnął te informacje, w każdym razie członków „Old Straight Track Club” ogarnęła prawdziwa gorączka. Odkrywano linie prowadzące we wszystkich możliwych kierunkach, często równoległe, niekiedy krzyżujące się pod kątem prostym - bardzo wiele z nich celowało w środek kamiennego kręgu Stonehenge. Członkowie klubu nanosili wszystko na mapy, które potem przekazywali sobie nawzajem. (Mapy te znajdują się dziś w Muzeum Herefordu.)

W 1925 r. Watkins opublikował książkę, w której drobiazgowo i niezwykle dokładnie z geograficznego punktu widzenia poddaje pod dyskusję całe systemy leylinów. Longdistancelines biegną nie tylko przez kamienne krggi, menhiry, sztucznie usypane prehistoryczne wzgórza i kościoły chrześcijańskie, lecz i przez ruiny zamków, prastare kamienie graniczne i skrzyżowania dróg z czasów przedrzymskich. Watkins wykazał, że tylko przez Stonehenge przebiega pięć krzyżujących się „długich linii”, których przedłużenia przecinają takie zagadkowe prehistoryczne miejsca jak wzgórze Old Sarum, katedrę w Salisbury, kamienny krąg Clearbury i Frankenbury Camp. Watkinsowi udało się też

wykazać na setkach przykładów, że nawet nazwy miejscowości, wzgórz i gór, przez które przebiega któraś z leylines, mają taki sam lub bardzo podobny źródłosłów.

Linie w terenie

Po śmierci Watkinsa członkowie klubu opublikowali jeszcze kilka prac, lecz wkrótce potem wybuchła druga wojna światowa, zainteresowanie liniami opadło, część członków umarła, a pasjonujące odkrycie utonęło w szufladach i kufrach wdów, które nie wiedziały, co z nim począć. Dopiero na początku lat sześćdziesiątych zainteresowanie kuriozalnymi liniami odżyło. Hobbyści wszelkiej maści kojarzyli grube linie z najdziwniejszymi rzeczami, z czego wynikały - logiczne! - nieskończone kombinacje sieci i przecięć. Całą

Brytanię pokrywała teraz jedna ogromna sieć. Poważna nauka odwróciła się z niesmakiem. Jak kto chce, u diabła, to może sobie łączyć liniami jakieś znaki, kupki kamieni, kaplice i zamki. Tylko czemu ma służyć ta piramidalna bzdura?

Najbardziej upartych badaczy nie zraziła jednak szydercza, a częs to i przesadzona krytyka. Ściągnięto geodetów i specjalistów w dziedzinie prehistoru. Chciano ustalić, które punkty na danej linii pochodzą z epoki kamiennej. Matematyk dr Michael Behrend z Uniwersytetu Cambridge stworzył wzór ukazujący prawdopodobieństwo lub nieprawdopodobieństwo celowego "dotykania" przez linie punktów w terenie. Niektóre z linii wyeliminowano - pozostały właściwe.

Geodeci zwrócili uwagę, że linia na mapie, uwarunkowana krzywizną kuli ziemskiej, nie jest tożsama z linią w terenie. Dotyczyło to jednak tylko linii dłuższych niż 50 km, poza tym nowoczesne mapy uwzględniają już kształt ziemi.

Każdy może się o tym przekonać - biorąc do ręki mapę lub udając się w teren. Weźmy mapę okolic Salisbury - idealna byłaby mapa w skali 1:5 000, ale wystarczy 1:25 000. Na mapach w mniejszej skali nie uwidoczniono wielu szczegółów. Od Stonehenge, leżącego na północny zachód od Salisbury, można

przeciągnąć linię prostą przez pochodzące z epoki kamiennej wzgórze Old Sarum. Jej przedłużenie dotyka salisburskiej katedry, potem kręgu Clearbury i Frankenburg Camp. Są to miejsca prehistoryczne - również katedrę wzniesiono na miejscu pogańskiego kultu. Stańmy na szczycie Old Sarum i spójrzmy na północ i południe. Kompas potwierdzi położenie linii.

Ze wzgórza widać wszystkie punkty. Linie zgadzają się i w terenie, i na mapie. Sprawdzalem.

Dziennikarz Paul Devereux, specjalizujący się w problematyce archeologicznej, i matematyk Robert Forrest, którzy wypowiadali się krytycznie na temat leylines, tak zakończyli artykuł zamieszczony w naukowym czasopiśmie "New Scientist":

„Być może jest to taka współczesna niechęć do przyznania, że społeczeństwa prehistoryczne rozwijały kiedyś takie rodzaje działalności, których dziś nie rozumiemy. Dotyczy to również uporczywego milczenia archeologii na temat linii w peruwiańskich Andach i równie tępy opór przed dokładnym zbadaniem w Anglii teorii leylines.”

Oczywiście Paul Devereux i Robert Forrest wykazali w swojej pracy istnienie kilku bezsensownych linii - inne zaś potwierdzili. Można by sądzić, że takie artykuły przyczynią się do wyjaśnienia naprawdę pasjonujących faktów, że poruszą świat nauki. Błąd! Klasyczna archeologia okopuje się, chowając głowę w piasek. Rzeczy z założenia niemożliwych nie przyjmuje się do wiadomości nawet wtedy, gdy się je poda na tacy. Gdzież podziało się tak wychwalane myślenie naukowe? Gdzież pęd do wiedzy? Gdzież radość z dochodzenia do prawdy?

Istnienie leylines to niezaprzeczalny fakt, nawet jeżeli będziemy sobie rwać włosy z głowy z krzykiem: Jak to możliwe? Skąd ludzie epoki kamiennej zdobyli umiejętność wyznaczania miejsc świętych dokładnie na liniach prostych? Jakie instrumenty pomiarowe mieli do dyspozycji? Kto je wskazał i nakazał? A przede wszystkim: Po co to wszystko? Czy linie wytyczył ktoś, kto

potem wzniosł na przykładzie Stonehenge, czy Stonehenge już istniało, a linie poprowadzono potem?

Z obu wariantów wynikają nieprawdopodobne konsekwencje.

Jeśli Stonehenge było najpierw, to kolejne pokolenia musiałyby się stosować przez tysiąclecia do sieci linii, której nigdzie nie narysowano. Bo nie było wtedy ani map, ani atlasów - nie wynaleziono nawet jeszcze pisma. Megalithy epoki kamiennej powstawały zapewne w różnych okresach. A jeżeli najpierw ustalono położenie sieci linii, w którą dopiero potem wpleciono Stonehenge? Któż ustalił położenie tej sieci przed rozpoczęciem pierwszego etapu prac w Stonehenge, a więc przed co najmniej 4800 laty? Nieprawdopodobne.

Może dla brytyjskiej sieci uda się znaleźć choć deseczkę ratunku, mimo że nie wyobrażam sobie, co mogłoby tu grać rolę wymówki.

Tylko na cóż wykręty, skoro całą Europę (Niemcy, Szwajcaria), całą Amerykę Południową (Peru, Boliwia) pokrywa ten sam raster?

Czyżby Anioł Ziemia, zanim się przeziębził (przepraszam! zanim ostygła skorupa Ziemi), oplótł swoje ciało "siecią antenową"? Czy na ludzi związanych z naturą wpływały "żyły smoka"? Czy wyczuwali instynktownie, które miejsca lepiej nadają się na siedliska i miejsca święte - są zdrowsze i mniej "zakłócone" od innych? Czy kiedyś ludzie mieli taki rodzaj świadomości, jakiego nam dziś brakuje? Czy nasi najdawniejsi przodkowie dysponowali nieznanymi nam, bardzo czułymi zmysłami, które w trakcie ustawicznych wojen i nie kończących się sporów religijnych i politycznych uległy zanikowi?

Możliwe. Nikogo z nas nie było przy tym, gdy Anioł Ziemia rozmieszczał swoje włókna nerwowe na kuli ziemskiej - to wszystko jednak nie wyjaśnia problemu linii prostych. Żyły rud miedzi, ołowiu, złota i innych bogactw naturalnych nie przebiegają przecież prosto. Powstanie tej sieci musiały spowodować jakieś inne siły. Jakie? Pole elektrostatyczne? Magnetyzm? Podczerwień? Ultradźwięki? Niewielkie różnice temperatur? Mikrofały? Promieniowanie kosmiczne?

A może praludzie mieli w głowie sensor (porównywalny do zmysłu orientacji gołębi pocztowych), zmuszający ich do osiedlania się wyłącznie na liniach prostych? Można rzucić na stół wszystkie warianty myślowe, a i tak to nic nie da, bo przecież przodkowie ludzi epoki megalitycznej, mieszkańcy jaskiń, wcale nie byli zwolennikami linearności.

To szczególne wyzwanie. Ze statystycznego i empirycznego punktu widzenia prehistoryczne linie są faktem - tyle że nie ma dla nich nawet choć w części zadowalającego wyjaśnienia. Oto słowa flzyka i filozofa Carla Friedricha von Weizsackera (ur.1912):”Fizyka nie wyjaśnia tajemnic przyrody, sprowadza je do tajemnic głębszych.”

Naziści i ”święta geografa”

Tajemnice drażnią badaczy, skłaniają ich do sprzeciwu. To trochę jak zagadka czy krzyżówka, które trzeba rozwiązać. Od kiedy człowiek myśli, jego mózg jest dręczony pytaniami, zmuszającymi do rozważań. W badaniach tajemniczych linii w Anglii szczególnie zasłużyli się John Michell i Nigel Pennick. Całkiem słusznie są uważani za najwybitniejsze autorytety w tej dziedzinie. Ich książki, na które archeolodzy nie zwracają najmniejszej uwagi, przetłumaczono na wiele języków.

Na obszarze języka niemieckiego do tej drażliwej tematyki zabierali się różni amatorzy - z których wyrosło paru specjalistów. Już w 1929 roku prof. dr R. Stuhl w czasopiśmie ”Der Teutoburger

Wald” wykazał zadziwiające związki nazw i miejscowości.

W tym samym roku wydano w Jenie książkę dr Wilhelma Teudta

Germaniskie świątynie. Rok później dr Herbert Röhring odkrył Świgte linie we Fryzji Wschodniej. W 1938 zjawił się dr Heinsch z Zasadami prehistorycznej geografii kultowej, a wreszcie, w latach siedemdziesiątych, wypłynął Richard Fester ze swoim naprawdę zdumiewającym i wspaniale udokumentowanym materiałem.

Takie były początki, początki bardzo trudne, bo przed drugą wojną światową

badacze musieli się związać z falą nacjonalizmu. Tematyka była upolityczniona i kontrolowana przez nazistów, powstały państwowe instytuty badające „świętą geografę”, bo dawnych Germanów przedstawiano jako lud krzewiący kulturę. Robiono specjalne mapy uwzględniające „święte linie”. Mapy te uznano nawet za materiały o znaczeniu militarnym. Podejrzewano, że punkty krzyżowania się linii charakteryzują się obecnością jakiejś szczególnej siły, która mogłaby się przyczynić do zwycięstwa nazistów i klęski ich wrogów.

Nic więc dziwnego, że niemieccy uczeni nie mieli najmniejszej ochoty pchać palców między drzwi. Trzecia Rzesza upadła 45 lat temu. W chwili, kiedy piszę te słowa, cały świat mówi o powtórnym zjednoczeniu Niemiec. Tymczasem niemiecka demokracja dawno już dojrzała i zalicza się chyba do najzdrowszych na świecie. Nadszedł czas wskazać i objąć badaniami, pozbawionymi polemik politycznych i demagogii, te naprawdę stare i prawdziwe leylines, które bezsprzecznie biegną także przez Niemcy (i Szwajcarię).

„Święta geografia”, niemiecka odmiana fengszuei, nazywa się tu geomancją. Leksykon Der Grosse Brockhaus z 1956 roku przy hasle „geomancja” odsyła do pojęcia „sztuka wróżenia z kropek”. „Sztuka wróżenia z kropek - sztuka przepowiadania przyszłości z punktów nanoszonych wedle określonego systemu w sposób przypadkowy na ziemi, piasku albo papierze. Sztukę wróżenia z kropek łączono w średniowieczu z wróżeniem z ziemi (geomancja), która do wróżenia wykorzystywała m.in. trzęsienia ziemi. Pochodzi ona ze Wschodu i jest spokrewniona z chińskim wróżeniem z krwawnika. Opisywano ją szczególnie na przełomie

XVII i XVIII w.”

To niewiele, a poza tym tylko połowa prawdy. Na przyszłość redaktor leksykonu powinien się poważniej zająć geomancją. Faktem jest, że „sztuka wróżenia z kropek” to średniowieczny zabobon, faktem są jednak również święte czy nieświęte linie w terenie.

Zabobon i fakty

Dr Herbert Röhring, który w 1930 r. swoją książkę o świętych liniach we Fryzji Wschodniej wydał pod auspicjami Państwowego Archiwum Aurich jako pracę „krajoznawczą”, napisał we wstępie:

„Zjawiska takie [linie - przyp. E.v.D.], o ile są pojedyncze, można przypisać na pewno szczególnemu przypadkowi. Każda bowiem dłuższa linia narysowana na mapie przechodzi przez różne punkty, w tym także przez jeden lub więcej takich, którym można przypisać znaczenie archeologiczne. Ale w którymś momencie kończy się wiara w przypadek albo w jego możliwość - kiedy te same zjawiska w naszym systemie linii północnych i wschodnich zaczynają się mnożyć, w innym zaś, dowolnie wybranym i zastosowanymw podobny sposób systemie występują rzadziej.”

Röhring był przekonany, że święte linie mogły powstać „tylko w czasach przedchrześcijańskich”, najpóźniej w epoce brązu - o ile nie wcześniej. Uznał też za rzecz zdumiewającą, że wiele linii przechodzi przez punkty historyczne, leżące z dala od miejscowości - znaczy to, że proste nie były drogami czy szlakami przemarszu armii. „Położenie dróg, ich oddalenie od siedlisk ludzkich świadczy, że chroniono się przed napływem mas ludzkich.”

Jak dochodzi się do wniosku, że celem miejsc kultu leżących na prostych była ochrona przed napływem mas ludzkich? Röhring:

„Gdyby te drogi powstały w czasach chrześcijańskich, to bez wątpienia poprowadzono by je przez miejscowości zamieszkane, bo chrześcijaństwo wymagało obecności ludzi na kazaniach i podczas modlitw. Pogaństwo natomiast zamykało się, działało na ludzi tajemniczym dreszczem, a miejsca pogańskich ceremonii były zawsze odosobnione.”

Mam zrozumienie dla „tajemniczych dreszczy” i „pogaństwa”.

Skąd prehistoryczne hordy miałyby wiedzieć, dlaczego niepojęci bogowie trzymali się swoich „świętych linii”? Jedna z takich linii wschódzachód zaczyna się na północ od miejscowości Larellt, na zachód od Emden, przechodzi przez

kościół w Emden, potem przez pogańskie wzgórza kultowe na południe od Simonswalde, przecina główne skrzyżowanie w miejscowości Grosse Timmel (skrzyżowanie dróg z czasów pogańskich), a wreszcie dochodzi do kościoła w Strackholt. Długość linii - prawie 50 km.

Linia równoległa do poprzedniej zaczyna się na placu przed kościołem w mieście Norden, przebiega przez plac przed kościołem w Westerholt, dochodzi do czczonego przez pogan Rabbelsbergu koło Dunum. Z liniami wschódzachód wiążą się linie północpołudnie. Jedna biegnie sprzed kościoła w Norden na plac przed kościołem w Emden, druga - jakże inaczej? - z Rabbelsbergu na plac przed kościołem w Strackholt. Wszystkie te cztery linie tworzą prostokąt.

W 1974 roku ukazała się książka Richarda Festera o geomancji, a w 1981 jej ciąg dalszy. Autor prezentuje w nich takie mapy z liniami północpołudnie i wschódzachód, że można dostać zawrotu głowy. Do tego - niczym nanizane na sznur perły - setki nazw miejscowości o wspólnym źródłosłowie. Linie przechodzą przez tysiące kościołów, kaplic, miejsc pogańskiego kultu, zamków i środków miejscowości. Cały obszar języka niemieckiego jest jedną wielką siecią! Kilka z tych leylinów przetestowałem na współczesnych mapach, stwierdzając bez cienia zawiści, że Fester zrobił naprawdę dobrą robotę.

Przykłady:

Na północnych krańcach Wiesbaden jest "pogańskie" wzgórze Neroberg. Wychodzi stąd linia, która kierując się na południowy wschód przecina centrum Wiesbaden, moguncką starówkę, katedry w Wormacji i w Spirze. Fester: "Czy można mówić o przypadku? Co najwyżej o tym, że budowniczowie tych strzelistych świadectw niemieckiego chrześcijaństwa nie przeczuwali sił, jakie na nich oddziaływały." Tak to już jest.

Jedna z linii wschódzachód zaczyna się na południe od Bazylei, koło Munchenstein, biegnie przez kanonię w Olsberg, przez okrągły wierzchołek wzniesienia Sonnenberg (630 m) ku miejscowości Stein, visavis Sackingen. Potem przez miejscowości Murg, Laufenburg, Stadenhausen sunie do Rafz,

zahaczając po drodze o zamki Huslihof i Stammheim. Odcinek przechodzi przez Kattenhofen po niemieckiej stronie Untersee, potem znów po szwajcarskiej przez Steckborn i biegnie do niemieckiego Meersburgu.”Nie pominięto ani zamku Ittendorf, ani anglikańskiej kaplicy koło Riedlingen, Bettenweiler i Eschbach”. Długość linii -150 km.

Zatkało mnie. Narysowałem linię na mapie w skali 1:400000 i zauważyłem, że wymienione miejscowości nie zawsze leżą dokładnie na niej. Zbity z tropu wziąłem dwie mapy w skali 1:50000 i - heureka! - wszystko się zgodziło. Poza tym Fester nie tylko wskazuje właściwe leylines, lecz również sprawdza źródłosłów nazw miejscowości, kościołów, zamków i zabytków z czasów pogańskich.

Nawet jeśli niektóre punkty wpadły”pod linię” za sprawą przy padku, to i tak na sznurze znalazło się za wiele pereł. Co sprawiło ten cud? Co wspólnego miały ze sobą przed tysiącami lat dzisiejsze: Akwizgran, Frankfurt, Wurzburg, Norymberga i Donaustauf? Nic?

To dlaczego leżą najednej linii? Ach tak, a dlaczego ta linia kończy się po około 300 km mało znaczącym z pozoru punktem na północny wschód od wsi Donaustauf? Bo tu była Walhalla, gdzie Odyn przyjmował dusze bohaterów poległych w boju. Wprawdzie panteon ku czci wielkich Niemców wznosił dopiero król Ludwik I Bawarski, ale według legendy Walhalla była pałacem poległych nordyckiego boga Odyna.

Wszystko się ze sobą wiąże, a tak niewielu potrafi to zauważyć. Kto wie, że Karlsruhe, jeśli patrzy się na nie z centralnej wieży zamku, wygląda jak wachlarz, złożony z dziewięciu jednakowych elementów? Wachlarz ten jest połączony linią prostą z katedrą w Spirze i zamkiem w Mannheim. To i wiele innych rzeczy odkrył przyrodnik dr Jens Möller. A czy ktoś słyszał, że ponad

200 bawarskich miejscowości tworzy system linii prostych i trójkątów prostokątnych? Chciałoby się powiedzieć, że to tylko nieprawdopodobne przypadki - ale te z pozoru niedorzeczne kurioza ciągną się przez Szwajcarię i

Austrię do Grecji, a potem do Izraela i Egiptu.

Kto ma oczy, miarkę i mapy, może nie ruszając się z domu wyruszyć w zabawną i w najwyższym stopniu zdumiewającą odkrywczą podróż. Znajdzie linie łączące przedchrześcijańskie miejsca kultu, ktoś inny natknie się na ogromne, pięcioramienne gwiazdy. Linijką z podziałką milimetrową sprawdziłem na mapie parę takich pentagramów i mogę powiedzieć, że nie ma w tym żadnego oszustwa.

Jeszczejedno na marginesie: Pentagram, znany teżjako pentagram kabalistyczny lub pięcioramienna gwiazda, jest znakiem mistycznym, pochodzącym ze starożytności. Już dla pitagorejczyków był znakiem zdrowia i siły. Druidowie widzieli w pentagramie kabalistycznym symbol broniący przed dostępem złych duchów. Od najdawniejszych czasów w pięcioramienną gwiazdę wpisuje się wizerunek człowieka.

W dolnych ramionach znajdują się nogi, w bocznych rozpostarte ramiona, a w wierzchołku - głowa. Szkoły gnozy uważają pentagram za "płomienną gwiazdę" i symbol wszechmocy. Masoni umieszczają w środku pentagramu literę "G", mającą sygnalizować pojęcia gnosis i generatio - święte słowa Kabały. Wreszcie jest pentagram nazywany "wielkim architektem", bo niezależnie z której strony nań się spojrzy, zawsze można zobaczyć literę "A" - alfa, czyli początek. W Fauście Goethe rzucił pytanie: "Moc pentagramu cię urzekła?" Z geometrycznego punktu widzenia pentagram jest pięciokątem, na którego bokach zbudowano trójkąty równoramienne, przy czym na każdym odcinku leżą cztery punkty przecięcia. Dwa przykłady:

Pierwszy przykład podał dr Jens Møller, biolog i przewodniczący Towarzystwa Kosmozoficznego w Karlsruhe. Chociaż pięcioramienna gwiazda kładzie się na Karlsruhe aż po Rastatt, to w tym przypadku chodzi o pentagram stosunkowo niewielki. Dlatego można to sprawdzić tylko na mapie w skali 1:5000. Tworzą go następujące linie i punkty: Punktem północnym jest kościół w miejscowości Eggenstein (północne krańce Karlsruhe) - stąd linia

południowschód biegnie do kościoła św. Wendelina w RastattRheinau, potem na północny zachód do KleinSteinbach i kościoła na Buchelbergu, stąd zaś znów w kierunku południowozachodnim do miejsca pogańskiego kultu w Klosterwaldzie pod Frauenalb. Jeśli połączyć te punkty liniami, powstanie pięciokąt, przy czym odległości między miejscowościami będą sobie równe.

Skrupulatnemu dr Möllerowi rzuciły się też w oczy inne szczegóły:Stosunki odcinków w pentagramie odpowiadają złotemu podziałowi

- linie podziału nie przebiegają przez nietkniętą ziemię, lecz przechodzą przez kościoły w różnych miejscowościach. I tak na odcinku Klosterwaldśw. Wendelin w punkcie podziału stoi kościół św. Małgorzaty. Większą część złotego podziału tworzy odcinek Klosterwaldśw. Małgorzata, mniejszą - odcinek św. Małgorzataśw. Wendelin. To samo dotyczy pozostałych elementów. Dystans KlosterwaldKleinsteinbach jest dzielony przez Langensteinbach. Większą część złotego podziału tworzy odcinek KlosterwaldLangensteinbach, krótszą odcinek Langensteinbach

- Kleinsteinbach. Chociaż nie chodzi tu o pentagram wielki, odcinek Eggensteinśw. Wendelin biegnący przez Karlsruhe ma bądź co bądź około 30 km. I jeszcze jedna osobliwość. Odcinek Eggensteinśw. Wendelin biegnie również przez kościół w Knielingen, dzisiejszą dzielnicę Karlsruhe. Od niepamiętnych czasów w herbie Knielingen jest pentagram. Nawet ojcowie miasta nie wiedzą, jak pięcioramienna gwiazda znalazła się w herbie. Dr M|ller:”To nie może być przypadek.”

Drugi przykład podał dr Richard Allesch z Klagenfurtu w Austrii.

Na północny zachód od Klagenfurtu jest miejscowość Maria

Saal - a półtora kilometra od niej na północ tron książęcy. Tron ów, zabytek kultu, stoi w geometrycznym środku pentagramu. Dokładnie 1 3 km na północ, na południowym zboczu Kraigerbergu, są ruiny zamku Hochkraig. To północny punkt pentagramu. W po bliżu ruin można jeszcze odnaleźć ślady budowli megalitycznej. Stąd pierwsza linia biegnie na południowy wschód - do góry

Schrottkogel. Także tu są pozostałości jakiegoś muru oraz megality bez wątplenia wykazujące ślady obróbki i wykorzystane przez późniejsze pokolenia jako kamienie graniczne. Ze Schrottkogel linia biegnie przez Klagenfurt na szczyt Lippe Kegel. Tu znowu można znaleźć rudymenty prehistorycznego kompleksu. Teraz linia kieruje się 23,5 km na wschód, do Krobathenbergu, na którym - jakże inaczej!

- leżą prehistoryczne megality. Kolejna linia biegnie z Krobathenbergu na południowy zachód - do walącego się kościoła św. Urszuli koło Truttendorfu. Ruiny kościoła znajdują się w centrum resztek dawnych obwałowań. I tu są prehistoryczne megality. Teraz od św. Urszuli na północ do Hochkraig - i pięcioramienna gwiazda gotowa.

Można mówić o niezdrowych skłonnościach do geometryzowania, o dobieranych dowolnie punktach - gdyby nie to, że linie pentagramu przechodzą przez ruiny zamku i wieże kościelne - i gdyby nie to, że w środku pentagramu stoi "tron książęcy". Podobnie jak w przypadku pięcioramiennej gwiazdy z Karlsruhe także tu mamy osobliwość rzucającą się w oczy. Koło Truttendorfu są ruiny zamku panów von Truindorf. Jeszcze w XIV w. rycerze von Truindorf mieli w herbie pentagram!

„Bardzo trudno wywieść ludzi w pole, jeśli je dobrze znają” mawiał Alfred Polgar (1873-1955), austriacki krytyk.

Wiem, że ta cała historia ze "świętą geografą" szarpie nerwy.

Brzmi nieco dziwnie, jest naciągana, rozum nie kwapi się do jej zaakceptowania. Jak i dlaczego prehistoryczni ludzie mieliby rozmieszczać swoje święte miejsca akurat na liniach długości setek kilometrów, biegnących przez góry i lasy, bagna i jeziora? A co - na Wotana, Apollina i Salomona! - znaczą te ogromne pięcioramienne gwiazdy wpisane w teren? Jeżeli... tak, jeżeli strategiczne punkty pentagramu były kiedyś roz jaśniane pochodniami, to olbrzymie gwiazdy przynajmniej świeciły prosto w niebo. Może działo się tak w określone święte dni

- zapewne gnostycy nie bez powodu tytułują pentagram "płomienną gwiazdą".

Na koniec pozostają jeszcze dwa wypróbowane argumenty:

1. Dziwne pentagramy są sprzeczne z naturą. Nie można z nimi łączyć żadnego promieniowania gruntu, żył rud metalu i żył wodnych. 2. Rozmieszczono je w prehistorycznych czasach. Pozwala to wyciągnąć wnioski co do planowania i metod pomiarów gruntu. Przodkowie z epoki kamiennej nie mieli powodu do oznaczania okolicy przy pomocy gigantycznych pięcioramiennych gwiazd. Czym mieliby je mierzyć? Bądź co bądź gwiazda z okolic Klagenfurtu kładzie się na wzgórzach i górach. Ta argumentacja prowadzi jak nic do twierdzenia o wszechobecnych mistrzach z Kosmosu. Jaki interes mogli mieć mistrzowie, określane też mianem "bogów", w ozdabianiu krajobrazu pentagramami? "Niebiańskie istoty" działały w różnych regionach naszego globu. Może istniały pojedyncze grupy pomagające ludzkości w rozwoju daleko od kwatery głównej. Pentagramy i linie proste mogły im służyć za: a) sygnały widziane z powietrza; b) oznaczenia granic; c) wskazówki do komunikacji powietrznej; d) stacje paliwowe; f) posłania dla przyszłych pokoleń.

Przed 155 laty słynny niemiecki astronom i matematyk Carl Friedrich Gauss zdumiał swoich kolegów nieoczekiwaną propozycją. Zasugerował, żeby zasadzić las o kształcie wielkiego trójkąta prostokątnego. Zastanowiłyby to pozaziemskie istoty, obserwujące przez teleskopy naszą planetę. Zauważyłyby one na pewno, że zielony trójkąt nie powstał w sposób naturalny - wyciągnęłyby stąd wniosek, że Ziemię zamieszkują istoty myślące.

Później podobne propozycje ogłaszano często. W rolniczych regionach USA stworzono gigantyczny trójkąt ze zboża i wpisano weń okrąg z maków. Ktoś obserwujący Ziemię ujrzałby, że czerwone koło i żółty trójkąt zmieniają barwy w określonych porach roku. Mógłby stąd wyciągnąć wniosek, że Ziemianie znają twierdzenie Pitagorasa.

Wielkimi pięcioramiennymi gwiazdami pozaziemscy mistrzowie sygnalizowaliby kolegom: a) tu działa wasza grupa; b) tu działała grupa ET; c) tu było miejsce naszego działania.

(Ostatnie zdanie byłoby skierowane do ludzi dalekiej przyszłości.) Ten sam skutek można osiągnąć za pomocą linii biegnących z północy na południe lub ze wschodu na zachód, linii, które muszą przecinać się pod kątem prostym. Poza tym linie proste nadają się na oznaczenia granic obszarów zajmowanych przez prehistoryczne plemiona, a jako linie namiarowe do oznaczania stref podejścia do lądowania i - w jednakowych odległościach - stacji paliwowych. Jeżeli pod liniami znajdują się żyły minerałów, a na punktach przecięcia objawiają się określone naturalne źródła energii, to byłoby to bardzo korzystne dla mistrzów. Może rozmieścili tę sieć zgodnie z punktami tego rodzaju, bo wykorzystywali formy geoenergii.

Ten pogląd popiera w dwóch swoich książkach Bruce

Cathie, pilot z zawodu, były kapitan samolotu DC-8. Ten Nowozelandczyk, doskonały znawca kartografii, potrafiący do tego chłodno kalkulować, przez całe lata zbierał dane na temat UFO i przynosił je na mapy świata. Kujego zdumieniu powstała ogromna, globalna sieć ośrodków promieniowania - nad nimi przebiegały trasy przelotu

UFO. Dokładnie tak, jakby załogi UFO musiały co pewien czas nadlatywać nad te same miejsca, żeby coś z nich pobrać. Bruce Cathie:”Istnieje ogólnoziemska sieć energetyczna, sterowana przez UFO w trakcie ich ziemskich ekspedycji.”

To stwierdzenie może się wprawdzie odnosić zarówno do naszych czasów, jak i do przeszłości - ale jest nie do udowodnienia. Max Planck napisał kiedyś w jednym z listów do swojego przyjaciela Sommerfelda:

„Połączmy, co ja zebrałem, z tym, co zebrałeś Ty, a ponieważ jedno pasuje do drugiego, uplećmy najpiękniejszy wieniec.”Gwiazdne trakty

Cały ziemski glob pokrywa splot niewidzialnych linii. Oto prawdziwa

tajemnica, wobec której stajemy bezradni i mali. A wahadło wędrujące między przeszłością a terażniejszością ciągle się porusza, bo miejsca kultu istnieją nadal - ba! niejeden chrześcijański święty wszedł mimo woli w prehistoryczną rolę.

Na przykład święty Jakub. Jego grób znajduje się w katedrze w Santiago de Compostela, w północnozachodniej Hiszpanii. Tu papież Jan Paweł II w sierpniu 1989 roku zaprosił młodzież na IV Światowy Dzień Młodzieży - na wezwanie przybyło ponad 300 tys. osób. Co najmniej połowa młodych ludzi odbyła drogę długości 200 km pieszo, nie przeczuwając wcale, że idzie wzdłuż pradawnej "pogańskiej linii". W zamierzeniu organizatorów imprezy droga św. Jakuba miała być dla pielgrzymów "odnalezieniem sensu życia"

- piękne motto. A ja pomyślałem sobie, że papieżowi chodziło o coś więcej, niż przekazano opinii publicznej. W końcu to przecież on napisał pracę doktorską o hiszpańskim mistyku Juanie de la Cruz, a w Santiago de Compostela oświadczył: "Ja, następca Piotra najego rzymskiej stolicy, biskup i pasterz kościoła powszechnego, wzywam cię z Santiago, stara Europo: Odnajdź siebie samą! Bądź sobą! Ożyw swoje korzenie!"

Pójdę więc za papieskim wezwaniem i ożywię korzenie Santiago de Compostela. Od czasów Karola Wielkiego twierdzi się, że udał się on do grobu św. Jakuba do Santiago de Compostela, gdzie miał "objawienie". W rzeczywistości "noga [Karola Wielkiego] nigdy nie postąpiła w tej okolicy", "objawienie" zaś wymyślono po jego śmierci. Legenda twierdzi, że drogę do Santiago de Compostela "wskazały [Karolowi] dwa gwiazdne trakty."

Zadziwiająca jest, że "gwiazdne trakty" istnieją, choć nie mają nic wspólnego z Karolem Wielkim - były już bowiem przed tysiącami lat. W książce Santiago de Compostela mój kolega Louis Charpentier odkrywa "tajemnicę dróg pielgrzymki", biegnących z francuskich wybrzeży Morza Śródziemnego prosto jak strzelił przez Pireneje do SanUago de Compostela, tworząc "dokładnie dwa równoleżniki idące ze wschodu na zachód". Na tej samej szerokości geograficznej znajdują się łańcuchy miejscowości, mających nazwy o wspólnym

źródłosłowie. Przykłady: Les Eteilles (Katalonia, koło Luzenac), Estillon (południowe Pireneje), Lizarra (przy przełęczy Somport), Lizarraga (koło Pamplony), Liciella (góry León), Aster (Galicja). W nazwie każdej miejscowości zawiera się pojęcie "gwiazda" a wszystkie punkty leżą na szerokości 42°46'. Kto przypadkiem ma jeszcze na końcujęzyka słowo "przypadek", niechje prędko wypluje. Drugi "gwiazdny trakt" biegnie między 48° a 49° szerokości geograficznej. Początek bierze na południe od Sztrasburga i przechodzi przez niekiedy zupełnie małe miejscowości St. Odile, Blamont, Vaudigny, Domremy, Vaudeville, Joinville, Lasek Fontainebleau, Domblain, Louze, La Belle Etoile, Pierrefitte, Chartres, La Loupe, Alençon, Le Horn, Landerneau, St Renan i Lampaul na atlantyckiej wysepce Ouessant. Nieistotne są centra tych miejscowości - ważne są pozostałości budowli megalitycznych, odkryte w albo obok wymienionych miejsc. W Bretanii linia przecina dwa megality.

Geodeci przy pracy

Trochę tego za wiele, a przecież tak mało, bo tajemnicze linie nie ograniczają się do Europy. W prehistorycznych czasach Delfy uważano za "środek" albo "pępek świata". Istotnie wiele linu ze wszystkich krajów biegnie do Delf.

Czym dla Eurazji Delfy, tym dla Ameryki Południowej było

Cuzco. W tej starej, leżącej 3500 m n.p.m. stolicy imperium Inkowie mieszkali od najdawniejszych czasów. Jeszcze przed legendarnym założycielem dynastu Inka, praojcem Manco Capac, w Cuzco istniało megalityczne miasto nieznanego kultury. Gdy władca Inków Pachacutec (1438-1471) wznosił Cuzco na nowo, świątynie i pałace budował na potężnych megalitach pradawnego miasta, założonego niegdyś przez boga Wirakoczę, a mającego się pierwotnie nazywać Acamama.

Acamama było "centrum świata". Tu, jak w Delfach, zbiegały się wszystkie nici - wszystkie linie ze wszystkich stron świata. Indianie z wyżyny nazywają te

linie od bardzo dawna ceque. Słownik języka keczua z XVII w. definiuje to pojęcie jako "linea termino", co można tłumaczyć jako "linia ograniczająca" albo jako "linia celowania", "linia końcowa". Jeśli "linia celowania", to w co, jeśli "linia końcowa" - to skąd? Już w 1653 roku hiszpański mnich i kronikarz Bernabe Cobo pisał o "świętych liniach", zaczynających się w środku świątyni Słońca w Cuzco, a zwanych przez Indian ceques.

Są to linie doprawdy osobliwe i nie można ich pomylić z wyglądającym jak pasy startowe tworami na wyżynie Nazca. Ceques są wąskie jak ścieżki. Wychodzą promieniście z Cuzco i biegną przez góry i doliny tak prosto, jak gdyby ktoś narysował ich ślad w powietrzu. Niegdyś linie łączyły "czterysta świętych punktów" w Cuzco i dalszej okolicy. Przechodzą one przez góry Kordyliery Zachodniej i przez wulkan Sajama, jak gdyby dla ich twórców nie istniały przeszkody natury topograficznej.

Archeolog Tony Morrison, który poszedł wzdłuż jednej z ceques, przebył około 30 km mijając dawne idole, place świątynne i sanktuaria chrześcijańskie. W Peru stosowano tę samą metodę co w Europie: Tam, gdzie zniszczono pogańskich bożków, od razu wznoszono chrześcijańskie krzyże, kaplice, kościoły. Sieć linii ciągnie się do Boliwii, przez jezioro Titicaca biegnie do Tiahuanaco, można ją też znaleźć na nizinach porośniętych dżunglą.

Pytania już znamy. Kto? Dlaczego? Jak? W jakim celu? Dlaczego na różnych kontynentach? Kiedy? Pytanie ostatnie jest zbędne, bo linie istniały przed pojawieniem się Inków. Oni tylko przejęli i rozbudowali to, co zastali. Cuzco było "pępkiem świata", jednym z centrów bogów, przypuszczalnie bazą ET. To istoty z Kosmosu mierzyły i dzieliły liniami granicznymi Ziemię. Potwierdzają to wyraźnie święte i mniej święte księgi. Wychodzący z wody mistrz Oannes "mierzył ziemię", tak samo jak tajemniczy Yma ze świętej księgi Persów i wielu innych quasibogów pełniących służbę na kuli ziemskiej. Nawet Bóg Starego Testamentu wyjaśniał cierpliwemu prorokowi Jobowi:

„Gdzie byłeś, gdy zakładałem ziemię? [...] Kto wyznaczył jej rozmiary? [...]

Albo kto rozciągnął nad nią sznur mierniczy.” [Job. 38, 4-6]”Myśli skaczą jak pchły, z jednego na drugiego. Ale nie każdego gryzą.” (George B. Shaw).

Wyjaśnienie pentagramów, linii granicznych i centralnie położonych miejscowości nie wyjaśnia jednego: fengszuei. Przecież zdrowe i niezdrowe punkty sieci”żył smoka” nie leżą na liniach prostych.

Również Anioł Ziemia nie pozwolił swoim czułkom i antenom zastygnąć w regularny raster. Co się stało z Aniołem Ziemią? Czy istnieje?

VII.”Dobry Bóg nie gra w kości”

(Albert Einstein)

Biolog Jim E. Lovelock jest człowiekiem szanowanym i niezwykle zajęтым. Na zlecenie NASA prowadził poszukiwania śladów życia na Marsie, na zlecenie koncernu naftowego SHELL badał globalne konsekwencje zanieczyszczenia atmosfery. Obie rzeczy wiążą się ze sobą, bo mikroskopijne formy życia - bakterie - wpłynęłyby na biosferę Czerwonej Planety. Tak samo jak zanieczyszczenie atmosfery na Ziemi, będące częściowo wynikiem stosowania paliw kopalnych, nie pozostaje bez wpływu na naszą biosferę.

Przez wiele lat Jim E. Lovelock z grupą badaczy z California

Institute of Technology zbierał dane z rejonów ziemskich i nadziemskich - z Ziemi i z satelitów. Dwa razy dwa zawsze równa się cztery, a określone nagromadzenie czynników chemicznych prowadzi do reakcji innych czynników. Ziemię wraz z całą biosferą, czyli strefą życia, można zmierzyć i przedstawić w postaci liczbowej. Jest to konieczne, jeżeli chce się stworzyć modele i przeprowadzić symulacje komputerowe.

Truizmem będzie twierdzenie, że graficzna komputerowa interpretacja próby losowej w skali zbiorowości statystycznej może dotyczyć tak przeszłości, jak teraźniejszości i przyszłości. Reakcje chemiczne są reakcjami chemicznymi w każdej epoce. Tak więc krzywe na ekranie monitora wykażą z matematyczną dokładnością, kiedy nastąpi zapaść biosfery, kiedy woda morska stężeje w sól, a promieniowanie wnikaające przez dziurę ozonową”wykosi” ziemskie formy

życia. Wszystkie modele wymyślono i wyliczono z naukową precyzją. Uwzględniono wszystkie znaczące czynniki, z pedantyczną dokładnością wykorzystano wyniki pomiarów. Ale mimo to coś się nie zgadzało - tak na Ziemi, jak w Systemie Słonecznym.

Weźmy na przykład jasność naszej gwiazdy. Im więcej wodoru spala Słońce, tym bardziej zmienia się jego struktura wewnętrzna.

To z kolei wpływa na jego jasność. Obliczono, że przez minione półtora miliona lat intensywność świecenia Słońca zwiększyła się o 30% - zdarzały się też oczywiście odchylenia. Zdziwiający jednak, że temperatura na powierzchni Ziemi stale sprzyjała rozwojowi form życia. Jim E. Lovelock: "Mimo drastycznych zmian składu wczesnej atmosfery i wahań w dopływie energii słonecznej nigdy nie było ani za gorąco, ani za zimno, aby można było przeżyć."

Po pierwszym ochłodzeniu planety woda istniała nadal w stanie ciekłym, bo oceany nigdy nie zamarły do końca ani nie wyparowały. Jakież to tajemniczy termostat regulował temperaturę?

Wiadomo, że dwutlenek węgla zapobiega ucieczce ciepła, a jego nadmiar powoduje efekt cieplarniany. W historii Ziemi zdarzało się to wiele razy. Kiedy formy życia mnożyły się na powierzchni globu, w atmosferze ubywało dwutlenku węgla - przybywało zaś tlenu.

Kiedy spojrzymy wstecz, proces ten będzie zakrawał na cud, bo pierwotna atmosfera złożona z metanu byłaby dla aerobiontów (organizmów żyjących w środowisku zawierającym tlen atmosferyczny) trucizną. Imjaśniej świeciło słońce, tym więcej rozwijało się form życia - życie "przechwytywało" zapas dwutlenku węgla. Zwiększająca się zaś ilość tlenu wpływała na warstwę ozonu, absorbującą niebezpieczne promieniowanie ultrafioletowe. Dopóki wokół Ziemi nie było ochronnej warstwy ozonowej, życie istniało tylko w oceanach. Teraz mogło się już rozwijać na lądzie. Cóż za dziwne zależności sterowały zdumiewającym łańcuchem reakcji w obrębie biosfery? Biolog Paul Davies:

„Fakt, że życie działało tak, iż zachowały się warunki konieczne do

przetrwania i rozwoju, jest wspaniałym przykładem samoregulacji. Ma to miły posmak teleologii. To tak, jakby życie przewidziało niebezpieczeństwo i potrafiło mu zapobiec.”A jeśli to nie”życie” tak działało? Jeśli to nie”życie przewidziało niebezpieczeństwo”, tylko Anioł Ziemia? Jim E. Lovelock w książce ‘Nasza Ziemia’ przytacza dziwne i zapierające dech w piersi przykłady procesów samoregulacji naszej planety.

Wszystkie formy przeżyją tylko wtedy, jeżeli zawartość soli w ich organizmach nie przekroczy pewnych granic. Każdy licealista wie, że morza są słone, bo rzeki spłukują do nich od niepamiętnych czasów minerały zawierające różne sole. Właściwie to morza już dawno powinny się zamienić w skorupy soli, bo słońce powoduje parowanie wody, która z kolei dostawszy się do rzek znów spłukuje do morza różne sole. Ten proces można powtórzyć w każdym laboratorium: woda transportuje sól do miski, ciepło powoduje parowanie wody, potem znów dopływa słona woda. Można dokładnie wyliczyć, kiedy miska wypełni się solą. Dlaczego więc morza nie stają się coraz bardziej słone? Dlaczego nigdy nie dochodzi do krytycznego stężenia soli, w którym zginęłyby wszystkie morskie formy życia? Kto albo co reguluje Laboratorium Ziemi?

Jim E. Lovelock sformułował hipotezę, nazwaną od imienia Gai, greckiej Matki Ziemi. Gaja oznacza tu superorganizm, świadomie wpływający na środowisko dla zachowania warunków korzystnych dla życia. Lovelock uważa Ziemię za całościowy, samoregulujący się system, obejmujący również biosferę, klimat i wszystkie formy życia. Lovelock wymienia trzy najistotniejsze cechy Gai:

„ 1. Cechą najważniejszą jest dążenie do optymalizacji warunków życia na Ziemi [...];

2. Gaja dysponuje zarówno w swoim rdzeniu narządami istotnymi dla życia, jak i zbędnymi [...] na swoich peryferiach [...];

3. Reakcje Gai na zmiany na gorsze muszą odpowiadać prawom cybernetyki [...]”Cała Ziemia jako żywa istota, a my jako dzieci pod jej ochroną?

Nęca i wyważona naukowo hipoteza, która jednak wcale nie zwalnia nas od odpowiedzialności za los naszej planety. Aniołowi

Ziemi nie jest wszystko jedno, że zaświnimy mu powłokę, nie jest mu wszystko jedno, że zniszczymy biosferę - zareaguje na to. Wydaje się, że Ziemia ma mechanizm regulacyjny, kierujący procesami przerażająco długoterminowymi. Za "kierowaniem" i "sterowaniem" musi ukrywać się inteligencja, ta zaś nie powstaje sama z siebie. A już na pewno nie wtedy, jeśli "sterowanie" uwzględnia zdarzenia przyszłe.

Skąd Anioł Ziemia wie, że po milionach lat oceany zamieniłyby się w słońca skorupę? Jak się domyśla, co za środki zastosować, aby proces nie wymknął się spod kontroli? I kolejne trudne pytanie: Z kim Anioł Ziemia wymienia informacje? Czy nasze dotychczasowe wyobrażenia o Kosmosie są niesłuszne? Czy Bóg jest Wszechświatem, my zaś jego mikroskopijną cząstką?

Jeszcze kilka lat temu w świecie astrofizyki nikt nie wątpił w teorię wielkiego wybuchu. Wprowadził ją belgijski fizyk i matematyk

Georges Lemaitre. Wedle tej teorii przed miliardami lat cała materia zagęściła się do bardzo niewielkiej objętości, w Kosmosie powstał ekstremalnie ciężki ośrodek masy, który wciąż się kurczył. Siły potęgowały się aż do chwili eksplozji tej bryłki materii. Big Bang! W ogromnym czasie około 15 mld lat kosmiczny pył z praeksplozji rozszerzał się we Wszechświat, aby następnie zacząć łączyć się w nowe bryły materii - w słońca i w planety.

Aż do lat osiemdziesiątych nauka zgadzała się z teorią wielkiego wybuchu. Była to bowiem teoria logiczna, oparta na pomiarach (przesunięcie widma czerwieni) i badaniach. Lecz nagle, z początkiem lat dziewięćdziesiątych, kosmologiczny model prawybuchu zaczął się chwiać w posadach. Amerykańscy astronomowie Margaret J. Geller i John P. Huchra postanowili zmierzyć i przedstawić na trójwymiarowej mapie wycinek północnego nieba. Chcieli udowodnić, że materia jest rozłożona we Wszechświecie mniej lub bardziej równomiernie - tak bowiem twierdzi teoria wielkiego wybuchu. Tymczasem

okazało się coś wręcz przeciwnego. Zamiast równomiernego rozłożenia odkryto ogromne skupiska materii. Jedno z nich nazwano "wielkim murem", zbudowanym z galaktyk.

Inni astronomowie odkryli kwazary (quasistellar radiosources), poruszające się z ekstremalną prędkością. Na podstawie dokładnych pomiarów wiek jednego z tych kwazarów określono szacunkowo na 14 mld lat - jest to zupełnie sprzeczne z teorią wielkiego wybuchu.

Amerykański astronom Alan Dressler wykazał, że prędkość, z jaką porusza się po Wszechświecie Droga Mleczna, wynosi 6000 km/sek. Znow niemożliwy wynik, jeśli uwzględnić Wielki Wybuch.

Astronomów zbiło również z pantafelki poznanie absurdalnej dysproporcji masy kosmicznej z jednej strony i grawitacji z drugiej. Dla zachowania bowiem istniejących sił grawitacji niezbędna jest określona ilość materii - tymczasem w wielu galaktykach kumuluje się zaledwie 10% potrzebnej ilości materii.

Coraz więcej nielogiczności - dotychczasowy obraz Kosmosu chwieje się w posadach. Andriej Linde, radziecki astrofizyk pracujący w Europejskim Centrum Jądrowym (CERN) w Genewie, wypełnił powstałą lukę nowym modelem: teorią Wszechświata inflacyjnego: "Istniał bąbel, wytwarzający kolejne bąble, które

{ Od łacińskiego inflare - nadymać (przyp. red.). } z kolei znow wytwarzały kolejne bąble" - mówi Andriej Linde.

Wszechświat składa się teraz z małych wszechświatówbąbli. My żyjemy w naszym wszechświeciebąblu, a wokół są inne wszechświaty bąble, o których nie mamy najmniejszego pojęcia. Wyobraźmy sobie pianę w kąpielni - każdy bąbel to wszechświat - jedne pękają, inne się tworzą. Linde: "Proces się jeszcze nie skończył, trwa i trwa. Wszechświat jest bardzo chaotyczny, ale nie tam, gdzie patrzą ludzie."

A Ziemia? Czy to mikrobąbel ukryty wewnątrz większego bąbla? Łańcuchy molekuł w istocie żywej na skutek wzajemnych oddziaływań zostały ze sobą

połączone jak bąble. Anioł Ziemia oplótl się "siecią antenową", przyjmującą oraz wysyłającą informacje. Kryje się za tym inteligencja kosmiczna - tylko człowieka "wykonano" na miejscu. Anioł Ziemia - albo Gaja z hipotezy Lovelocka

- może sterować zdarzeniami wewnątrz i na powierzchni swojego bąbla.

Może kierować koniecznymi procesami biochemicznymi

- spowalniać je, przyspieszać albo kończyć. Może wezwać pomoc z zewnątrz, gdy kosmiczna ewolucja na jego bąblu zacznie podupadać.

Nie dostrzegam w tym chaosu. Ani na Ziemi, ani we Wszechświecie. Alfred Einstein powiedział kiedyś: "Dobry Bóg nie gra w kości". Materia w Kosmosie może być rozłożona równie chaotycznie jak bąble w kąpielni, które powstają i przemijają. Prawdopodobnie jednak widzimy w tym chaos tylko dlatego, że nasza śmieszna małość nie pozwala nam ogarnąć całości. Ale jedno jest pewne: Nieważne ile materii przeminie zamieniając się w energię - potencjał inteligencji i doświadczenia powiększa się stale.

Laureat Nagrody Nobla, Max Planck (1858-1947), powiedział podczas jednego z wykładów w HarnackHaus w Berlinie w 1929 roku:

„Nie istnieje materia jako taka. Wszelka materia powstaje i istnieje tylko na skutek siły, która wprawia w drgania cząstki atomu, łącząc je w maleńkie systemy słoneczne. Ale ponieważ w całym Wszechświecie nie istnieje ani siła inteligentna, ani wieczna, to za tą siłą musimy się domyślać istnienia świadomego, inteligentnego ducha. Ten duch jest przyczyną wszelkiej materii. Ponieważ jednak nie może istnieć duch jako taki, lecz każdy przynależy do jakiejś istoty, musimy się domyślać istnienia istoty duchowej. Ponieważ jednak istoty duchowe nie mogą zaistnieć same z siebie, lecz muszą być stworzone, nie zawaham się przed nazwaniem tego tajemniczego stwórcy tak, jak zwą go wszystkie narody cywilizowane: Bogiem.”

